



ZESZYT DZIESIĄTY I JEDENASTY.

Rocznik V. — 1872.

## BOŻA OPIEKA.

POWIEŚĆ OSNUTA NA PODANIACH XVIII. WIEKU.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(CIĄG DALSZY.)

**S**obiety, a szczególnie nasze, są aniołami ziemi; godzim się na to wszyscy i oddajemy im cześć na kolanach; niestety szatan urodził się z prześlicznego anioła, który w chwili upadku przedzierzgnął się w ideał brzydoty i zepsucia... Tak samo w tym wieku XVIII, na tym dworze słynnym tylu pięknościami, między którymi było i cnót wiele, trafiały się upadłe anioły, obudzające wstręt i obrzydliwość. Od nich to przeszło zepsucie na tych, co ich otaczali, co obocowali z niemi, i coraz szerszym kołem poszła zaraza na pokolenia następne... Szczęściem były to istoty wyjątkowe, a w drewnianych dworach wiejskich, pod słomianymi strzechy dochowała się spuścizna cnót staropolskich. Podskarbie, który dawno w stolicy nie był, miał tu same znajomości z lat młodszych, mężczyzn i kobiety w rodzaju kasztelana, których wiek, zamiast przytępić wybryki, uczynił cynicznymi na zimno rozpustnikami, nie mogącymi nawet namiętnością się uniewinnić.

Po bytności w zamku i widzeniu się z kasztelanem, z którym niemal cały dzień spędził, bo mu ten honory Warszawy czuł się w obowiązku robić, podskarbie wrócił znużony, nazajutrz uczuł się słabym, a trzeciego dnia wyjść nie mógł.

Gryzł się, niepokoił, a że go jakoś zimno wszędzie przyjmowano, wyobrażał sobie, iż wpływ przyjaciół żony

niepowrotnie go zgubił w opinii ludzi i u dworu. Szukał więc pociechy, jakiej się tylko mógł spodziewać od tych, co go znali młodym, szczęśliwym i ulubieńcem mody. Między innymi dowiedział się o pobycie słynnej niegdyś piękności, której żywot nader burzliwy skończył się trzecim już rozwodem i wypoczynkiem w Warszawie. Młodość spędziła ona w większej części za granicą, w Paryżu, po dworach niemieckich, straciła znaczną fortunę na zbytki bajeczne, a teraz żyła z pensyi, od ostatniego małżonka otrzymanej, i resztek majątku. Nie przeszkadzało jej to mieć dom otwarty, przyjmować najpierwsze towarzystwo stolicy i odgrywać rolę bardzo czynną w rozmaitych sferach. Z domu księżniczka... pani hrabina Dramińska, dzieci, jakie miała z dwóch pierwszych małżeństw, powyposażyła, a pozostała sama teraz panią swej woli i czasu... używając go wedle starych nawyknień, jak mogła najwesielej. Chociaż dworu nie miała, pozostał jej z niego zawsze jakiś marszałek dworu, mieniany dosyć często, mężczyzna zwykle urodziwy, dobrze wychowany i przywoity, który domem zawiadywał i w salonie gości przyjmować pomagał. Grywano co wieczora faraona, świetne były kolacje, czasem muzyka i tańce nawet, a wszyscy cudzoziemcy prezentowali się tu, i przez nią rozmaite dyplomatyczne, pieniężne, sądowe załatwiali interesy.

Hrabina Estella z książąt... miała piękną karetę, konie rosłe, liberyą, kilku lokajów, damę do towarzystwa, niekiedy jaką ubogą kuzynkę bardzo piękną... i — i owego nieśmiertelnego pleczystego marszałka dworu. Nie powiemy, ażeby ją powszechny szacunek otaczał, posługiwano się nią wszakże i jej domem powszechnie. W młodości jeszcze, za życia pierwszego męża, podskarbic należał do najzapaleńszych jej adoratorów; później stracił ją z oczów, aż oto teraz wypadkiem dowiedział się od kasztelana o jej położeniu, o przygodach i zamieszkaniu w Warszawie. Była to jedna osoba, z którą mógł poufnie pomówić podskarbic, nie lękając się skompromitować. Hrabinie Estelli wszystko w ogólności mówić było można; była to osoba (wedle wyrażenia epoki) wyższa, bez przesądów, która wszystko zrozumieć potrafiła... nie gorsząc się niczem, nie oburzając zbytnio przeciw niczemu. Podskarbic uradował się niezmiernie dowiedziawszy się o niej, obawiał się jednak pierwszego wrażenia, gdyby tak przybył nie oznajmując i — napisał bilecik, prosząc o pozwolenie przypomnienia się. Tegoż dnia odebrał odpowiedź, na ładnym papierku skreśloną charakterem, który od lat owych nic się nie zmienił i nic nie postarzał. Estella zapraszała go serdecznie na obiad, à huit clos, en petit comité, jeszcze dzisiaj.

Podskarbic ubrał się jak mógł najstaranniej, quantum mutatus ab illo!! — przejrzał się w zwierciadle i zasmucił, piękna Estella trudno by nawet poznać go mogła... O godzinie naznaczonej stawił się na Długą ulicę... do wskazanego mu domu... Pałacyk z imienia nie był paradny, lecz dosyć zręcznie wyporządkowany, aby przyzwoicie wyglądał... W saloniku, zastawionym mnóstwem gracików kosztownych i błyszczących, zabytkami dawnych splendorów i pamiątkami dni szczęśliwszych, ujrzał zdumiony kobiecinę, ubraną młodo, zdala wyglądającą jeszcze zręcznie.. ale w cóż się obróciła owa dziewicza, anielska, rumiana i biała twarzyczka Estelli! Róż i bielidło zjadły ją, wykreściły i zmieniły w potworną prawie maseczkę... Zresztą głos, ruchy — pozostały też same, z dodatkiem przesady i karykatury... Podbiegła do niego podając obie rączki jeszcze ładne, wdzięcząc się i potrząsając głową...

— A! podskarbicu! zaklinam, proszę, nie patrz na mnie... okropną jestem... ale jakże chcesz! policz lata przeżyte! A ty! nieboraku! a! i ciebie nielitościwy czas nie szczydził... chociaż.. doprawdy, na takie życie, jakie prowadziłeś, powiem ci szczerze, nie jesteś tak... zniszczony, jak sądziłam. Vous avez tres bonne mine.

— Allons donc! chere Comtesse, nie mówcie mi tego... jestem ruiną, wiem to i czuję.

Oboje przypatrywali się sobie i straszny śladom lat ubiegłych. W tem spotkaniu było coś elegicznie smutnego i śmiesznego razem... Znajomość i miłość stanęły jak zegar na rozstania godzinie... a teraz... biła inna...

na świecie... i z wiosennego poranka zrobiła się noc zimowa.

Podróżny, który wrócił z wygnania i zastał domostwo w gruzach, szuka pod niemi zatraconych skarbów: tak oni w twarzach swoich odszukiwali oczyma rysów, które im zostały w pamięci.

— Mój podskarbicu — ozwała się po chwili Estella — trzeba się godzić z wolą przeznaczenia, starość ma swe dobre strony... straty przychodzą z pewnymi kompensatami, znamy lepiej świat i ludzi.

Uśmiechnęła się. — Słyszałam, żeś się ożenił...

Podskarbic głową pokiwał smutnie. — I bardzo bogato? — dodała żywo Estella — co nigdy nie szkodzi...

Na tem się teraz przerwała rozmowa, przytomny bowiem marszałek dworu i dama do towarzystwa nie dozwolili zwierzyć się szczerzej podskarbicowi z utrapień swoich; zaczęto mówić o czem innym... On utrzymywał, że czasy były liche i smutne, ona starała się je obronić.

— Wierz mi — rzekła — teraz jest lepiej; z tym ostatnim Sasem nie wiedzieć co było począć, do psów tylko strzelał, na kobiety ani patrzył i wolał to swoje Dreżno od Warszawy, która się była strasznie zabrukała. Król jest miły i dobry, na nieszczęście ma nieprzyjaciół...

Dano do stołu, a jedzenie u podzyłej pani było bardzo wykwintne, co i podskarbic cenić umiał... Siedli we czworo tylko, więc ceremonii nie było. Marszałek dolewał wina sąsiadowi, Estella zachęcała do jedzenia i picia, rozweselony żołądek oddziaływał na umysł. Podskarbic się rozruszał i podochocił, hrabina mu się nawet zaczynała wydawać młodszą. Szczerzej coraz oboje opowiadali sobie przygody przeszłości, a gdy czarną kawę podano i zostano sam na sam w gabinecie hrabiny, podskarbic stał się poufałym i serdecznym, jak za dobrych czasów... Całował białe rączki, z którymi lubiła się chlubić Estella, i spowiadał się ze wszystkich grzechów i utrapień. Ujęło ją to nadzwyczajnie, tak że uprzejmością starała mu się to wspomnienie dawnej miłości odplącić.

— Wiesz co Edwardku — rzekła w końcu — ja widzę, że ci coś cięży na sercu i duszy; nie masz pewnie lepszej przyjaciółki nademnie, możesz mi się zwierzyć, powiadam ci, z wszystkiego. Jeśli to jest co takiego, na co ja poradzić mogę? Mam bardzo rozległe i wielkiego znaczenia stosunki.

— Niestety — ozwał się podskarbic — to, co mi cięży na sercu, jest natury tak delikatnej, że chyba bym księdzu na spowiedzi mógł to wyznać... gdybym się jeszcze spowiadał.

— Jako! to ty się nie spowiadasz? — zakrzyknęła Estella ręce łamiąc.

— Odkładam... in articulo mortis... trzeba będzie wyznać wszystko — szepnął stary z westchnieniem.

— Cóżes ty zabił kogo?..

— A! nie!

— Stary rozpustniku, ciężą ci grzeszki młodości! — rzekła grożąc na nosku...

Podskarbic ruszył ramionami.—I! na to o rozgrzeszenie nie trudno — odparł z uśmiechem...

— Ale mówże, mów, ja cię nie zdradzę, mój Edwardzie, żal mi cię szczerze...

— Droga Estello — zawołał nieco napity podskarbic — tobie jednej powiedzieć to mogę...

— Ale mów już, mów—przysiadując się tuż i biorąc go za rękę, nagliła hrabina. — Cóż to jest?

— Wiecie już o mojem ożenieniu — począł zniżywszy głos podskarbic — to był powód pierwszy wszystkich nieszczęść moich... Wojewodzina miała syna... cała jej miłość zlała się na to dziecko; spodziewałem się, że i mnie pan Bóg obdarzy potomstwem... byłem zazdrośny... zbyt może przewidujący... Wystaw sobie, popełniłem ten błąd, zem się postarałem... aby to dziecko...

Nim dopowiedział, Estella krzyknęła i usta mu zatulila ręką... drugą zasłaniając sobie oczy...

— To okropność... dziecko... umarło...

— Nie, nie — przerwał Podskarbic — w istocie gdyby sobie było umarło, miałbym zapewne zgryzoty sumienia, alebym nie miał niepokoju i kłopotu.

— Więc cóż się z tem dzieckiem stało?

— Usunąłem je... usunąłem — rzekł podskarbic. — Wojewodzina ma je za umarłe... ale ono żyje... Oddano je na wieś. Chłopiec się dziwnym sposobem wyrobił. Przytem człek, który mi do tego interesu służył, ruszony głupiem sumieniem, zdradził mnie!.. chłopca uwieziono, i wystaw sobie... znajduję go... paziem królewskim...

— Ale czy ci się nie śni? nie żartujesz ze mnie? co mi za banialuki pleciesz? Jakżeby do tego doszedł?

— To i dla mnie zagadka — mówił cicho podskarbic — zagadka... Chłopca w osobliwszy sposób napiętnowała natura, bo podobny niesłychanie do ojca i ma jego znamie na twarzy... Trzeba było nieszczęścia, że go raz, gdy jeszcze był na wsi, żona moja spotkała, i zrobiło to na niej wrażenie niesłychane... chociaż nie domyśla się...

— Ale to są tragedye! tragedye! — zaczęła zrywając się z siedzenia i poczynając biegać po gabinecie Estella. — Czy ty mnie tylko nie mistyfikujesz?

— A! kochana hrabino, smutna to prawda tylko!

— Ja znam wszystkich paziów królewskich; którzyż to z nich, proszę cię!

— Na miłość Boga, hrabino...

— Bądźże spokojny, przecież ja cię nie zdradzę.. rychlebyhm pomogła. Do tej nieznośnej wojewodziny mam ząb okrutny... Któryż to, który z tych paziów?

— Wprowadzono go pod imieniem Leliwy; kto? jak? nie rozumiem i trwożę się...

— Leliwa! ten śliczny blondynek! Cherubinek! który ocalił pisarzównę od niedźwiedzia... wiesz o tem?

— Nie, nie wiem...

Estella poczęła historią niedźwiedzia, panny i pazia... Podskarbic słuchał z kolei zdumiony...

— Ten chłopiec jest na takiej drodze... że doprawdy może zajść daleko — mówiła hrabina — wszyscy się nim rokoszują, chwałą go, protegują.

— Ależ przecie — przerwał podskarbic — nie może się nawet z rodziców wykazać?

— No, a ci co go tu wyprowadzili na świat tak zręcznie, potrafią mu i jenealogią zesztukować — śmiejąc się rzekła Estella.—Czy tylko ty się nie mylisz, bo strach ma wielkie oczy.

— Radbym się mylić, lecz dowody mam wszelkie... Zapewne, dopóki ja żyję — mruknął posepniejąc podskarbic — chłopiec pozostanie, kim jest, lecz... po mej śmierci! Co za sromota dla imienia... wszystko się może wyjawić... wyciągną mnie z grobu... ten sługa, zdrajca niepocziwy...

Estella ochłonawszy bawiła się już końcem chustki...

— Ależ bo pozwól sobie powiedzieć — rzekła — postąpiłeś sobie w całej tej sprawie najnieroztropniej; któż rzeczy robi przez połowę...

Nastąpiło po tych wyrazach, pełnych straszego znaczenia, długie milczenie...

— Kto współników takiej roboty... zostawia pod ręką, aby każdego czasu zdradzić i świadczyć mogli?

I znowu było milczenie. — Byłeś bardzo złym, bardzo zepsutym — dodała Estella — a razem z tem, nadto dobrym i bojaźliwym... Que voulez-vous? qui veut la fin, veut les moyens.

Podskarbic nic nie odpowiedział.—Tyś całe życie zawsze wszystko, nie wyjmując miłości, robił po połowie... dlatego zostały się zgryzoty, strapienia i zawody...

Wymawiając te wyrazy minę miała tak słodziuchną, a głoszek dźwięczał tak niewinnie, jakby mu dawała naukę moralną. Podskarbic znękany wzdychał.

— Lecz co teraz począć? co począć? — odezwał się.

— Rada nadzwyczaj trudna — po namyśle poczęła hrabina — w istocie chyba los szczęśliwy uwalniając cię od tych natrętnych... świadków, mógłby uratować.

— Tak, zapewne — ozwał się podskarbic — ale ten chłopiec, ten... chłopiec... trzebaż było, aby się tu dostał i był na drodze... na której najprędzej szkodzić mi może ten zdrajca...

— Któż to taki?..

— Któż, jeżeli nie stary sługa, mojemu dobrodziejstwami obsypany...

Hrabina zacięła usta. — Prawdziwie, że mi cię żal, jesteś strasznie nieszczęśliwy... Historia z tysiąca nocy,

ale ci nawet najlepszy przyjaciel ani najgorętsza przyjaciółka nie może dopomóc...

— A! — szepnął do ucha nachylając się podskarbic — tyle jest sposobów... żeby tego chłopca uprzętnąć. Już ciżbyś pani coś mogła... gdybyś chciała...

— Nie tak łatwo, jak ci się zdaje...

— Król go lubi? starać się nań ściągnąć gniew królewski, podejrzenie... coś takiego, coby go silnie skompromitować mogło...

Estella zaczęła dumać, schyliła się z kolei do ucha podskarbica, i rozmowa dwojga dobrych, starych przyjaciół skończyła się szeptami, z których nikt już słowa dosłyszec nie mógł.

Podskarbic zamiast powracać do Krakowa, na zime postanowił zamieszkać w Warszawie; najął sobie mieszkanie, i nie chcąc wielkiego otwierać domu, ograniczył się skromnym kawalerskim urządzeniem. Szczególniej powab towarzystwa hrabiny Estelli, u której za zielonym stołem spędzał wieczory ciągnąc bank dla mnogich gości, w czym celował i co bardzo lubił, przyczynił się do zatrzymania go w stolicy. Najczęściej też jadł obiad u niej, jeżeli kto z dawnych nie zaprosił przyjaciół, odwiedzał kasztelana, i w małym kółku dobranych towarzyszków bawił się bardzo wesoło. Pomalutku przez nich wcisnął się i do takich domów, które go zrazu sobie nie życzyły i poglądały nań okiem niechętnym. Wielka ogłada, zręczność, dowcip odzyskany, umiejętność świata i znajomość serca ludzkiego, pomagały mu do tej nanowo rozpoczętej kariery. Gra była jego namietnością, a jest ona tą, która najdłużej przeżywa, gdy inne spopieleją. W domu hrabiny tysiące dukatów czasem przechodziły przez stół jednego wieczora... i kończyło się zwykle na tem, że dobra część zostawała w domu... Najzapaleńsi gracze, którzy zrazu sromotnie wygrywali, byli tu najpożądańsi, wiedzano bowiem dobrze, iż ostatecznie oni się najprędzej rujnowali.

Spółce tej jednak długo się nie udało w niczem Leliwie zaszkodzić, choć na ochocie nie zbywało obojgu, a na przebiegłości i zręczności hrabinie. W domu pani pisarzowej tylko Estella trochę podmyła grunt pod chłopakiem, szepnąwszy, iż po Warszawie różnie mówią o tych stosunkach, że to panience szkodzić może, a Leliwa niepotrzebnie się chwali, iż Ewunię rozkochał. Leliwa nigdy w życiu nikomu o panie pisarzówniej słowa nie wspomniał, ale wypadło z dobrze ukartowanej gry, puścić takiego szmermela, który pisarzowę, ostrożną Litwinkę, zniewolił do zamknięcia domu prawie zupełnie przed paziem; przestano go zapraszać, przyjmowano zimno. Ewuni dodawano jedną z sióstr, w ostatku uczuć dano chłopcu przestrzeń, jaka go od królewskich kuzynek dzieliła.

Leliwa zasmucony, kryjąc w sobie ból ustąpił. Ale zarazem zdrowie biednej Ewy pogorszyło się mocno, a lekarz oświadczył matce, iż jest zagrożoną, i że moralne cierpienie było choroby przyczyną. Próżno sobie łamano głowę, jakie mogło być to cierpienie moralne szlachetnej panienki. Matka nie wpadała nawet na myśl, żeby Ewunia kochać się mogła. Jakoś się to jej wydawało przedwczesnem. Dopiero czule siostry wykryły jakieś poszlaki, ślady, znaki tajonej miłości; dojrzały, że Ewunia siaduje w oknie, przed którym paż przejeżdża w pewnych godzinach, że naówczas zarumieniona mocno chusteczką jakieś mu daje znaki... Matka spłakała się i poszła po rozum do głowy, pojechała do króla IMości prosić go o radę... Sprawa była delikatna, bo ją taić należało; dzieciństwo to było, lecz mogące ciągnąć następstwa nie miłe za sobą. Król się uśmieł serdecznie z trwogi kuzynki, radził jej z drobnych rzeczy wielkich nie robić, i córce zakazem, srogością niewczesną myśli nie poddawać. — To są dzieciństwa — rzekł — oboje w tym wieku i położeniu, iż to nie ciągnie za sobą żadnych konsekwencyj.

Pisarzowa starała się skłonić króla, aby Leliwę wysłał gdzie, oddalił, przeniósł, ale to było trudnem.

— Naprzód powiem ci, że go lubię i że mi jest przy Albertrandim użytecznym — odezwał się król. — Jeżeli go z zamku oddalę, zostanie w mieście; a gdzież pazia posłać? jaką mu dać posadę? do wojska nie zdaje mi się, by miał powołanie. Nie zawinił mi też wcale, a wina względem was nie wielka, iż ocaliwszy życie córce waćpani, za jej wdzięczność miłością odplaca...

Król potrafił uspokoić pisarzowę, a pułkownikowi Königsfeldowi, który paziowskim oddziałem dowodził, poufnie szepnął, aby od siebie Leliwie zakazał zbyt częstych przejażdżek pod oknami pań pisarzównien. Chłopak otrzymawszy przestrożę zarumienił się straszliwie, zaczął tłumaczyć; trudno zaręczyć, czy był posłusznym, zawsze jakoś droga tamtędy wypadła.

Była to cała pociecha, gdy cień bladej twarzyczki mógł w oknie ogładać, do domu bowiem wcale go już nie proszono. Wypadek ten zasmucił mocno Leliwę, ale gdy się ma lat dwadzieścia, przeszkody miłość wzmaga. Leliwa miał tę pociechę nad innych, że troski swe w pracy topił i starał się ich zapominać wertując stare księgi. Albertrandi używał go do biblioteki, a że się właśnie poczynął spisywać naówczas zbiór monet i medalów, który Stanisław August gromadził, posługiwał się i do tego panem Janem, który był jego faworytem. Król, jak wiadomo, miał osobliwszą słabość do cudzoziemców; najmniejszy talencik, przybywający z zagranicy, oklaskami i szczególnymi dystynkcyami okrywany był na dworze. W służbie króla tylu było cudzoziemców, ilu się ich tylko pomieścić mogło. Właśnie pod ten czas przyjechał z Anglii jakiś jegomość, zowiący się Tomasem Price, przywoząc z sobą

piękny zbiór kamieni rzniętych i kameów, który za dosyć przystępną cenę ofiarował na sprzedaż. Poniatowski był zapalonym tych rzeczy miłośnikiem; przez kilka wieczorów u króla admiirowano tę daktyliotekę szacowną, czystość rysunku i niezrównane wykonanie. Stanisław August, który na takie rzeczy nie żałował kosztu... choć nabycie naówczas było dlań trudnem, oświadczył się z chęcią kupienia całego zbioru. Ów pan Tomas Price zniżył cenę akomodując się królowi, a sam, jako wielki znawca i miłośnik medalografii, ofiarował się też zbioru króla poukładać i zająć się ich spisaniem. Albertrandi miał w podróż wyruszyć, przyjęto Anglika chętnie... i z wdzięcznością. Price zatrzymał przy sobie do pomocy Janka Leliwę. Wielki ten jednak znawca i uczony, który się umiał sprzedąć za antykwarza, jakoś młodemu przewodnikowi po kilku sesjach wydał się raczej zręcznym komedyantem, niż znakomitym erudytem; zdawało się, że tu dopiero uczył się rzeczy, której nie znał, rachując na swą domyślność.

Dośledzono też łatwo, że część dnia ledwie przesiedziawszy w bibliotece, resztę czasu pędził po różnych domach, gdzie się wesoło zabawić było można bez zbytnej ceremonii, a wieczory przy stolikach gry, szczególnie u hrabiny Estelli. Był to człowiek ze wszech miar podejrzany, ale u nas cudzoziemców przyjmowano zawsze z taką weneracją, że dopiero katastrofa mogła oczy otworzyć.

Układały się kosztowne medale. Część dnia Leliwa pracował z panem Price, część on sam spędzał przy szufladkach, w których chronologicznie porządkował przepyszne, zewsząd nadsyłane złote sztuki i niezmiernej rzadkości egzemplarze... Trwało to dosyć długo podczas niebytności Albertrandego, i Price miał czas zyskać sobie liczne grono przyjaciół, o których hulakom zawsze najłatwiej. Wróciwszy z podróży Albertrandi poszedł do swych ulubionych szufladek, które na pamięć umiał. Uderzyło go to, że porządek był tak zmieniony dziwnie, iż się niczego doszukać nie było podobna... Niektóre najpiękniejsze okazy... poznikały.

Pierwszego dnia spytany Anglik, wytłumaczył się, że przyjął do układu systemat całkiem nowy; na drugi dzień przyciśnięty, zdumiewać się począł niesłychanie, gdzie medale podziąć się mogły. Sam tedy z Albertrandim przetrząsł wszystkie szuflady... Ze ścisłego poszukiwania okazało się, iż około sto sztuk monet i portugałów, wartości z górą tysiąca czerwonych złotych, brakło. Kustosz i Anglik osłupieli przerażeni... Zbiór był zamykany starannie, nikt do niego nie chodził... podejrzenie na pana Price paść nawet nie mogło... Albertrandi nie przypuszczał na chwilę, by sromotnej kradzieży dokonał młody, miły i zacy chłopak, do pomocy używany... A jednak nie kto inny, tylko on jeden mógł być winnym. Anglik zrazu go bronił gorąco, uległ w końcu przykrej rzeczywistości.

— Na miłość Boga — szepnął — potrzeba ostrożności nadzwyczajnej. Chłopiec mógł to popełnić przez płochość... za cóż go gubić na całe życie? Należy się wprzód zresztą przekonać... bo Leliwa nie wygląda na to, by mógł się tego dopuścić...

Zgodzono się, by nikomu nie mówić, nie robić wrzawy i rozgłosu; Price był za tem. Rozeszli się, a biedny kustosz zgryziony, zrozpaczony, dopatrzwszy godziny jakiejś, gdy Janka w domu nie było, bo go z listem król wysłał, wszedł do jego mieszkania, aby zarządzić poszukiwanie... W alkowie przy łóżku, na stoliczku, znalazł jakby umyślnie porozrzucane papierki, w które zgubione medale pozawijane były, i między niemi parę sztuk, jakby w pośpiechu zapomnianych.

Straszliwy ten dowód winy młodego człowieka tak przygnębił zrazu uczonego, iż padł na sofę i potrzebował długiego czasu, nim przyszedł do siebie... Należało niezwłocznie zabrawszy corpus delicti pójść wyznać królowi wszystko i żądać jego rozkazów. Był wieczór, i właśnie Stanisław August wyjechał do Pani krakowskiej, Albertrandi więc musiał zgryziony, kryjąc w sobie smutek, czekać jego powrotu.

Nazajutrz podziwienie wszystkich było wielkie, gdy się z cichych szeptów dowiedziano, iż w nocy, z niewiadomych powodów Jan Leliwa został aresztowany i uwięziony z rozkazu króla nie wiadomo gdzie... Zakazano rozgłaszać tę wiadomość, ażeby cały oddział paziów i sława dworzan królewskich na tem nie cierpiały, ale mimo to z ust do ust poszła nieszczęśliwa wieść po całym mieście. Price przyniósł ją pierwszy do hr. Estelli i szepnął w ucho podskarbicowi, który okazał nadzwyczajne wzruszenie. Pierwszy to raz los zdawał się mu być przyjaznym... Price nie wyjawiał powodu, lecz dał tylko do zrozumienia, że wina była ciężka i tak sromotna, że rehabilitacyi nie dopuszczała, a tak jawna i dowiedziona, że omyłka i oczyszczenie było niepodobieństwem.

Dowiedziała się tegoż wieczora pod wielkim sekretem o tem hrabina Estella, i znając stosunki wszelkie, z jak największym pośpiechem nazajutrz rano pojechała do pisarzowej. Starej wszetecznicy została z przeszłości miasto żywego dowcipu nielitościwa złośliwość. Szczególnie lubiła się mścić na młodych i szczęśliwych. Dawało jej to chwilę jakiejś drastycznej rokoszy, którą się nasyciała cheiwie.

Odwiedziny ranne, osoby, która nie zbyt często u niej bywała, zdumiały nieco panią pisarzową; domyśliła się znając osobę, iż pewnie ze złośliwą i skandaliczną przybyła plotką, a że Ewunia była w pokoju, skinęła chcąc ją odprawić. Hrabina jednak rzuciwszy się ścisnąć dziewczynę, którą zwała faworytką swoją, nie dała jej odejść.

— Ja tu tylko chwileczkę zabawię, chciałam się dowiedzieć po drodze o zdrowie wasze — odezwała się. — Coś mi Ewunia blada, i pani zmizerniałaś.

— Bom do tego życia miejskiego waszego nienawykła — rzekła Litwinka. — Warszawa mnie męczy, ja sobie prosta jestem wieśniaczka i gospodarstwo moje lubię najlepiej.

— Ja zawsze mówię, że to nie ma jak wieś — dodała hrabina — ludzie się w mieście psują... tyle okazji do złego! tyle pokus... A, apropos — szepnęła — wiecie historią Leliwy? królewskiego pazia? Wszak to, czy się tylko nie myślę (wiedziała doskonale co mówiła), czy się nie myślę, podobno ten, co którąś z pańien tak mężnie uratował...

— A! cóż mu się stało! — krzyknęła pisarzowa.

Hrabina zukosa rzuciła wejrzenie na Ewunię, która jak ściana zbladła...

— Doprawdy, nie wiem dokładnie — dodała hrabina — ale mówią, że popełnił jakąś okrutną zbrodnię, bo go, co u nas się nie trafia... Król kazał sekretnie uwięzić i zamknąć, nie wiedzieć gdzie...

— Zbrodnię! — krzyknęła Ewunia nie mogąc się powstrzymać — on! zbrodnię? a! to nie może być! — Tych słów domawiając biedne dziewczę padło zemdłone. Matka pobiegła ratować, przyleciała i hrabina rozpadając się nad biednym dziećciem... i przepraszając, że mimowolnie była powodem tak smutnego wypadku.

— Ale mogłam się domyśleć, iż chłopiec Ewunię waszę tak obchodzi...

Pisarzowa płakała, dom cały zbiegł się, zakłęto hrabinę, aby o tem nie mówiła nikomu, i stara żmija wyjechała łyż zostawiając za sobą, z uczuciem radości z tak zręcznie wypłatanego figla.

Zaledwie po kilku minutach zdołano się Ewuni do cucić; otworzyła oczy biedna i z płaczem rzuciła się matce na szyję, słowa nie mogąc wymówić. W tej chwili wszystkie inne względy ustąpiły przed macierzyńską troskliwością o życie i zdrowie dziećcia. Pisarzowa kazała natychmiast karetę podać i pojechała do zamku. Król zajęty był ambasadorem i przyjąć nie mógł, lecz uparta Litwinka siadła czekać na odjazd posła, kazała powiedzieć kuzynkowi, że widzieć się z nim musi, i wysiedziawszy dobrą godzinę, została przypuszczona przed pańskie oblicze...

Zapłakane oczy pisarzowej dozwalały się domyślać, że ją jakaś belesć dotknęła...

— Co się stało waćpani? czy uchowaj Boże co w rodzinie...

— Nic, N. panie — zawołała kuzynka — przybiegłam tylko dowiedzieć się. Rozpuszczono wieść po mieście o jakimś występku popełnionym przez Leliwę, tego, który mi córkę uratował. Moja Ewunia omdlała, życie jej zagrożone...

Król mocno sposepniał i zachmurzył się.

— Co to jest N. Panie, czy wistocie...

— Proszę tego nie rozgłaszać — odezwał się Poniatowski — rzecz wielce dla mnie nieprzyjemna...

— Czyż może być co tak ważnego?...

— Ważnego, bolesnego, przykrego — rzekł król — chłopiec zgubiony...

Pisarzowa ręce załamała.

— Chłopak tak zacny, tak uczciwy...

— Tak niepojęty hipokryta — przerwał Stanisław August. — Nie, nie mówmy już o tem — dodał — wracaj waćpani do domu... i niech imię jego więcej wspomnianem nie będzie. Radbym zapomniał, iż podobna istota... znajdowała się na moim dworze...

— Lecz cóż to być może?

— Proszę mnie nie pytać, rzućmy zasłonę na te brudy i szkaradę — zakończył król. — Próżnobyś się waćpani ludziła nadzieją, to człowiek zgubiony...

Wróciwszy do domu, Pisarzowa zamknęła drzwi wszystkim i płakała. Posłano po doktora dla Ewuni, która leżała w gorączce.

Nazajutrz, jeszcze ksiądz kustosz biblioteki królewskiej był w swem mieszkaniu na dole, gdy oparłszy się chłopcu, który puszczać nie chciał, mężczyzna już w wieku, nakuliwający na nogę, gwałtem się wdarł do pokoju uczonego. Albertandi podniósł głowę na szelest i zdziwił się, widząc z tą poufałością wdzierającą się postać, sobie nieznaną zupełnie, człowieka, jak z ubioru wnosić było można, należącego do klasy średniej, z twarzą pospolitą, ogorzałą, o brwiach nawisłych, i widocznie w tej chwili jakimś gwałtownem wzruszeniem zburzoną.

— Niech mi ks. prałat daruje — zawołał wchodząc — w takich razach, gdy o życie i honor idzie, ceremonii się nie czyni...

— O życie! na rany pańskie, o czyjeż życie? — zawołał Albertrandi.

— Gorzej niż o życie, bo o honor! o honor niewinnego chłopca. Na Boga, ks. prałacie, co się stało z Janem Leliwą? Ja jestem jego... jego opiekunem...

Prałat spuścił oczy i ręką machnął rozpaczliwie.

— Waćpan jesteś jego opiekunem — powtórzył — lituj się nad panem...

— Ale cóż zawinił? co mógł zawinić!... Ja tego chłopca znam do głębi duszy, niepodobieństwem jest, ażeby się mógł dopuścić winy jakiejś, zasługującej na tak nadzwyczajną surowość. Przysięgam prałatowi! to niepodobieństwo, to rzecz niemożliwa...

To mówiąc ręce złożył i jęknął. — Mógł jako młody popełnić płochość jakąś... mógł przekroczyć w czemś zakaz... ale...

— Ale... kochany mój panie — rzekł prałat. — Waćpan się domyślasz, a my, my mamy smutne, dotykalne dowody występku...

— Występku! na rany Boże! powiedźcież mi, co popełnił! Ja na widziane i na niewidziane przysięgam, że to potwarz, złość, zawiść lub intryga, która usiłuje zgubić niewinnego.

Prałat wyszedł ku drzwiom, chłopcu zakazał puszczać kogokolwiek bądź i zbliżył się do przybyłego.

— Radbym — odezwał się — oszczędzić panu boleści, radbym zataić tę sromotę, lecz wreszcie znaglony, zmuszony, wyjawić wszystko muszę. Nie czynimy rozgłosu, rzecz pozostanie tajemnicą, ale wypadek jest okropny!

Starzec otarł pot z czoła i łzy z oczów razem, płakał...

— Uspokój się pan... co się stało, nieodwołalne... kończył Albertrandi. — Rzecz się tak ma. Wszyscyśmy go kochali, i wszyscyśmy się doń przywiązali; ja go lubiłem, jak własne dziecko! Mieliśmy w nim nieograniczone zaufanie... Zawiódł je! zawiódł niegodziwie i nikczemnie... Użyłem go, dając mu klucze, do układania medalów królewskiego zbioru... skorzystał z mej niebytności i popełnił kradzież ogromną...

Stary oczy wyszczerzył, osłupiał, pomyślał, usta mu się skrzywiły, i dziko śmiać się począł.

— On!! on! popełnił kradzież! on! — zawołał — to jest proste niepodobieństwo, to jakaś najnikczemniejsza w świecie intryga.

— Ale, mój panie — począł prałat — kiedyśmy część monet i papiery od nich u niego w mieszkaniu znaleźli... corpus delicti... ja sam... ja memi rękami je u jego łóżka zebrałem.

Stary ręce załamał, ale wprędce odzyskał przytomność.

— Gdybyś ksiądz prałat sto razy mi to powiedział — ofuknął się — powtórzę, nie może być, nie może być, nie może być! Pytaliście jego?

Albertrandi zmieszał się.

— Pytano go, zapiera się, płacze, rozpacza — rzekł — ale cóż to znaczy przeciwko oczywistości...

Stary kroków kilka cofnął się zachmurzony.

— Nie powiem nic więcej. Bóg próby straszne zsyła na ludzi... jest to wypadek niezrozumiały... a mimo to zaręczam i przysięgam, on się okaże niewinnym, a ci, co tak lekkomyślnie...

— Jakto lekkomyślnie? Możesz to pan nazwać lekkomyślnością? — zapytał Albertrandi...

— Człowiek się nie zmienia w jednej chwili, ja go znam od dziecka... tam był ktoś inny... co nań chciał rzucić swą winę...

— Nikogo nie było — odparł ksiądz — jeden tylko cudzoziemiec uczony, człek szlachetny, którego nawet posądzić się nie godzi.

— A młodego chłopca godzi się posądzać? — spytał ironicznie stary...

— Przecież są dowody...

— Rozpatrzcie się w nich...

— Możesz pan być pewnym, iż sprawa ta z całą rozważą i zastanowieniem osądzoną zostanie...

— Sądźcie, sądźcie, ale i na sąd Boży pomnijcie — zawołał stary — pomnijcie i na to, że plama na honorze się nie zmywa... że żadne zadośćuczynienie jej nie odpłaci... że gdy niewinnego uwolnicie, w lat dziesięć ci, co nie znają rzeczy, bluzną w oczy jakąś nierozjaśnioną sprawą sromotną.

Albertrandi zdawał się mocno poruszony.

— Uspokój się pan — rzekł kładąc rękę na jego ramieniu — pojmuję ojcowską jego boleść. Król jest sprawiedliwy, ale serca litościwszego nadeń nie ma nikt. Oszczędzimy sromoty rodzinie i jemu, sprawa się stłumi, zamilczy...

— A jeżeli on się okaże niewinnym?

— Jakimże sposobem nim być może? są dowody dotykalne — przerwał prałat.

— Ja nie wiem, ja nic nie wiem, ja wiem jedno, że on musi być niewinnym. Ojciec mój — tu schylił się chcąc w rękę całować prałata, który się cofnął — zaklinam was na pamięć matki, na rany pańskie... pozwólcie mi się z nim widzieć... mówić!...

— To być nie może i odemnie to nie zależy — odparł Albertrandi. — Znalezione u niego kilka z monet skradzionych, ale cała ich masa znikła; musi powiedzieć, co zrobił z niemi... Indagują go, przyznać się nie chce, a dopóki szkoda nie będzie odzyskaną, nikt się z nim widzieć nie może.

Stary załamał ręce.

— Ileż ta szkoda wynosi? — zapytał.

— Przeszło tysiąc czerwonych złotych — rzekł prałat.

— Ja składam jako kaucją te pieniądze — odparł gorąco starzec — a dajcie mi go widzieć! dajcie mi pomówić z nim.

— Powtarzam wam, to nie zależy odemnie...

Kulawy mężczyzna sparł się na kiju, odstąpił nieco, pokorna postawa jego zaczęła nabierać wyrazu jakiejś obojętności i pogardy. — Czyńcież, co wam sumienie dyktuje — rzekł szydersko... gubcie powierzone wam dziecko... jeżeli wam to nie ciąży na sumieniu. Bóg niech wam przebaczy... Biada tym, co dziecko myśląc ocalić, w tę waszą otchłań rzucili...

Mówiąc to chciał niepokłoniwszy się odchodzić, gdy oburącz pochwycił go Albertrandi.

— Ale na Boga, rozżalony człowiecze, cóż było zrobić? — zawołał.

— Co było zrobić? — krzyknął zmarszczony starzec. — Przybłąda jakiś, włóczęga obcy razem z Leliwą miał powierzone klucze... nie znaleźcie go może, jak od kilku ty-

godni, a choćby mieścicy, i wolicie kradzież złożyć na szlachetnego młodzieńca, niż śledzić tego awanturnika, który mógł złodziejstwo popełnić...

— Co waćpan mówisz? co mówisz! Ależ dowody?

Kulawy strząsnął się, głowę odwrócił i odszedł milczący. Ostatnie jego wyrazy wszakże pewne wrażenie uczyniły na kustosz... zamyślił się...

Wieczorem były pokoje u króla... Stanisław August grał partycję z ambasadorem i dwoma dygnitarzami, gdy nadszedł rezydent angielski.. i okoliwszy stół tak, ażeby na oku królowi stanąć, pozdrowił go. Poniatowski rękę wyciągnął... Nie pora była do rozmowy; dyplomata tylko zdala wydobywszy z za kamizelki papier w kształcie listu złożony, ukazał go królowi, dając znać, że ma mu coś do powiedzenia. Gra wszakże trwała dosyć długo, a gdy oznajmiono wieczerzę, której król nie jadał, rezydent zbliżył się do niego.

— Miałeś mi pan co do powiedzenia? — spytał Stanisław August.

— Tak jest, Naj. panie, ale to rzecz natury nie naglącej... prywatna, choć może nie bez pewnej wagi...

— Mamy pójść do mojego gabinetu?

— A! nie, o politykę nie idzie, nie obawiam się, by nas podsłuchano. WKMość miałeś czy masz we dworze człowieka, który się zowie Tomas Price i nazywa Anglikiem?.. Król bardzo uderzony podniósł oczy. — Tak — rzekł — sprzedał mi zbiór kameów, a że jest wcale uczonym starożytnikiem i medalografem, użyłem go... do porządkowania mojego gabinetu...

— A! — uśmiechnął się rezydent — to wybór szczęśliwy!! Z wielkim smutkiem ostrzedz muszę WKMość, iż to jest oszust najgorszego rodzaju, rodem z Hamburga, zowiący się w istocie Müller, który długi czas mieszkał w Anglii, okradł zbiór Lorda Spencer, przy którym był konserwatorem, co dopiero po jego wyjeździe niby dla zakupna do Włoch dostrzeżono. Ścigają go listy gończe.

Król pobladł, westchnął, załamał ręce... spuścił głowę.

— A, kochany panie, nie uwierzysz — zawołał — jak w porę mi z tą wiadomością przybywasz! Czy mówiłeś już o tem komu...

— Żywej duszy...

— Może potrafimy go schwycić jeszcze i oddać w ręce sprawiedliwości! Wystaw sobie, że i u mnie na przeszło tysiąc dukatów jest szkody w zbiorach, a winę na szlachetnego, niewinnego, jak się zdaje, zrzucano młodzieńca... którego uwięzić kazałem... Lękam się, by ów Price, obawiając się odkrycia prawdy, nie uszedł.

Szczęściem ujrzał król generała Byszewskiego nieopodal, skinął nań i coś mu szepnął na ucho, poczem twarz pańska się wypogodziła. W kilka minut generał znikł z pokojów... Król pożegnał swych gości wcześniej i wszedł do gabinetu... Wezwano doń ks. Albertrandego... który wprędce się stawił. Zobaczywszy go w progu, Poniatowski zerwał się z krzesła i podał mu papier do przeczytania.

— Na, masz, czytaj i sądz.

W miarę, jak ks. Albertrandi podane pismo decyfrował przy świecy, zdumienie malowało się na jego twarzy... Wypadło mu wręście z rąk... które załamał.

— N. Panie! to jego sprawa! dzięki Bogu... chłopak mój niewinny...

— Czekaj, milcz... jutro wyjaśni się wszystko... podziękujemy Bogu... Mniejsza o stratę... choć zaprawdę — westchnął — drugiego w złocie Smoleńskiego medalu mieć nie będę! Pocziwie chłopię ocalone... honor narodu... Ja zawsze miałem wstręt jakiś do tego człowieka... Czułem w nim awanturnika...

Ks. Aldertrandi się uśmiechnął; nie chciał przeczytać królowi IMości, ale na prawdę Poniatowski tego wstrętu nigdy nie okazał... urodził się on dopiero przed godziną.

U hrabiny Estelli tegoż wieczora gra była nadzwyczaj ożywiona; kilka pań nawet zawzięcie stawiały złoto, nie obawiając się niem powalać pięknych paluszków; pan podskarbic bank trzymał. Uśmiechały mu się twarzyczki grających kilku bogiń, zmarszczonym uśmiechem odpowiadała na ich wdzięcznienie, ale tak jakoś nieszczęśliwie wypadło, iż wszystkie przegrywały. Jednym z najzawziętszych graczy był siedzący przy stole Anglik, p. Tomas Price, który sobie teraz dawał tytuł Daktyliothekarza JKMości... Szczęście wszakże nawet na ten szumnobrzmiący tytuł jego nie miało względu, przegrywał bowiem okrutnie, a im więcej chłonał bank, tem zawzięciej stawki podwajał... Podskarbic i dla niego miał wdzięczne uśmiechy, mało wszakże pocieszyć go zdolne... Zachmurzony wstał kilkakroć od stołu, przeszedł się po pokoju, namyślił nieco, szukał po kieszeniach, i na garść zebrawszy kilkanaście sztuk złota, dobytego z kamizelek i rozmaitych kryjówek sukni, miał stawić nanowo, gdy w progu ukazał się niespodziany, nie bywały tu gość, generał Byszewski... Gospodyni przyjęła go tem uprzejmiej, im mniej był poufale znajomym, ale zaraz w przywitaniu kilka słów cichych, wyrzeczonych przez niego, niezmiernie ją zmieszało. Generał siadł na chwilę przy niej, nie spuszczać z oka Anglika... a gdy gra miała się zaczynać nanowo, przystąpił do stołu... Właśnie Price, ważąc pieniądze na rękę, miał je już rzucić, gdy



ukośnem spojrzaniem ujrzawszy portugaly złote... Byszewski zbliżył się do Anglika... Za pozwoleniem — rzekł — gra nie uciecze... mam kilka pilnych słów do pomówienia z panem... Price jeszcze jakoś nic się nie domyślając podniósł głowę... Jenerał wziął go pod rękę...

— Chodźmy do przedpokoju...

Wyszli, drzwi się zamknęły... Gospodyni blada i pomieszana siedziała na kanapie; podskarbic czekał z ciąganiem na Anglika.

— Cóż tam ten jenerał miał tak pilnego? — odezwał się — ażeby aż grę przerywać! Anglik mi zaświecił całą garścią portugalców jak z pod stępla, muszę się zatrzymać.

— Ciągnij waćpan — sucho i kwaśno przerwała gospodyni — Anglik podobno nie wróci.

Podskarbic zdumiony obrócił się — Jako? a coż mu się stało?

— Jenerał przybył go aresztować i powiózł, bodaj czy nie do więzienia — półgłosem wyjęknęła gospodyni.

Ze wszystkich ust wyrwał się okrzyk zdumienia.

— Jakaś polityczna awantura...

— Nie wiem — rzekła hr. Estella — to pewna, że rzecz wielkiej wagi...

— A zatem tysiąca dukatów, które u niego wziąłem, już nie odegra — rzekł uśmiechając się podskarbic — co mnie wcale nie martwi...

W istocie Anglik nie wrócił. W przedpokoju była już straż, która go nie spuszczając z oka wyprowadziła do oczekującego powozu. Price wychodząc obejrzał się i sądził, że wśród ciemnej nocy łatwo wyrwawszy się niespodzianie ujść potrafi, lecz oficer w porę pochwycił go za kołnierz, i kilku mocnymi argumentami zniewolono go zająć przeznaczone miejsce. Napróżno odwoływał się do praw międzynarodowych, jako obywatel wolnego narodu, grożąc zemstą w Brytanii. Jenerał Byszewski z uśmiechem odpowiedział mu na to: Panie Müller, siedź spokojnie, bo ci każe włożyć bransoletki...

Posłyszawszy to nazwisko, więzień spuścił głowę, zamilkł, i na twarzy jego odmalował się wyraz zwątpienia. Opuściła go cała buta i śmiałość, z którą się jeszcze odgrażał przed chwilą. Powóz ruszył z więźniem, a jenerał Byszewski pojechał dać znać do zamku, iż Price został ujęty. Natychmiast przystąpiono do obejrzenia jego osoby, i znaleziono przy nim, po kieszeniach, znaczną część złotych medalów królewskich... W mieszkaniu delegat sądowy ciekawsze jeszcze odkrył zbiory starożytności już popakowanych, jakby zacny miłośnik nauki i medalografii spობił się już do wyjazdu. Były tam i medale ze zbioru króla, i reszty kolekcji Lorda Spencera, i nieświadomego pochodzenia różne zabytki, zdobyte w podróżach zapewne w ten sam sposób, jak portugaly z królewskiego Gazophyllacium (skarbcu). Znać miły ten gość nie spodziewał się wcale,

aby go zaniepokojono, obwarowawszy się zręcznie na czas jakiś podrzuconymi papierami i kilku sztukami w mieszkaniu Janka Leliwy. Rachował na to, że go nawet nikt nie będzie śmiał posądzić.

Leliwę po aresztowaniu osadzono w małej izdebce na obwachu zamkowym. Była ona przeznaczona na więzienie oficerskie, a w nadzwyczajnych wypadkach służyła dla znakomych więźniów, gdy szło o to, ażeby miani ciągle na oku, ani się wymknąć, ani z nikim widywać nie mogli. Odmalować, co się stało z nim, gdy się dowiedział, o co był obwiniony, tem trudniej, że to nie był gniew, ani rozpacz, ale rodzaj obrażonej dumy milczącej, zaczerpniętej z uczucia niewinności. Już postawa jego powinna była naprowadzić na to przekonanie, iż występny być nie może... Milczał tak chmurny, z zaciętymi ustami, z podniesionem czołem, nie chcąc się nawet ani tłumaczyć, ani uniewinniać. Ruszał ramionami, gdy go indagowano, i odpowiadał zaledwie półsłowy. Cierpiał okrutnie, ale się hamował. Ci nawet, co najmocniej przekonani byli, iż występny być musiał, dziwili się mocy charakteru, który ugiąć się nie dał... Tak dni kilka spędził pod strażą najściślejszą, nie okazując niecierpliwości, nie prosząc i nie domagając się o nic. Jedzenie odsyłał, ograniczając się chlebem i wodą, byle życie utrzymać.

— Wygląda na męczennika, nie na winowajcę! — szeptali oficerowie. Kilku z nich chcieli się doń zbliżyć, ale się w żadną z nikim nie wdał rozmowę. Zasunięty w najciemniejszy kąt izdebki, całe dnie siedział nie poruszony i milczący.

Gdy wieczorem pochwyciono Price'a i przekonano się o niewinności Leliwy, król natychmiast i po kilkakroć ponawiając wydał rozkaz, aby i chwili nadaremnie niewinny nie cierpiał, i żeby go nazajutrz rano uwolnionego przyprowadzono do niego. Czuł on i ks. Albertrandi, że tę fatalną omyłkę należało wynagrodzić jak najgłośniejszem uznaniem niewinności Leliwy... Rano było i ledwie poczynało świtać, gdy ks. kustosz z rozkazem króla wszedł na obwach, słowo szepnął oficerowi i pospieszył do więzienia izdebki. Chłopak nierozebrany, oparty na łokciu drzemał ze znużenia; otworzył oczy powoli, i przychodząc do przytomności powstał.

— Mój drogi panie Janie — zawołał ksiądz ręce obie wyciągając ku niemu, aby go uściskać — przychodzę z sercem pełnem radości zwiastować ci nowinę szczęśliwą. Twoja niewinność Bożą prawdziwie mocą i cudem odkryta została, wychodzisz czysty i niepokalany... Jesteś wolnym. Król rozkazał mi, bym, jak tylko wstanie, przyprowadził cię do niego...

Ks. prałat spodziewał się wybuchu radości, ale twarz Leliwy nie zmieniła się prawie, błysk i drgnienie przeleciały po niej tylko, brew się ściągnęła. Stał milczący.

— Chodź, dziecko moje, wyjdźmy ztąd; spocznij, orzeźwij się... — dodał Albertrandi...

Leliwa narzucił swój płaszcz na ramiona, i nie mówiąc słowa, udał się za księdzem... Znać było, że zbyt głęboko dotknięty posądzeniem, jeszcze przebaczyć go nie mógł.

— Przyznasz, mój panie Janie — mówił kustosz — iż okoliczności względem ciebie więcej niż my zawiniły. Stała się krzywda, ale nieunikniona... Bądź pewien, że król, który to czuje, sowicie ci się ją wynagrodzić będzie starał.

Chłopak skłonił się zimno i krokiem powolnym, rozstawszy się ze swym przewodnikiem, udał się do mieszkania dawnego... Stało ono tak, jak je porzucił, ale sprafanowane poszukiwaniem, którego samo wspomnienie go oburzało. Niepodlewane kwiatki poschły na oknie, rzeczy w nieładzie walały się po pokoju... Leliwa chwilę stał zamyślony, spoglądając na izdebkę, w której przeżył i przedumał tyle godzin szczęśliwych. Nie chciał ani na chwilę odpocząć już pod tym dachem; natychmiast zrzuciwszy z siebie liberyą dworską, zaczął ubogie swe rzeczy i książki pakować. Wykonywał to z jakąś zawziętością i pospiechem gorączkowym, chwycił, wiązał, uprzętał, jakby jednej godziny dłużej tu nie miał pozostać...

Król wstawał dosyć rano; jak się tylko ubrał, posłano po Leliwę. Paż, dawny towarzysz, który po niego przyszedł, zmieszany jakoś, zastał go pakującego rzeczy ostatek.

— Niepotrzebnieś to zrobił — rzekł — wszakże zostaniesz z nami.

— Nie — krótko odparł Janek — nie, bo nie chcę... Pali mnie tu, jakbym po ogniu stąpał, dusi powietrze, którem oddycham, mam dość dworu, łaski i służby...

— Czekaj! czekaj! słowo królewskie zmieni to postanowienie.

Leliwa potrząsł głową... Stali u drzwi gabinetu, z którego Ryx wychodził; wpuszczono Janka. Król wyciągnął doń rękę.

— Niewypowiedzianie mnie boli, coś niewinnie przecierpiał — rzekł. — Niewinniśmy! byliśmy w fatalnym błędzie. Wobec całego dworu uroczysem słowem mem oczyszczyć cię; proś, o co chcesz, czuję ci się dłużnym.

— N. panie — odezwał się Janek — o nic nie proszę tylko o uwolnienie, a WKMość raczysz też w oczach tych, o których dobre mniemanie mi idzie więcej niż o życie, oczyścić mnie z ohydnej plamy...

— Tak, przyjeżdżała tu p. pisarzowa prosić za waćpanem, dziś jeszcze ja pojedę do niej, powiem jej. Ze służby nie potrzebujesz się uwalniać, ja ci ręczę, że tego nie będziesz żałował.

Leliwa się skłonił.

— Wdzięchen jestem za łaskę WKMości — rzekł — lecz postanowienie moje niezmiennie. Miałem czas przez tych kilka dni zastanowić się nad sobą; nie jestem stworzony do dworu...

— Czuć jeszcze w wyrazach tych gorycz, jaką cię napełnił ten wypadek, ale nigdy jawniej, dowodniej niewinność nie wyszła w tryumfie...

Leliwa zmilczał; pukano do drzwi, skłonił się i wyszedł. W korytarzach otoczyli go towarzysze, znajomi, winszując mu i ubolewając i ciesząc się. Podziękował sucho... wszyscy zrozumieli, iż krzywdy nie przebaczył, że tkwiło w nim jej uczucie jeszcze tak żywe, tak gorące, iż się lękał ust otworzyć, aby się z niem zbyt wyraźnie nie objawić...

Z postawy Leliwy wyczytał to król także i zabolął nad tem; nie stracił godziny, spełniając, co przyrzekł. Kazał mu być na pokojach, i zgromadziwszy cały dwór, w wyrazach najzyczliwszych oddał sprawiedliwość pokrzywdzonemu. Karetą stała gotowa, Leliwie kazano towarzyszyć jej konno do pani pisarzowej.

Tu o niczem nie wiedziano jeszcze, dom cały był w strapieniu wielkiem, bo Ewunia coraz gorzej się miała. Zebrani doktorowie bardzo byli o nią niespokojni, matka jedna i siostry domyślały się przyczyny tego nagłego wstrząśnienia i choroby... Wielkie było podziwienie pani pisarzowej, gdy oznajmiono króla, a większa jeszcze radość, gdy się ukazał, wiodąc za sobą Leliwę. W kilku słowach zrehabilitował młodzieńca, który stał zarumieniony z należnym poszanowaniem w progu. W tejże chwili Ludwika, która była przytomna przyjęciu, pobiegła do łóża siostry szczęśliwą jej oznajmić nowinę.

Można sobie wystawić, jak radość była wielka i jak podziałała na chore dziewczę, kiedy ku wieczorowi już tego dnia lekarze znaleźli polepszenie. Pisarzowa zapomniawszy ostrożności, chciała posłać do zamku i zaprosić pod jakim pozorem Leliwę do siebie, lecz biedny chłopak zaledwie wrócił z królem do zamku, zabrał co miał i natychmiast dwór i służbę opuścił...

Ks. kustosz niezmiernie go żałował. — Harda dusza, harda dusza — powtarzał — dziwować się nie ma co, krew to szlachecka, która choć urazę przebaczy... zapomnieć jej nie umie. Ani mu się dziwować godzi, iż dwór opuścił; daj Boże tylko, by się nie zmarnował i nie przepadł.

Gdyby był Janek pragnął, mógłby zostać na dni kilka przynajmniej prawdziwym bohaterem, tak cała Warszawa zajmowała się jego przygodą, którą umyślnie, dla zupełnego oczyszczenia chłopca niewinnie posądzonego,

ogłosił w gazecie swej ks. Łuski, opisując zarazem historią Tomasza Price alias Jana Müllera... który teraz wybierał się do rodzinnego Hamburga w niemiłym towarzystwie policyjnych strażników.

Szukano oczyma pana Jana wśród królewskiego dworu, i dowiedziano się z podziwieniem, iż natychmiast podziękowawszy za służbę, zamek opuścił. Między innemi doszła o tem wiadomość i do pana podskarbic, który się głęboko nad nią zadumał. Uwolnienie Janka nowym go nabawiało niepokojem; posłał na zwiady zaraz, dokąd się udał, i jakie miał zamiary nadal. Dowiedzenie się wszakże nie tak było łatwym, jak się zrazu zdawało. Wprawdzie wyniósł się z zamku, lecz dokąd, nie spowiadał się nikomu. W mieście nikt go nie widział, domyślano się, że mógł wyjechać, a podskarbic zaczynał go posądzać, iż mógł się udać do Krakowa. Cóż, gdyby powziął myśl jechać z podziękowaniem do ex-województwiny?

Zaniepokojony mocno podskarbic kazał szukać kulewego Brzeskiego, nie wiedząc w jakich zamiarach. O tym wiedział z pewnością, że się znajdował w Warszawie, a nie wątpił, że o schronieniu Janka i jego projektach wiedzieć musiał.

Nieszczęśliwemu kuternodze trudniej się było ukryć ze swoim kalectwem, niż komu innemu; wynaleziono go wprędce w jakimś dworku za Nowym Światem. Posłannik podskarbic znalazł jego i żonę pakujących się do podróży. Na zaproszenie Brzeski ramionami ruszył, coś odmruknął niewyraźnego, ale w końcu dodał: No, to przyjdę.

Zjawił się nazajutrz kwaśny i posepny. Podskarbic, który noc spędził niespokojną, kazał zaraz drzwi pozamykać i wciągnął go do najdalszego gabinetu.

— Słuchaj Brzeski — rzekł — gadajmy po ludzku... Jesteś na mnie zły, a to jabym na ciebie się wściekać powinien. Jednakże widzisz, przebaczam ci...

— Ale zapewne! — przerwał kuternoga — a ja panu nie przebaczam, boś mnie wciągnął w to... za co ja całe życie pokutować muszę...

— Boś głupi — odparł podskarbic — cóżes takiego zrobił?

— A łzy tej kobiety?

— Dajno pokój, to są romanse — zawołał podskarbic — mówmy o tem, co jest.

Dumny pan zbliżył się do sługi.

— Co on myśli czynić z sobą?

— Któż to on? — rzekł Brzeski.

— Nie nudź mnie i nie doprowadzaj do niecierpliwości, gdy aż nadto rozumiesz. No, on, ty przecie wiesz o nim.

— Ja tam nic nie wiem — bąknął kuternoga.

— Czuję się w obowiązku pewnej restytucji, a radbym, żeby sobie gdzie ztąd daleko ruszył. Rozumiesz... Niech się wybierze do... do... no! dokąd chce, byle daleko; dam mu pomoc... mogę mu coś ofiarować.

— Ani ten on nie przyjmie, ani ja mu będę śmiały to proponować...

— No, cóż z sobą robi?

— Albo to ja go prowadzę... Zrobi, co zechce...

— Przyszłej go do mnie...

Brzeski potrząsnął głową — Nie pójdzie, i ja go nie poszlę.

— Patrzyć tylko, stary ty bigocie — zawołał zniecierpliwiony podskarbic — że ty przez źle zrozumianą o niego łośkliwość gubisz go. Przecież go nie zjem. Dałbym mu do kaduka jakie tysiąc czerwonych złotych, żeby się z kraju wyniósł. Hm? Dwór saski zawsze jeszcze pamięta straconą Polskę... pełno tam naszych, znalazłby protekcją, przyjęłoby go do wojska...

— Tak! śliczna planta! — rozśmiały się Brzeski — ale do czego jemu to wszystko? Gadajmy otwarcie, kiedy już o tem pan mówić każe. On młody, pan stary... są świadki i dowody, co się stało; póki pan żyjesz, milczymy... a potem... on swe prawa odzyszcze...

Podskarbic aż się rzucił.

— Niedoczekanie wasze! Ja żyć będę, tyś starszy ode mnie, a gdy ciebie nie stanie, jak dowiodą? jak?

— To moja rzecz — spokojnie dodał Brzeski. — Jam starszy, ale pan żyłeś nie szcędząc życia, a ja sobie pomaleńku... Toć zobaczymy, co Bóg da. — Zimna krew kuternogi do wściekłości niemal przyprowadziła podskarbicę.

— A no, to zobaczymy — rzekł szydersko.. Ja się też będę starał obronić, dziękuję za przestrożę...

— Nie ma za co — szepnął Brzeski, pokłonił się i wyszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# BANITA.

DRAMAT HISTORYCZNY W V. AKTACH.

Przez LEOP. hr. STARZEŃSKIEGO.

## AKT II.

(Noc. Las w okolicach Łobzowa.)

### SCENA I.

ZORYA, CYGANIE (ugrupowani w głębi spoczywają; rozwidniają się stopniowo, przy końcu aktu dzień)

#### SPIEW.

Czy wichry szumią, czy burza miecie,  
Sklepienie lasów to dla nas dach,  
Jak listki zwiędłe gonim po świecie,  
Jak cienie czarne w złowieszczych snach.  
Bó my cyganie, wszędzie dokoła  
Błąkamy ciągle od dawnych lat,  
Bo z góry na nas jakiś głos woła:  
„Drużyno błędna! hej! dalej w świat!“

Po co nam pola? po co nam chatki?  
Chleba nie rodzi nam złoty łan;  
Tu dziecko nie zna ojca ni matki,  
Nikt mu nie władca i nikt nie pan.  
Nasza to ziemia, którą stopami  
Dotyka cygan, gdzie spoczął rad,  
Pokąd nie zagrzmi znów głos nad nami:  
„Drużyno błędna! hej! dalej w świat!“

A kiedy cygan zawrze powieki,  
To grób drużyna wygrzebie mu,  
I garstką ziemi żegna na wieki,  
Do spokojnego kołysze snu.  
I nad mogiłą długo nie czeka,  
Choć pod nią drzemie towarzysz brat,  
Bo głos odwieczny woła zdaleka:  
„Drużyno błędna! — hej! dalej w świat!“

Iwszy CYGAN.

W pochód chłopcy! bo już dnieje!  
Dosyć długo tu gościmy;  
Rozbudzone wkoło knieje,  
A my jeszcze tu bawimy?!

STARY CYGAN.

Jakież ciebie pędzi lichy?  
Cygan wszędzie jak w gościnie,  
Tu swobodnie i tak cicho —  
Wszak i tutaj doba minie.

Są jagody — jest krynica,  
A w dzień będą cienie drzewa,  
Księżyc w pełni nam przyświeca,  
Ot — niech Zorya nam zaśpiewa.

ZORYA.

Niech się stanie, jak każecie; (patrząc w prawo)  
Lecz się rycerz jakiś zbliża. —  
Patrzcie! czy go poznajecie?  
Coś ze smutkiem głowę zniża.  
Oko modre jak sokoła,  
Lica blade, włos bogaty,  
Troska widna z jego czoła,  
Choć złociste na nim szaty.  
(Zorya i cyganie usuwają się w głąb)

### SCENA II.

CIŻ i SAMUCHA.

SAMUCHA.

Tu na nich czekam — już powinni wrócić  
Wysłańcy moi na zamek krakowski;  
Czyli jałmużnę raczy kanclerz rzucić,  
Którą z pokorą podniesie Zborowski?  
Dziś przed Zamojskim korzy się Samucha!  
Przed nim? co wbił się z łaski mojej rodziny.  
Jego wyroku teraz banit słucha,  
Tułacz — wyklęty wśród ojców dziedziny.  
W piersi wzbierają nienawiści zdroje!...  
Tak.. nienawidzę... a zginam kolana!  
O! zaporoskie wy orleńta moje!...  
Czyż poznajecie waszego hetmana?...  
Ale tam... ona... Ja dla niej to muszę...  
Chociaż mgła wstydu wzrok mi teraz mroczy;  
A brzemie hańby gdy przygniecie duszę,  
Wtedy jej wstęgą zakryję me oczy.  
(siada zadumany na pniu po prawej)

STARY CYGAN (zbliża się do niego)

Sława Bogu!

SAMUCHA (nagle ockniony)

Ha! na wieki!  
Zkąd że takie pozdrowienie?  
Bo mnie myślą w kraj daleki  
O niem wiedzie przypomnienie.

STARY CYGAN.

Wciąż błakając — my cyganie  
Tyle w życiu zbiegniem świata;  
Różny zwyczaj — możny panie!  
Ze stron różnych z nami lata.  
Pozdrowienie to w zwyczaju  
Mamy lat już dziesięć może,  
Z dalekiego ono kraju,  
Kraj ten zowią Zaporozie.

SAMUCHA (rzuca mu worek z pieniędzmi)  
Wy tam byli?... mówcie! — proszę!

STARY CYGAN.

Dzięki przyjmcie za ten datek,  
Możny panie! — za te grosze  
Będzie jutro chleb dla dzieci.  
Lecz cóż mówić wam o Siczy?  
To kraina taka głucha,  
Kozak tęskny bez zdobywcy,  
Bo odjechał pan Samucha.

SAMUCHA (z uśmiechem)  
Któż to taki?

STARY CYGAN.

Jak to? panie!

I wy o to mnie pytacie?  
Wy nie wiecie o hetmanie,  
Co? Samuchy wy nie znacie?  
Wszak to o nim lud kozaczy  
Cuda prawi w każdym słowie;  
On na Siczy więcej znaczy,  
Niżli tutaj król w Krakowie. —  
Mówią ludzie, że on żyje,  
Ale każdy go unika,  
On się gdzieś w tych stronach kryje,  
Bo miał przejść na rozbójnika.

SAMUCHA (porywco)  
Wiem, kto potwarz taką sieje,  
Sławę szarpiąc niecną dłonią,  
Zdeptać, zhańbić ma nadzieję.  
Taką kanclerz walczy bronią.

STARY CYGAN.

Któż to wszystko dzisiaj zliczy,  
Co tam o nim lud opiewa?  
I te pieśni o nim z Siczy?  
Lecz... ot... Zorya wam zaspiewa.

SAMUCHA (do Zoryi)  
Spiewaj dziewczę! smutek ginie,  
Kiedy rzewną piosnkę słyszę,

Co z nad Dniepru ku mnie płynie,  
Ona w błogie sny kołysze.

(Siada na pniu po prawej)

ZORYA (spiewa)

I.

Smutno coś płyną przez Porohy wody;  
Czyż mgły nad Dnieprem wiatr nie rozwieje?  
Przed chatką tęskni, płacze kozak młody,  
Bo mu szablica przy boku rdzewieje.  
I tak mu tęskno, — bo to Zaporozie  
Jakby grób ciche — ziemia pusta — głucha —  
Bo w kraj daleki, czy tam gdzieś na morze,  
Pogonił zdawna nasz hetman Samucha.

II.

Zbroja złocista i błękitna wstęga  
Odkąd kozacych nie prowadzi szyków,  
Turek po ziemie ruskie śmiało sięga,  
I w Siczy gwarno od tatarskich krzyków.  
Nad mogiłami wiatr od wschodu jęczy,  
I wkoło Dniepru tam pustynia głucha,  
A stary kozak na kurhanie kłęczy:  
„Kiedyż do Rusi powróci Samucha?”

III.

Może powróci do swych tęsknych braci;  
Kozacza dusza błędna i stroskana,  
Jakby rój pszczołek, gdy matkę utraci,  
Naprawdę szuka swojego hetmana.  
Żurawie ciągną co wiosny przez chmury,  
A kozak milczy i z tęsknotą słucha,  
Czy ptak wróżbita nie zakracze z góry,  
Że już do Siczy powraca Samucha.

SAMUCHA (wstaje)

Niech ci piosnkę Bóg zapłaci,  
Dziewczę! — Głos twój rosą spływa,  
On mi kwiatem — łąką mych braci;  
Spiewaj dziewczę! żyj szczęśliwa!  
Lecz Samuchy pieśń zapomnij,  
Co w kozackim dźwięczy płaczu,  
Ale czasem o nim wspomnij,  
Nucąc piosnkę o tułaczku.

ZORYA.

Nam to miano przynależy;  
Prócz tej ziemi nic nie mamy,  
Co daleko — wkoło leży —  
Strzechy, gniazda my nie znamy.

SAMUCHA.

O! szczęśliwa taka dola,  
Jak ptak skrzydłem bując w chmurach;  
Was nie dręczy obca woła,  
Wam się nie śni o torturach.  
Bo nikt karku wam nie zgina,  
Nikt nie stroni jak od węża,  
I bezpieczną wam gościna,  
Nikt was klątwą nie zwycięża.  
Wam uściskać wolno brata,  
U wrót z mieczem kat nie stanie,  
Wam gościnną polska chata,  
O! zazdrozczę wam, cyganie!

ZORYA.

Wam coś smutno na tym świecie,  
Może zdołam rozgnać burzę,  
I jeżeli panie chcecie,  
To coś z ręki wam powrózę.

SAMUCHA (ponuro)

W życiu mojem nocne ciemnie;  
Będziesz patrzeć w nie daremnie,  
Bo nie znajdziesz tam poranka.

ZORYA.

W nocy widzi ptak wróżbita.  
Takie oczy ma cyganka,  
W dziejach przyszłych jasno czyta.

SAMUCHA (zdejmując rękawicę)

Więc wyczytaj, moje dziewczę!  
Czy mnie luba kocha jeszcze.

ZORYA (patrząc mu długo na rękę i w oczy)  
Piękny rycerzu! twój ród wysoki,  
Miecz cię nie zawiódł nigdy w potrzebie,  
Tłum liczny, zbrojny, szedł w twoje kroki,  
I nigdy oręż nie dotknął ciebie.  
Sława ci w boju wiecznie odpowie,  
Trwogi nie zazna nigdy twe łono,  
I ten to szyszak, co masz na głowie,  
Dla ciebie niegdyś był już koroną.

SAMUCHA.

Niech twe dojrzy oko wieszczę,  
Czy mnie „ona“ kocha jeszcze.

ZORYA (patrząc mu długo na rękę)

Kocha... ale... (wstrzymuje się)

SAMUCHA.

Mów!

ZORYA.

Widzę... rzecz dziwna.

I nie wiem, jak to powiedzieć mogę...

Ale znak jasny... wyrocznia pewna...  
Strzeż się rycerzu! — przyjmij przestrożę:  
Twój miecz tak słynny, jedyny w świecie,  
I w nim twą całą kładziesz nadzieję,  
Ale się znajdzie miecz cięższy przecie,  
On krew twą całą na raz wyleje.

SAMUCHA.

Za tę wróżbę — Zoryo, dzięki!  
Że od miecza śmierć mnie czeka.  
Ale z czyjej zginę ręki,  
Tego chciałbym poznać człeka.

ZORYA.

Człek, coby nigdy nie śmiał oręza  
Na ciebie podnieść śród żadnej zwady,  
A jednak kiedyś — dłoń tego męża  
Śmierć tobie zada jawnie — bez zdrady.

### SCENA III.

CIŻ, KAZIMIERZ, EZECHIEL.

SAMUCHA (sposztrzeżając ich).

Wy!...

KAZIMIERZ.

Sława Bogu!

SAMUCHA.

Na wieki!

CYGANIE.

Na wieki!

SAMUCHA.

I jakież wieści niesiecie dla druha?

KAZIMIERZ.

Chociaż się zdaje kres jeszcze daleki,  
Jednak u celu stanie nasz Samucha.

CYGANIE (przestraszeni)

Samucha!!! (zrywają się pomieszani)

SAMUCHA (z goryczą pokazując cyganów)

Patrzcie! to kanclerza praca!

Nad głową moją on potwarz zawiesza,  
Przed ludem imię me w hańbę obraca:  
Przed rozbójnikiem pierzcha błędna rzesza! (do cygana)  
Tak — jam Samucha! — lecz nie miejcie trwogi,  
Idźcie i mówcie... to wam Bóg zapłaci,  
Że ten którego zbójcą zwali wrogi,  
Nigdy nie przelał kropli krwi swych braci.  
(Cyganie odchodzą.)

## SCENA IV.

KAZIMIERZ, SAMUCHA, EZECHIEL.

SAMUCHA (spokojnie)

No — i cóż sprawa?

EZECHIEL.

Odprawę nam dano.

KAZIMIERZ (przerywa mu)

Pańskiego brata podstęp już im znany;  
Nas do stóp tronu przypuścić nie chciano,  
Na ród twój panie, król zbyt zagniewany.

SAMUCHA.

Niewdzięczny! naszem wzniesiony ramieniem,  
Dzisiaj, król wielki, tak się s płaca z nami!  
Sromotnej kłatwy okrywa nas cieniem,  
I ród mój depce zuchwale nogami.  
Łaską, zaszczytem on innych obdarza!  
Tem się zasłania, o czem ja nie śniłem;  
Wszakże ten podstęp, co go tak przeraża,  
Spisek Marcina, zdawna potępiłem.

EZECHIEL.

To kanclerzowi powiedziałem, panie!  
I na to dałem mu rycerskie słowo.

KAZIMIERZ.

I kanclerz w zamian dał zobowiązanie,  
Że pomoc jego mamy wciąż gotową.

EZECHIEL.

On obiecuje, lecz pewnie nieszczerze;  
Oj! ja nie wierzę coś nic w tego ptaszka!  
Kiedy co prawi, to mnie wściekłość bierze;  
Mówił, że hetman jest jakiś... wataszka...

SAMUCHA (gwałtownie)

O!.. tak.. wataszka!.. Bom wśród bojów krwawych  
Tam — rycerskiego był głową zakonu,  
Bom się nie wikłał w intrygach plugawych,  
Jak on — nie pełzał do podnóża tronu.

EZECHIEL.

I jeszcze na nas nowa kara boska,  
Bo coś u tronu przeciw nam powstaje  
Bardzo zawzięcie, ta pani Wapowska.

SAMUCHA (przerażony)

Ha! — co?... to imię!.. pocóż przy mnie staje,  
Jak czarne widmo zawsze za mną goni,  
Sny me zamąca, w sercu topi szpony...  
Widzę ten topór, co mu uwiązał w skroni...  
Starzec bezbronny — cały krwią zbroczony!..

I jakaś czarna myśl w mózgu się kręci,  
Coś gniecie straszniej to jarzmo banity,  
I ciągle... ciągle... stoją mi w pamięci  
Te dziwne słowa cyganki wróżbity:  
„Człek, coby nigdy nie śmiał oręza  
Na ciebie podnieść śród żadnej zwady,  
A przecież kiedyś dłoń tego męża  
Śmierć tobie zada jawnie, bez zdrady.“

KAZIMIERZ.

Niech wam ta mara już z myśli uleci!  
Wszystko się zmieni, jeszcze Bóg nad nami!  
Śród burzy gwiazda jeszcze jasna świeci:  
Księżniczka dzisiaj prosiła za wami.

SAMUCHA.

Ona!.. ach!.. powiedz!

EZECHIEL (machnąwszy ręką)

O! jest o czem prawić.

SAMUCHA.

Mów! moje oko widzi światło wieszczę,  
Ona mnie kocha... tak, chciała mnie zbawić...  
Ty milczysz?..

KAZIMIERZ (pomieszany)

Panie! tak, ja nie wiem jeszcze...

EZECHIEL.

Jużto w kobiece tylko ufać słowo,  
Lub w przyrzeczenia wierzyć swej kochanki,  
To wolę, panie, z tarczą papierową  
Na turniejowe gdzieś wyjechać szranki.

SAMUCHA.

Cóż to ma znaczyć?

EZECHIEL.

Taka to już dola!

Wiesz, że zaledwo moim uszom wierzę;  
Ale księżniczka wasza, z woli króla,  
Z panem Zamojskim już dzisiaj ślub bierze.

SAMUCHA (nieprzytomnie)

Ty kłamiesz!

EZECHIEL.

Panie!..

KAZIMIERZ.

On prawdę powiedział.  
Okaż się mężem, biedny przyjacielu!  
I znieś odważnie ten okropny przedział.

SAMUCHA (chwytając się za serce)  
Prawdę?... Kaźmierzu!... Prawdę? Ezechielu!...  
(pada w ich objęcia i tak pozostaje przez chwilę,  
potem zrywa się gwałtownie).  
Zamojski! zawsze!... Niech mego ucha  
Odtąd nie razi jęki, bole bratnie,  
Bo po raz pierwszy zapłakał Samucha!  
O! lzy to pierwsze... ale i ostatnie...  
Ja Zamojskiemu sromoty rumieniec  
Na przymrużone wycisnę powieki,  
I miecza ostrzem wydrę ślubny wieniec,  
Że odtąd o mnie będzie śnił na wieki!  
Tam... Zaporozców powiodę w gościnę,  
Aż dzwon pogrzebu jęknie na Wawelu,  
Hej!... moję zbrojnę przywołać drużynę,  
Dziś jeszcze hulać będziem na weselu.

(odchodzi)

(Zasłona spada)

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

### AKT III.

(Dziedziniec w zamku Łobzowa. Po lewej od widzów widno zamkowe skrzydło, do którego wiodą drzwi. W głębi, przez całą długość sceny, ciągnie się galeria kryta, wiodąca do kaplicy. Na przedzie po prawej, na podwyższeniu, altana otoczona krzewami i klombami)

### SCENA I.

MARSZAŁEK DWORU KANCLERZA, SŁUŻBA, KOZACY  
(pośród nich ukazuje się) SAMUCHA (w kozackim ubiorze)

MARSZAŁEK DWORU (do służby)  
Służba! Na szpaler tam iść, przed kaplicę!  
Wszystkich po stopniach i barwach ustawię,  
Gdzie kto stać winien. — Tę ważną różnicę  
Znam ekspedyte i dobrze się sprawię.  
(Służba odchodzi. Do Samuchy, który stoi nieruchomy)  
No idźże także, tam gdzie służba cała.

SAMUCHA.

Ja tu zostanę.

MARSZAŁEK DWORU.

Niewolno, mój bratku!

Dystynkcyja każe, by wprzód służba stała,  
A wy, kozacy, na samym ostatku.  
Na ukończeniu już ślubne obrzędy,  
Z kaplicy wyjdą wkrótce państwo młodzi,  
Król z dworem całym przechodzić ma tędy;  
By sługa w drodze stał, to nie uchodzi.

SAMUCHA.

Ja tu zostanę, ztąd chcę widzieć króla.

MARSZAŁEK DWORU (do siebie)

Ten upor w słudze, to rzecz całkiem nowa, (głośno)  
Lecz nie mam czasu; zostań, jeśli wola! (do siebie)  
Dumny, bo w barwie panów ze Zborowa. (odchodzi)

### SCENA II.

SAMUCHA (sam)

W takiej to postaci, hetman światu znany,  
Jak zwierzę ścigany przed ludźmi się chowa,  
Pośród służby zgrai, za służbę przebrany  
Staje do uczy na zamku Łobzowa.  
Król z dworem całym tu przybył w gościnę,  
Będzie pamiętny dzień w Zamojskich rodzinach;  
Kancelarz z krwią króla złączony w tej godzinie,  
Ślub się odbywa w starościńskim grodzie.  
Po ślubie uczta... Ha!... ha!... bądź cierpliwy!  
Bo wiwatowe nim spłyną puhary,  
Ręka się dotknie, małżonku szczęśliwy!  
I wleje gorzką truciznę do czary.

Tobie się nie śni, jakich nowych gości  
Zamku twojego wnet pożar oświeci,  
I wśród weselnych okrzyków radości

Chór: „Sława Bogu!“ w obłoki uleci. —

(Słychać za sceną muzykę grającą marsz do pochodu orszaku ślubnego, i trwa do końca sceny.)

Ha już się stało! — już węzeł związany!

Którego ziemską siła nie rozrywa.

Więc leć odważnie — mój duchu zbłąkany!

W bezdenną przepaść, w którą czart cię wzywa.

(Dwór królewski przez galerię kroczy zwolna do zamku)

To dwór królewski! — Jak rzeka wezbrana,

Poważnie, dumnie, tam płynie bez końca;

Każdy z nich świeci łaską swego pana,

Jak gdyby gwiazda od promieni słońca.

Poznaję wszystkich: Mniszek, Urowiecki,

Prymas kardynał, Górka, Zebrzydowski,

Tam znów Tenczyński, generał Humiecki,

Janusz Radziwiłł, Potocki, Ostrogski.

Ja, niegdyś słynny wśród was, sławą głośny

Po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej,

Tu, kryć się muszę, jakby nędznik sprośny,

Bo któż z was rękę uściśnie banity?

(Król Stefan Batory ukazuje się na galerii)

Król!... Dumny władco! deptaj nasze karki,

Dręcz pokąd pora! — Mym rodem pomiatasz?

Lecz lew się zbudzi, i na twoje barki

Brzemie ten rzuci, którego przygniatasz.

(Gryzelda wchodzi, za nią grono dziewcząt)

Ona!... jak anioł!... jak poranne zorze...

A smutek świeci z pod ślubnego wieńca.

O! czemuż?... czemuż pozwalasz, o! Boże!

Bym sięgał po nią ręką potępieńca?!



(ukazuje się kanclerz)

Kanclerz!... on!... mąż jej!... Czyż z jasnego nieba  
Nie ma już gromu, by wśród nich uderzył?  
Lecz... cóż to?... gromów czyliż na to trzeba,  
Aby w Samuchy on przemoc uwierzył?  
Zadrzyj, nędzniku!... bo orlemi szpony  
Sam cię pokonam... wydrę z piersi serce...  
(biegnie ku niemu jak obłąkany, ale wstrzymuje się na widok  
Wapowskiej)

Zbroczony starzec, z mym toporem w skroni,  
Woła wciąż na mnie: zemsta! potępienie!...

(Chwiejącym krokiem wybiega w prawo)

### SCENA III.

GRYZELDA (sama wychodzi z zamku)

Już po obrzędzie. — Do uczty siadają,  
By wzniesić toasty za małżonków zdrowie.



**ANTONINA HOFFMAN**

artystka dramatyczna sceny polskiej w Krakowie, w roli „Hrabiny“  
w „Konfederatach barskich.“ (Ob. artykuł na stron. 403).

Wapowska! Boże!... o! stój!... stój szalony!  
Znów głos okropny wstrzymuje mordercę.  
Za tą postacią czarne widmo goni,  
Duszę zatapia w nocy wiecznej cienie,

A mnie się zdaje, że mi urągają:  
Na wszystko echem ból serca odpowie.  
Ja samotności choćby chwilki pragnę,  
Bo na mych licach za widna zgryzota,

Nim w moc przeznaczeń mego ducha nagnę  
I wstąpię w drogę nowego żywota.  
Prowadź mnie, Boże, po tej drodze nowej,  
Niech powinności głos mnie wciąż uderza;  
Nie daj zapomnieć w boleści sercowej,  
Żem Batorówna i żona Kanclerza.  
Niechaj sen dawny na zawsze zagaśnie,  
Wspomnienie o nim leci w świat daleki,  
Letargiem serce niech w mem łonie zaśnie,  
I pamięć o nim zaginie na wieki.  
O nim... na wieki!... Tak... koniecznie trzeba,  
I duszę wtrącić gdzieś w grobowe cienia;  
Gdy zwiędły rzucić trza kwiat zdjęty z nieba,  
To w zamian, Boże!... daj kwiat zapomnienia!  
Zapomę o nim. — A jednak... raz jeszcze  
Gdyby usłyszeć głos, co w sercu dźwięczał...  
Ujrzeć ócz jego te promyki wieszczę,  
Co wznosił ku mnie, gdy u stóp mych klęczał.  
Lecz nie... ja nie chcę już go widzieć w życiu,  
Ani wspominać dawnych marzeń roje;  
Bóg łzę przebaczy wylaną w ukryciu: —  
Żegnam was!... żegnam!... na zawsze... sny moje!...

#### SCENA IV.

GRYZELDA i SAMUCHA.

SAMUCHA (niepostrzeżony wszedł podczas słów ostatnich  
i klęka przed nią)

Nie, Gryzeldo! sny niech wróćą,  
I widzenia nie zagasną,  
Już ich chmury nie zakłóca.  
Tylko w zorzę patrzaj jasną,  
Przetrwasz burze te wokoło,  
Bo nie lilią trza być Tobie,  
Co w dół chyląc blade czoło  
Grobom rośnie ku ozdobie;  
Lecz Tyś różą purpurową,  
Zlaną srebrną mgłą majową,  
Tobie w jasny błękit nieba  
Wiecznie, wiecznie patrzeć trzeba.

GRYZELDA (z przest్రachem)

Pan!... w tem miejscu!... to za wiele,  
To sen spętał mego ducha!

SAMUCHA.

Nie, to nie sen, mój aniele!  
U nóg Twoich, Twój Samucha.

GRYZELDA.

Co pan czynisz? Wielki Boże!  
Wiesz, co ciebie tutaj czeka!

Ktoś cię dojrzeć, wykryć może...

Uchodź! uchodź! czas ucieka!...

SAMUCHA.

U nóg Twoich — gwiazdo moja!  
Gdy w blask patrzę twych promieni,  
Piję nektar z marzeń zdroja,  
Grom niech w posąg mnie zamieni.  
O! nie pytaj się żeglarza,  
Choć ma linę potarganą,  
Czemu jeszcze się odważa  
Patrzeć w gwiazdę swą wybraną?  
Bo mu błogą tęskna skarga,  
Choć nadzieja uleciała,  
Bo w konaniu drżąca wargą  
Imię drogie wymawiała.  
Wie, że niebios już sklepienie  
Zastłonięte dlań obłokiem,  
Jednak w gwiazdy swej promienie  
Konajacem patrzy okiem.  
Tyś, Gryzeldo! jasną, czystą  
Zorzą, co mi brzask wskazała,  
Jutrznią złotą, promienistą,  
Co od ziemi odrywała.  
Tyś twą siłą z niebios daną  
Tak porwała mego ducha,  
Że cnót drogą, niezachwianą  
Stopą szedłby w ślad Samucha.  
Z twych rąk wziętem sławy wieniec,  
I twa ręka jedna zdoła  
Zetrzeć wstydu ten rumieniec,  
Co z banity świeci czoła.  
Jam przebaczyć, Tobie gwoli,  
Zdolny temu, co mi wrogiem,  
Według Boga Twego woli,  
Bóg Gryzeldy moim Bogiem.

GRYZELDA (na stronie)

Boże! dodaj sił, odwagi,  
Żal przeszywa biedne łono...

(głośno z udaną dumą)

Dość tych obelg! tej zniewagi!  
Przed kanclerza jesteś żoną.

SAMUCHA.

Nie niszczy wiary, co mam w Tobie,  
Tego skarbu nie odbieraj,  
Wielką jesteś w każdej dobie,  
Serca próżno nie rozdzieraj.  
Wiem... choć z woli stryja, króla,  
Szczęście Twoje w poniewierce:  
Bole zwalczą mężną wola,  
Boś silniejszą niż Twe serce.

GRYZELDA.

Wola stryja, wolą moją,  
Czczę, poważam mego męża.

SAMUCHA.

Próżno słowa ból twój stroją,  
Prawda wreszcie przewycięża.  
Tyś małżonką tego wroga,  
Co w postaci bohatera  
Mnie z mych ojców strąca proga,  
Ciebie z objęć mi wydziera!  
O! Gryzeldo! cóż się stało?  
Gdzież Twa miłość? Twa przysięga?  
Czyż z nich nic nie pozostało,  
Tylko ta błękitna wstęga?

(wyjmuje wstęgę, Gryzelda się odwraca)

Ona przy mnie wiecznie będzie,  
Choć przez Ciebie zapomniana,  
Aby świadczyć zawsze, wszędzie,  
Że w nią wiara już złamana.

Na kolanach Twej litości  
Prożno zebrzę jak jałmużny,  
Choć w Twem łonie wstręt zagości,  
Zawszem Tobie jeszcze dłużny.  
Więc choć jedno rzuć spojrzenie,  
Co jak z niebios blask uderza,  
Choć raz w dawne wróc wspomnienie,  
Gdy już wszystko dla kanclerza.

GRYZELDA (na stronie)

Ten głos jakby grom zabija!

(głośno)

Panie! powstań! odejdz proszę,  
Szanuj wolę mego stryja,  
Słów obelgi niech nie znoszę;  
Rozdział śród nas położono,  
Tak wyrocznia tam wryta.  
Pomnij z kim ja dziś złączoną,  
A przedemną jest banita.

SAMUCHA (z bolem)

O księżniczko! takie słowo,  
Gdy z ust Twoich dziś wylata,  
Marą krąży nad mą głową  
I ku ziemi mnie przygniata.  
Taż spuścizna więc jedyna  
Po miłości mej została!  
Nią i Polska płaci syna,  
Przez którego sławą brzmiała.  
Dosyć może w tej godzinie

Banit kornym być nie umie,  
Bo krew królów w Tobie płynie.

GRYZELDA (na stronie)

Boże! on mnie nie rozumie.

SAMUCHA.

Lecz ja godnym Ciebie będę,  
Dumę wrogów upokorzę,  
Wielkość mieczem znów zdobędę,  
Na Twą skroń koronę włożę.  
Bo mój dzielny lud kozaczy  
Mego słowa wiernie słuca,  
Ta dziedzina nam wystarczy;  
W Zaporozu król — Samucha.  
Już tu ciągną moje szyki,  
Gmach ten zczerni się w pożarze,  
Śmierci zagrzmią wnet okrzyki  
I mych wrogów zbledną twarze!  
Potem u dniprowej fali  
Kraj nasz będzie, kraj daleki,  
Tam jak orły będziemy gnali,  
I Tyś moją tam na wieki.

GRYZELDA.

Widzę dokąd Cię sprowadza  
To uczucie dumne, harde;  
Lecz dla tego, co kraj zdradza,  
W sercu tylko znam... pogardę.

SAMUCHA.

Ha! w tem słowie cios ugodził  
I potracił na dno piekła,  
Gdzie jak szatan będę brodził...  
Czemuś? czemuś to wyrzekła?  
Do katowni mojej duszy  
Ty dorzucasz wzgardy Twoje;  
Ja nie śmierci, nie katuszy,  
Lecz się wzgardy, wzgardy boję.  
I w okropnej tej rozterce  
Kres mój czuję straszny, bliski;  
Jak szkło nagle pękło serce,  
A więc lecę na pociski.  
Cóż bez Ciebie mi ze świata?  
Wtedy gardzić mną nie zdołasz;  
Kiedyś... kiedyś... w późne lata  
Samuela cień przywołasz.

(wybiega w prawo)

GRYZELDA (sama)

Ach! on się zgubi! o ratuj go Boże!  
To biedne serce już milczeć nie może.

## SCENA V.

GRYZELDA, KSIĘŻNA RASEYL.

KSIĘŻNA RASEYL (wchodzi z zamku)

Cóż ci, Gryzeldo? szukasz samotności,  
Jakby cię smutna spotkała przygoda?  
Odhodzisz męża i dostojnych gości,  
A każdy pyta: „gdzie jest panna młoda?”  
Daremnie ciebie szukam po komnatach,  
Byś przyszła wspólną podzielać zabawę,  
A tyś w tem miejscu jak gdyby na czatach...  
Lecz cóż to? ty drzysz? twoje oko łzawe?

GRYZELDA.

O! Ciotko droga, ratuj mnie i jego!  
Niech ztąd uchodzi... niech mnie już nie widzi...  
Jam cudzą żoną... lecz ratuj biednego!  
On mnie nie pojął... ach on zemnie szydzi.

KSIĘŻNA RASEYL.

Kto?

GRYZELDA.

On... Samucha.

KSIĘŻNA RASEYL.

Co?... on się odważa...

GRYZELDA.

Ja go odtrącam, jam Kanclerza żona,  
Przysięga moja u stopni ołtarza;  
On mnie nie pojął... Boże! jam szalona.

KSIĘŻNA RASEYL.

Nie, lecz twe serce miłczeniu oddane,  
Boś ty gałązką szczepu królewskiego,  
Twe szczęście mitry ciężarem złamane,  
Ten ciężar kruszy magnes serca twego.  
Nam to z wyroczni taka padła dola,  
Że losem naszym rządzi obca wola.  
Wyjaśnij lica, niech łzy nie zdradzają,  
I wróć do uczy; tam goście czekają.  
(odchodzi w lewo)

GRYZELDA (sama)

Tak.. tam iść trzeba!. jakby do mogiły.. (idzie parę kroków)  
Boże! ty widzisz, że to nad me siły. (zakrywa twarz)

## SCENA VI.

GRYZELDA i SAMUCHA.

SAMUCHA (wchodzi)

O! Gryzeldo! ufaj niebu!  
Niechaj Ciebie litość wzruszy,

Wrogom zagram pieśń pogrzebu,  
Łańcuch twój me ramie skruszy.

GRYZELDA (pomieszana, chce go odtrącić)  
Ha!.. precz!..

SAMUCHA.

Nigdy! Twoje wzgardy

Miłość kryją, co tak boli,  
A Samiela duch za hardy,  
By opuścił Cię w niedoli.  
Jam uwierzył — i leciałem,  
Lecz Twą mowę podsłuchałem  
I powracam żyć przy Tobie.

GRYZELDA.

Podsłuchałeś?!.. biada!.. biada!..  
Moje serce przemówiło!  
Ty wiesz prawdę?!.. o! to zdrada!  
To na zawsze nas zgubiło!

SAMUCHA (pada na kolana)

Ty mnie kochasz — mój aniele!  
Czegoż więcej mi potrzeba?  
Ja z tyranem Cię rozdzielię  
I przy Tobie wzleczę w nieba.  
Uchodź luba — tam bezpiecznie,  
Kraj przelecim z moim szykiem —  
W Zaporozu Samiel wiecznie  
Twym kochankiem... niewolnikiem.

GRYZELDA.

Choć to serce żalostí gniecie,  
Co przed Tobą jawnie stawa,  
Ty nie znajdziesz nigdy w świecie  
Tam Gryzeldy, gdzie niesława!  
Samuelu! na wspomnienie  
Chwil, co życie nam barwiły,  
Co jak istot drogich cienie  
Będą w przyszłych snach goniły,  
Rzuć myśl krwawą — i bądź mężem!  
Gdzie kraina Ciebie woła,  
Tam zabłyśnij twym orężem,  
Niech laur dotknie twego czoła.  
Na rodzinnej ojców grzędzie  
Idź... Twe imię znowu wsławić,  
A Gryzelda wtedy będzie  
Zdała Tobie błogosławić.  
A gdy usnąć przyjdzie w trumnie,  
Blask i mnie otoczy równy;  
Ród Zamojskich kiedyś dumnie  
Na grób spojrzy Batorównej.

SCENA VII.

GRYZELDA, SAMUCHA, KANCLERZ (wchodzi z lewej; na widok Samuchy u nóg Gryzeldy staje jak skamieniały)

SAMUCHA (sposstrzega kanclerza i zrywa się)  
Ha!.. Kanclerz!

GRYZELDA (na stronie)  
Mój mąż!

KANCLERZ (do Samuchy, hamując gniew)  
Wstydz się!.. to niktzemnie!  
Panie Zborowski! twój szal tak się waży?  
Niedość, że wichrzysz wśród kraju daremnie,  
Lecz do domowych skradasz się ołtarzy.

SAMUCHA.  
Nie, nie wiesz, wrogu! jak cię nienawidzę!  
Nam działać skrycie nie przystało z sobą,  
Jawnie tu staję, skrytością się brzydzę,  
Jawnie — jak żaden człek nie stał przed tobą.

GRYZELDA (na stronie)  
Przebóg! okropnie!

KANCLERZ (do Samuchy)  
Ja ciebie żałuję,  
Szaleńcze biedny! gdy się raz zdeptało  
To, co świętością w sobie naród czuje,  
Na szlakach zbrodni cóżby powstrzymało?  
Tak, ty zdeptałeś relikwie twej ziemi,  
Prawa, ustawy i te święte drogi,  
Którymi naród szedł czasy wiecznemi  
Jakby apostoł przed pogańskie bogi.  
Tryumf dla ciebie, gdy kraj nieszczęśliwy,  
Twa wielkość wzrasta na słabościach jego;  
Lecz cię potępi boski sąd straszliwy,  
Tak jak potępił złych synów Noego.  
Kto śmie to plamić, w co naród uwierzył,  
Ten grot śmiertelny w Matki łono zmierza,  
Ten w dzwon pogrzebu nie wiedząc uderzył,  
Słowa przekleństwa wmięszal do pacierza.

SAMUCHA.  
Chcesz — piękna mowa by mnie pokonała,  
Gdy sławę, wielkość, szczęście na proch starłeś?  
Dziś ziemia polska dla nas dwóch zamała,  
Kiedy mi wszystko na zawsze wydarłeś!  
Wszystko!.. o! wszystko!.. czyś to pojąć zdolny?  
Dziś stać przed tobą za wielka ponęta!  
Podaj mi oręż, jeźliś szlachcic wolny,  
Nasze wzajemne tu... niech skruszym pęta.

GRYZELDA (do kanclerza)  
Nie słuchaj jego! — on zmysły utracił!

KANCLERZ.

Starosta grodu w Rzeczypospolitej  
Jakby się swojej ojczyźnie wypłacił,  
Krzyżując broń swą z orężem banity?

SAMUCHA (z szyderyczym uśmiechem)  
Wiedziałem o tem, że przed bronią moją  
Za płaszcz się skryjesz twojego urzędu.

KANCLERZ.  
Na straży swobód prawa kraju stoją,  
One wstrzymają ciebie wśród zapędu,  
I twe obelgi już dotknąć nie mogą,  
Gdy wyrok ciężki nad tobą wryty.  
Starosta grodu zmierza karę srogą,  
Miecz prawa trzyma nad głową banity.

SAMUCHA.  
Za gwiazdą szczęścia twój duch nadto goni!  
Odtąd wielkością nie chełp się daremną,  
Wnet blask uroku obedrę z twej skroni,  
I jak przed sędzią... ty staniesz przedemną!  
Już Zaporozcy moi niedaleko,  
Ten lud już syty tyrańskiej opieki,  
Twój gród popłynie z płomienistą rzeką,  
I Kozak w Siczy znów wolny na wieki!

KANCLERZ (ze wzgardą)  
Choć znam cię zdawna, nie wiedziałem tego,  
Że ród Zborowskich wydaje Glińskiego.

SAMUCHA.  
Ha! biada tobie, żeś wyrzekł to słowo!  
Tak... Glińskim będę!... pierwsza w życiu zdrada!  
Niech za nią klątwa tkwi nad twoją głową!...  
Tyś mnie tam wtrącił, biada tobie!... biada!...

GRYZELDA.  
Stój!.. stój!.. Samuelu!.. pamiętaj! Bóg w niebie!..  
Tyś zdolnym tego?!.. O! przeklinam ciebie!..

KANCLERZ (do Gryzeldy)  
Małżonko droga! — o duszo wyniosła!  
Bóg w słusznej sprawie błogosławi broni;  
Ta pierś, co w bojach dla ojczyzny wzrosła,  
Polskę i króla przed gromem osłoni.  
(słychać za sceną chrzęst zbroi i stąpania)

SAMUCHA.  
Słyszę szcęk zbroi, a tam spisy świecą.  
Moja drużyna tu dąży z pospiechem...  
To zaporoskie moje orły lecą,  
A pieśń ich mury te powtórzą echem.  
(dobywa wstęgi)

Ta wstęga zdawna im śród boiów znana,  
Z nich każdy za nią w ognie lecieć skory.

(wbiega do altany i powfewa wstęgą)

Hej!... za hetmanem!... drużyno kochana!...

(nagle przerażony)

Nieba! nie oni!... to nie hufiec Zdory!...

### SCENA VIII.

CIŻ, WINRYCH ZE STRAŻĄ.

WINRYCH (do kanclerza)

Panie! przebaczcie, że na wasze progi  
Przybywam w chwilach uczty i zabawy,  
Lecz spokój kraju i wasz zbyt mi drogi,  
A jam tej ziemi obywatel prawy.  
Wiem, że Zborowski, on banit burzliwy,  
Nad którym wisi miecz sprawiedliwości,  
Gardząc prawami, z swych wpływów chełpliwy,  
Dzisiaj niebaczny w zamku waszym gości.  
Nie znam go wcale, lecz między sługami  
Kryje się pewnie śród domu waszego;  
Ścigając jego staję tu przed Wami  
Na mocy tego glejtu królewskiego. (oddaje list)

KANCLERZ (z dumą)

Ja tu starostą...

WINRYCH.

Obowiązki moje

Znam. — Moc to pismo daje, każdą dobą  
Ścigać go nawet w królewskie podwoje.

SAMUCHA (oicho do kanclerza)

Zgrabny twój podstęp, lecz nie drzę przed tobą.

KANCLERZ (przełknięwszy list)

Przed wolą króla starosta się korzy.  
Pani Wapowskiej był ten list oddany,  
Więc dla niej tylko mój dom się otworzy,  
A żaden siepacz jej dla mnie nieznany.

WINRYCH (na stronie)

To słowo drogo zapłacisz w przyszłości!

(głośno)

Niech i tak będzie, wszak kasztelanowa  
Teraz się mieści w rzędzie Waszych gości,  
A jej powaga poprze moje słowa.

(odchodzi w lewo ze strażą)

### SCENA IX.

GRYZELDA, KANCLERZ, SAMUCHA.

KANCLERZ.

Panie Samuelu! na głowę banity  
Teraz dłoń kata ma godzić żelazem!

W księdze praw naszych ten wyrok wryty,  
A ja starostą i twym sędzią razem.

Lecz ziemia polska wspólna nasza matka,  
Z lat młodych węzeł łączył nasze dłonie,

Twój ojciec druhem był mi do ostatka.

Ja cię w mych progach mem życiem osłonię,

Nie widzę w tobie rywala w zapędzie,

Lecz zbłąkanego brata przed mym progiem;

Pierwsze to w życiu zbroczenie w urządzie,

Ale się o nie porachuję z Bogiem.

Panie Samuelu! tam mój rumak czeka,

Spiesz za granice starostwa mojego;

Za ten bór ciemny droga niedaleka,

Lecz nie trać czasu! chwile szybko biega.

A gdyś przed prawa bezpieczny pogonia

Za mą granicą... jako szlachcic wszędzie

Stanę do walki z jaką zechcesz bronią;

Lecz teraz uchodź! bo zapóźno będzie!

SAMUCHA.

Nigdy!... uciekać nie umie Samucha.

Masz moją głowę... niech pod mieczem pada,

Gdyś tak wielkością zwalczył mego ducha;

Twą bronią wielkość, moją była zdrada.

Tak, zwyciężyłeś! Mój duch się zagrziebie,

Kiedy twojemu w wielkości nie sprostą;

O! bo tak wielkim nie byłbym dla ciebie,

Gdybyś ty banit był, a ja starosta.

GRYZELDA.

Uchodź Samuelu! uchodź z tego proga!

Za Ciebie modlić się będę do Boga.

SAMUCHA.

Prawda! za sobą widzę wciąż sromotę,

Gdybym tu... nigdy!... ja tu paść nie mogę,

Na szwank wystawiać jej sławę i cnotę...

Muszę uchodzić, a więc dalej w drogę!

Gryzeldo! zegnaj! Twoja sława każe,

Zgięty, zwalczony ze wstydem uciekam;

O! bom się targnął na święte ołtarze,

Kornie wyroku jako zbrodniarz czekam.

Zwiędłe z mej skroni opadły wawrzyny,

Lecz w duszy hymnem grają Twoje słowa:

Cnota... Ojczyzna... naprawienie winy...

Przed okiem mojem świeci jutrznia nowa.

O tak!... ja pragnę... to sen mej przyszłości...

W usługach kraju nanowo się wstawić,

Plamę z imienia zetrzeć w potomności,

A wtedy zdala będziesz błogosławić.

Zamojski! twoje to dzieło dzisiejsze,

Zem w sercu zaznał pierwszą w życiu skruchę;

W rzędzie twych zwycięstw zapisz najświetniejsze:

Że zwyciężyłeś hetmana Samuchę

(odchodzi)

KANCLERZ (patrząc długo za nim)

Odjechał! oby skołał rozbrat wszelki,

Bóg go nawróci.

GRYZELDA (pada w objęcia kanclerza)

Tyś szlachetny! wielki!

(Wapowska, Winrych i straż ukazują się w głębi)

(Zasłona spada)

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

## „Konfederaci Barscy“ Mickiewicza.

Scena krakowska rozpoczęła rok bieżący przedstawieniem dwuaktowego fragmentu z dramatu, którego autorem jest największy poeta polski, Adam Mickiewicz.

Była to pierwsza próba wystawienia na scenie tego znakomitego dzieła, próba, którą poprzedzić musiało ogłoszenie koniecznego komentarza, gdyż bardzo wielu osobom, nawet takim, które Mickiewicza czytały, nie było wiadomo, że twórca Pana Tadeusza był także autorem dramatycznym, i to autorem dramatycznym pierwszej potęgi. Jedyny ten i nie w całości nawet dochowany utwór sceniczny narodowego wieszca był w owej chwili i pozostał dotąd nieznanym i niedostępnym ogółowi. Wydrukowany po raz pierwszy i jedyny w Przeglądzie polskim (1866, zeszyt I. str. 59 — 122) rozszedł się tylko między szczupłym kołem czytelników tego pisma; poznali go następnie wyjątkowo ci, co mieli sposobność widzieć, go na scenie krakowskiej i na innych, na których był przedstawiany; zresztą ktoby chciał poznać arcydzieło najznakomitszego poety narodu, musi go szukać po bibliotekach albo antykwaryuszach bez wielkiej nadziei znalezienia, bo nakład Przeglądu z owych czasów jest już od dawna całkiem wyczerpany.

Bywały czasy, nie tak dawne jeszcze, i większa część czytelników naszych zapewne je pamięta, kiedy prawie cały Mickiewicz był podobnie niedostępnym towarem dla większej części Polski. Wówczas jednak inaczej sobie radzono. Tysiączne odpisy jego utworów obiegały z rąk do rąk pokryjomu, wydania zagraniczne kontrabandą rozchodziły się po kraju, chowane w najgłębszych skrytkach, ale pielęgnowane jak najdroższe skarby, czytane i odczytywane po stokroć, przez wielu umiane na pamięć.

Dziś nikt nas nie posądzi o przesadę i o pesymizm, gdy powiemy, że gdyby przebiez całą Polskę, kto wie, czyby się gdzie znalazło kilka podobnych odpisów z Konfederatów, z wyjątkiem bibliotek teatralnych, dla których dramat ten przepisywano w celu przedstawiania go na scenie. Dziś żadna cenzura, z wyjątkiem warszawskiej, przedrukować go nie zabroni, a przecież przed sześciu laty dopiero po raz pierwszy ukazał się w druku w pi-

śmie czasowem bardzo mało czytaniem, i od tego czasu żaden wydawca nie pomyślał o wydaniu go oddzielnie.

Coś podobnego u nas tylko może mieć miejsce, takiej obojętności możemy się dopuścić tylko my, bo myśmy ze wszystkich w świecie ludów najłatwiejsi do przerzucania się z namiętnego eutazyazmu do najbezwzględniejszej apaty, do zapominania nazajutrz o tem, co wczoraj jeszcze było dla nas najpierwszym i jedynym przedmiotem zajęcia, upodobania, miłoś ci.

Ażeby odeprzeć lub złagodzić ten zarzut, nie wystarczy twierdzenie, że czasy entuzyazmów i uwielbień dla poezji przeminęły obecnie w całej cywilizowanej Europie, że nadeszła jakaś pozytywna epoka, w której poezya się nie rodzi, i w której pojawienie się jednego z takich arcydzieł, jakie zachwycały niedawno ubiegłą przeszłość, nie sprawiłoby najmniejszego wrażenia. Ten zwrot w upodobaniach, to wywieszenie realistycznego sztandaru, ta obojętność i lekceważenie kierunku, który tak niedawno jeszcze był wyłącznie naszym, wszystko to u nas jest naśladowane i sztuczne i skutkiem tego przesadzone. Na zachodzie, gdzie zwrot taki był naturalnym nie zerwano całkiem z poezją, nie wyparto się jej, ma ona ciągle swych wielbicieli, a każdy człowiek ukształcony czuje się tam w obowiązku, znać arcydzieła narodowe. Rozchodzą się one w nowych wydaniach setkami tysięcy egzemplarzy; a gdyby Niemcy wynaleźli dwa akty jakiego nieznanego dramatu Göthego, albo Szyllera, wydawca, któryby je ogłosił, zrobiłby na tem fortunę, a publiczność, któraby je po raz pierwszy ujrzała na scenie, pewnoby ich nie przyjęła takim obojętnem milczeniem, jakim Kraków powitał pierwsze przedstawienie Konfederatów. Zobojętnieliśmy więc naprawdę i zatracili w sobie poczucie ideałów sztuki, miłość tradycyi narodowej; porzuciliśmy drogę, którąśmy szli, a wmawiamy w siebie tylko, żeśmy obrali nową, praktyczniejszą, pozytywną, rozważną, ba nas na niej wcale nie widać, stoimy w miejscu..

Bez względu na tę obojętność ogólną, na nas, jako na piśmie publicznem cięży obowiązek, zapoznać bliżej koło naszych czytelników ze znakomitym utworem, którego

pojawienie się w druku i na scenie powinno być, chociaż nie było, wypadkiem literackim pierwszorzędnej wagi, przedmiotem najogólniejszego zajęcia.

Konfederatów Barskich napisał Mickiewicz po francusku w r. 1833 i 1834 z zamiarem przedstawienia ich na scenie w teatrze paryskim Porte St. Martin. Nie wiadomo, czy stworzył całość, czy też tylko na dwóch aktach poprzestał, prawdopodobnym jest jedno i drugie. Dalszy ciąg mógł zaginać, bo go bardzo późno szukać zaczęto; mogło go nie być wcale, bo poeta czytał pierwsze dwa akty Alfredowi de Vigny i pani Georges Sand, i zrażony ich krytyką zaniechał zamiaru oddania swego dzieła na scenę, więc może i pisanie go zaprzestał. Z powodu tej krytyki pominięto także Konfederatów w wydaniu paryskim pism Mickiewicza, i oryginał teraz dopiero drukiem został ogłoszony; znamy więc tylko przekład, dokonany wierszem przeważnie białym, w niektórych tylko ustępach rymowanym, przekład wierny zupełnie, pióra Tomasza Olizarowskiego.

Każdy z dwóch aktów pozostałych stanowi do pewnego stopnia oddzielną i zaokrągloną całość. Rzecz dzieje się w Krakowie, sto lat temu właśnie, w roku pierwszego rozbioru.

W akcie pierwszym poeta wprowadza nas do mieszkanki hrabiny, która jest najgłówniejszą i najcharakterystyczniejszą postacią tego aktu. Hrabina, córka wojewody, w dziecięcych latach wychowywała się w Karpackim zamku, z mającym później wyrosnąć na bohatera Kazimierzem Pułaskim, i pokochała go. Pułaski, biedny, nie śmiał oczu podnieść na wojewodziankę, i gdy spostrzegł budzące się w swoim sercu uczucie, uciekł z domu wojewody. Ją wydano dzieckiem prawie jeszcze za „człowieka źle wychowanego, dzika, pijaka,“ z którego rodziną jakieś rodzinne widoki i polityczne rachuby kazały się skoligacić jej ojcu. Rozwiodła się z nim, a gdy zgorszona tem rodzina zagroziła jej zamknięciem w klasztorze, oddała się pod opiekę moskiewskiego gubernatora. Gubernator ten Moskal, kocha ją, ona przyjmuje jego hołdy, nie dlatego, żeby miłość odwzajemniała, bo w sercu pozostała zawsze wierną wspomnieniu pierwszego kochanka, ale że ów Moskal broni jej i poważa ją, ją, którą rodzina prześladowa, spotwarza, dręczy, w której nikt nie uszanował godności kobiety. Otoczona samymi Moskalami, cudzoziemcami tak, że mowa ojczysta staje się jej trudną; Polska zaczyna jej być obcą, w Moskalu nie widzi wroga, tylko cudzoziemca z narodu, z którym kiedyś zgoda możebna...

Oddanie się pod opiekę moskiewską ściągnęło gromy opinii na hrabinę. Ci nawet, co korzystają z jej wstawienictwa u moskiewskiego generała, ci, którzy jej winni życie, powstają na nią, ubliżają jej, co ją jeszcze bardziej przeciw ojczyźnie rozdrażnia.

W sali mieszkania tej mistrzowsko nakreślonej po-

staci, postaci, w której wybornie malują się pewne strony charakteru ówczesnej epoki, zgromadzeni są suplikanci, mający prosić o jej protekcję u gubernatora: starosta i starościna, którym Moskale syna zabrali i chcą rozstrzelać; stary szlachcic, któremu gubernator zabrać chce zamek; burmistrz pragnący wyjednać kilka dni zwłoki w wypłacie nałożonej na Kraków kontrybucyi; miecznik, stary Litwin, który ocalony przez hrabinę uchybia jej, mówiąc, że nie ma się czem z nią przywitać, bo mu rękę „jej przyjaciele“ ucięli, i wielu innych. Rozmowa pomiędzy nimi stanowi doskonałe i bardzo efektowne zawiązanie sztuki.

Oczekiwanie suplikantów jest daremne. Hrabina przez lokaja oświadcza im, że jest słabą i przyjąć ich nie może, miała bowiem wielkie zmartwienie. Służący tylko przyjmuje ich supliki i noty. Wtedy miecznik zbliża się tajemniczo do starosty, przekonanego, że dla jego syna nie ma już żadnego ratunku, i mówi:

Waś masz szablę,

Ja mam nóż. Owoż ja powiadam waści,  
Że za dwadzieścia czterech godzin będzie,  
Niejedno cięcie i niejedno pchnięcie.

STAROSTA I BURMISTRZ.

Co? co?

MIECZNIK.

Ja tylko mówię, że Pułaski  
Kawalerzysta tegi, a Choisy  
Wyborny piechur, że karpackie góry  
Blisko Krakowa, że konfederatę  
Wdział wojewoda. — Przyjdźcie do mnie w nocy,  
Pomówim. — Mościa pani Starościno!  
Nie trzeba tracić serca. Na Karpaty  
Klnę się Jejmości, że waszego syna  
Nie rozstrzelają.

(Wszyscy wychodzą)

Dopiero po wyjściu suplikantów ukazuje się na scenie bohaterka dramatu. Wkrótce potem przychodzi do niej brat, i w rozmowie z nim poeta zapoznaje nas bliżej z tą postacią, z jej przeszłością i położeniem obecnem. Brat ten, znacznie od niej młodszy, jeden z całej rodziny dochował jeszcze dla niej rodzinnego uczucia. W tej chwili i on jako suplikant przychodzi. W domu wojewody uwięziono księdza, zakonnika, posądzonego o szpiegostwo, który tego dnia właśnie ma iść pod sąd. Kapłanem tym jest Ojciec Marek, trzeba go ocalić koniecznie. Hrabina przyrzeka wstawienictwo i z troskliwością dopytuje się o nowiny o Pułaskim.

ADOLF.

Jaki on teraz słuszny! jaki piękny!

HRABINA.

Więc go widziałeś, więc jest gdzieś tu blisko?  
Co on tu robi? jaki nieroztropny?  
Zguby swej szuka! Straszne mam przecucie;  
Tej nocy właśnie miałam sen okropny:  
W śnie go widziałem...





Kościół i klasztor XX. Dominikanów w Podkameniu.

ADOLF.

Pułaskiego?

HRABINA.

Ah tak!

W karpackich górach zeszedliśmy się razem.  
On takim samym, jakim był przed laty,  
Tylko na licach zmienił się wyrazem  
Jakiegoś smutku; ale tak skrzydlaty  
Myślą i czuciem, tak ciągle gotowy  
Do niezwykłości czynami i słowy,  
Tak poetyczny, tak niepospolity!  
Ten sam kapelusz góralski na głowie,  
Toporek w ręku. Spojrzał na gór szczyty;  
Po jakiejś tajnej z górami rozmowie  
Zaprowadził mnie do zielonej góry,  
Nad którą czyste jaśniały lazury  
Słońcem rokosznym, u stóp różne kwiaty,  
Jak u zielonej sukni haft bogaty...

ADOLF.

Cóż w tem strasznego?

HRABINA.

Słuchaj tylko dalej.

Gdyśmy na kwiaty patrząc rozmawiali,  
Za jednym razem ojciec wyszedł z ziemi,  
Porwał nas, strącił do ciemnego dołu,  
Krzycząc: przysypcie ziemią ich pospołu!  
Sypać pomagał garściami własnymi...  
Ach Boże! czułam, czuję jeszcze dotąd w głębie,  
Na piersiach ziemię tę wilgotną, ciężką...  
I czułam nogi jego, jak nas w głębie  
Ziemne wdeptywał...

Oznajmiono generała, brat się oddała.

Jenerał to doskonały typ Moskala, wykończony artystycznie, pełen prawdy. Człowiek to dobrze wychowany, układny, dyplomata-dworak, starający się szczególnie przedstawić dobrze w oczach kobiety, o której względy się stara.

Gubernator wchodzi w wybornem usposobieniu. Otrzymał wiadomość o zwyciężeniu konfederatów, kazał spiewać *Te Deum* w mieście, a w kaplicy swojej dwadzieścia pięć świec zapalić. Dziwi go tylko, że choć wiedzą o swej porażce, Polacy okazują mu dumę i pogardę. Mimo to jednak dodaje:

Lecz mniejsza.

Myśleć wspaniale łatwiej jest zwyciężcom,  
Niż zwyciężonym. Więc przebaczam twoim,  
Pani, współziomkom, gniewać się przestaję.  
Nadto w imieniu Imperatorowej  
Każe ogłosić łaski, przebaczenia...  
Złe plaćmy dobrem...

Korzystając z tego usposobienia, hrabina wstawia się za zakonnikami i z początku natrafia na odmowę. Doktor generała badał go i znalazł niebezpiecznym, musi być rozstrzelanym, lecz to już ostatnia będzie ofiara.

Gdy hrabina zarzuca mu okrucieństwo, gubernator mówi:

Jestemże okrutnym?

Po służbie prawda, po imperatorskiej,  
Jestem surowy i nieubłagany;  
Lecz poza służbą czyliżbym nie wolał  
W Karpatach gonić kulką za daniem,  
Niż rozstrzeliwać tutaj kapucynów?  
Po służbie prawda, nie baranek ze mnie;  
Któż temu winień? Czemu nie pozwolą  
Zejsć z drogi służby, żeby się rozerwać,  
Żeby zapomnieć o tej powinności,  
Która koniecznie każe być okrutnym!  
Sami zmuszają do okrucieństw, sami!

HRABINA.

Prowadźcie sobie wojnę z żołnierzami,  
Ale spokojnych ludzi rozstrzeliwać!...

GENERAŁ.

Chciałbym mieć honor, jak to u was mówią,  
Poznać się z tymi ludźmi spokojnymi.  
Dotąd żadnego w Polsce nie znalazłem,  
I jeśli kiedy byli (o czem wątpię),  
Ich ród zaginał. Tutaj w każdej głowie  
Konfederacye, konspiracye, bunt.  
Słusznie powiada doktor mój, że Polak  
Nawet po śmierci konspirować musi,  
Choćby dwadzieścia cztery godzin tylko.

HRABINA.

Każdy ma prawo kochać swą ojczyznę,  
Powinien kochać. Czy jest w tem co złego?

GENERAŁ.

Nie wypędza się ich z ojczyzny, tylko  
Żąda się od nich, żeby się spokojnie  
Zachowywali, żeby posłuszeństwo  
Znali dla króla...

HRABINA.

Dla Poniatowskiego,  
Którego sami nazywacie waszym  
Plenipotentem, waszym parawanem?

GENERAŁ.

Rozumny; widział, że rosyjskie państwo  
Przeważa polskie w sile i ogromie,  
Że koniec końców Rosya Polskę złomie;  
Więc się zapisał Rosyi w poddaństwo.  
Lepiejby może zrobili Polacy,  
Gdyby za króla swego szli przykładem,  
Bo te ich wojny — to ot szkoda pracy!  
Nie wiedzieć jakim prowadzą się ładem.  
Krwi, łez, nieszczęścia, trudów aż do zbytku;  
Ani im z tego, ani mnie pożytku.  
Jaki pożytek dla mnie, generała,  
Choćby poległa ta czereda cała,  
Którą przez grzeczność zwą partyzantami,  
A którą u nas zwą rozbójnikami?  
Zwyciężysz, cóż masz? Na pobjowisku  
Nie tylko puszki, nie tylko forgonu,

Gwoźdźnia nie znajdziesz! Z czemże się do tronu  
Odezwać potem? To też za to w zysku  
Ani awansu, ani dekoracyi,  
Ani dotacyi. Nawet nie ma racyi,  
Po formie coś tam w raporcie dołączyć,  
Z czego by mogła potem ta lub owa  
Łaska nastąpić. Imperatorowa  
W każdej depeszy każe wojnę skończyć,  
Koniecznie skończyć, a tu... sądziecż proszę...  
Co w tem dziwnego, że mnie wszystko drażni,  
Że się wciąż zloszczę, że się wciąż unoszę?  
Te okrucieństwa, wszystko to z bojaźni.

HRABINA.

Bojaźń i stary żołnierz, Generale,  
To nie do pary.

GENERAL.

Nie o życie, ale  
O reputacją, o przyszłość się boję,  
O te dwadzieścia pięć lat służby mojej.  
A czy wiesz pani, że już ze mną było  
Tak jak nie dobrze? Już nademną wisił  
Piorun nielaski. Drzałem i o panią;  
Ziomków nienawiść byłaby bez zawad.  
Nie wiedząc o tem, podzielałaś pani  
Niebezpieczeństwa moje. Kiedyż tedy  
Zgodzisz się ze mną szczęście me podzielać?

Na odpowiedź hrabiny, zastawiającej się oporem rodziny, generał mówi:

Papa się dąsa trochę; nie pantera!  
Da się przyswoić. Sam do tego sposób  
Daje na siebie. Jeszcze o ważności  
Zwycięstwa nie wie, a już, czy z obawy,  
Czy z polityki, u mnie był, zaprosił  
Grzecznie do siebie...  
Jakoś to pójdzie. Trochę wesołości!  
Chcę być wesołym, chce się dzisiaj bawić;  
Ani o wojnie, ani polityce  
Przez cały miesiąc nie chcę słyszeć więcej.  
Ot, jestem sobie rekrut na urlopie.

HRABINA.

Więzień, o którym mówiliśmy z sobą,  
Był niegdyś ojca mego spowiednikiem;  
Jest więc okazały, w delikatny sposób  
Mojego ojca wielce zobowiązany.

GENERAL.

Znów ten kapucyn!... No, no, dobrze, dobrze,  
Nie mówmy więcej. Wraz napiszę rozkaz.

Następna scena z doktorem, po odejściu hrabiny, przedstawia nam nową typową postać i nowe rysy charakteru generała. Doktor nakreślony dosadnymi rysami, w tej jednej scenie staje przed nami skończony i zupełny. Jest to szpieg, ale nie z gatunku pospolitych denuncyantów, lecz szpieg mający pretensją do misji politycznej, do stanowiska dyplomatycznego agenta, do doświadczenia

nabytego w długiej praktyce przy poselstwach w Konstantynopolu, Wenecyi, Sztokolmie. Kurlandczyk, pełni rzemiosło swoje skrupulatnie, systematycznie, obserwuje więcej niż podsłuchuje; z fizyognomii ludności, z jej ruchów wnioskuje o przygotowujących się wypadkach. Utworzył sobie jakąś filozofią swojej podłości, jest postacią wstrętną i ohydną, a przecież ciekawą i artystyczną.

Doktor nie wesołe wieści przynosi generałowi. Fizyognomia miasta zapowiada coś niedobrego. Pułaski w Karpatach, Karpaty bardzo blisko Krakowa (poeta zbliżył je umyślnie), do miasta można łatwo się wcisnąć...

GENERAL.

Ukryć się nie łatwo

Tam, gdzie ty jesteś, mój doktorze drogi.  
Masz jego opis. Spuszczam się na ciebie.  
Postrzegaj, szukaj, nurtuj, wietrz, włącz wszędzie,  
Na wszystkie strony poroższaj swoich.  
Przyrzekam tobie zaraz nominacją,  
Na naczelnego armii chirurga,  
I na szackiego sowietnika dyplom,  
Jeżeli pomożesz łeb ten zamputować.

DOKTOR (kłaniając się)

Pragnąłbym szczerze.

GENERAL.

Jużem nagotowałem

W myślach dla niego karę, coś lepszego  
Od szubienicy. Nie nie! szubienica  
Za lekka kara dla tego szlachcica;  
Dałbym świętego Georga mego,  
Żeby on tutaj teraz się znajdował.  
Co mnie kosztuje ten przekłety człowiek!  
Co mi najlepszych snów pozrywał z powiek!  
Chciałem podumać o spokojnych różach,  
A ten maszennik trzyma krew mą w burzach...  
Czekaj mierzawcze! poznasz, jak się płaci  
Bezsenność moja! czekaj! dam ja tobie!  
Długo pamiętny przykład z ciebie zrobię,  
Zrobię pamiętnik z ciebie dla współbraci,  
Że po dwudziestu pięciu latach drzenie  
Przechodzić będzie po nich na wspomnienie  
O konspiracji... Dam ja, dam ja tobie!

Kurlandczykowi zaraz przychodzi na myśl, ktoby mógł do wykrycia Pułaskiego dopomóc. Hrabina była z nim w stosunkach za młodu, może kto z jej rodziny zachował te stosunki.

Gdyby na siebie wzięła otrzymanie  
Choćby jednego tylko pojaśnienia,  
Jednej poszlaki, za pomocą... gdyby  
Chciała, na przykład, mnie do tego użyć,  
Lub się radami moimi posłużyć...

GENERAL.

Signor dottore, bardzoś mi zazdrośny!  
Chciałbyś, ażeby wszyscy się trudnili  
Twojem rzemiosłem. — Głupstwa, głupstwa gadasz.

Przybycie wojewody daje powód do zakończenia tej sceny, należącej do najznakomitszych w całym dochowanym ułamku Konfederatów. Doktor daje jeszcze jenerałowi charakterystykę ojca hrabiny.

Powiedział Juliusz Cezar: strzedz się trzeba  
Ludzi ponurych, suchych acz spokojnych...  
Potrzeba jego oczom się przypatrzeć.  
Ciekawa para oczów; w moich notach  
Nie ma ciekawszej...  
Wzrok wojewody nigdy się nie zmienia;  
Ten sam kierunek, ten sam zawsze wyraz.  
Jestto wzrok gracza, który nigdy z oka  
Nie traci stawki. Ja też instynktownie  
Boję się źrenic tych błyszczących stali;  
Przeszywające, zimne, jak dwa ostre końce  
Nożyczek wyszłych z fabryki angielskiej.

Gdyby nas szczupłość miejsca nie zmuszała do ograniczania tych wypisów, musielibyśmy tu chyba całą scenę między jenerałem i wojewodą powtórzyć. W nakreśleniu wojewody okazuje się znowu w całej pełni całe mistrzostwo poety. To magnat polski w całym znaczeniu, mający obok ojczyzny zawsze dom swój i dumę swą rodową na widoku, działający zawsze nie tylko pod wpływem patriotycznych lecz także familijnych i osobistych pobudek, w najświętszej sprawie nigdy nie spuszczaający z oka siebie. Mimo całego przecież mistrzostwa, z jakim napisana ta scena, jej może jedyny zarzut uczynićbyśmy się poważyli. Wojewoda, człowiek skryty i dyplomata, mówi ciągle z jenerałem tak, że jego słowa dwojako tłumaczyć się dadzą, i że drugie ich znaczenie odkrywa jego rzeczywiste zamiary, odsłania je tak wyraźnie, że doktor i jenerał wpadają na domysły. Słowa w scenie VI. aktu II.: „Wczora o mało że się nie zdradziłem“ i cały monolog wojewody, tłumaczyłyby łatwo jedno dwuznaczne jego odezwanie się, ale nie tłumaczą przenośni trwających przez całą scenę. Jest to może efekt sceniczny, tłumaczący się tem, że dramat pisany był dla sceny i to dla sceny francuzkiej; niepodobna bowiem, żeby taki genjusz, jak Mickiewicz, mógł się nierozmyślnie dopuścić takiej psychologicznej nieprawdy.

Doktor nakłania jenerała, aby się udał w góry do Karpackiego zamku wojewody, niby przypadkiem, goniąc za rozrywką, i wpadłszy nagle złapał go na gorącym uczynku jakich narad lub przygotowań. Jenerał zgadza się na to:

Myśl ta wcale nie zła,  
Honor wojskowy na tem nie ucierpi.  
Jest dozwolona taka obserwacja  
Nieprzyjaciela... Jeśli wojewoda  
Wystąpi przeciw porządkowi rzeczy,  
Najmniejszy wyskok jego może na mnie  
Ściągnąć nielaskę Imperatorowej.  
Za jego wierność zaręczylem. Już mi  
Nie raz i nie dwa Imperatorowa  
Z hrabiną związku wyrzucała moje.

Jeden krok przeciw porządkowi rzeczy,  
Jeden krok jego, wszystkie poniweczy  
Moje nadzieje, wykwituje z pracy  
I służby mojej lat dwadzieścia i pięć,  
I moje rany. Biada wam Polacy!  
Jeżeli przez was ja w nielaskę wpadnę.  
Na krzyż świętego Georgia klnę się,  
Gromami zemsty pokażę, jak władnę!  
Bomb tysiącami gniew się mój podniesie.  
Te tu sto dzwonnice w drobiazgi, w proch zwałę,  
Waszej stolicy pół zburzę, pół spalę,  
Z popiołem zmieszam pokruszone głązy;  
A jak ja dam ją na pożarcie ziemi,  
To już nie dźwignie jej ani Choisy,  
Ani Pułaski z Francuzami swemi.

W akcie drugim przenosi nas poeta w świat zupełnie odmienny, w dziką okolicę karpacką, gdzie konfederaci zbierają się po doznanej porażce. Ukazują się tu nowe, genialnymi rysami nakreślone postacie: Pułaski, Choisy, ojciec Marek, trzy postacie, z których każda zasługiwałaby na osobne i obszerne studium.

Daliśmy obszerną analizę pierwszego aktu; tło samo, na którym odgrywa się akt drugi, pozwoli się domyśleć, jaką poeta rozwija tu potęgę, jakie bogactwo geniuszu rozsypuje na każdej karcie, z jakim mistrzostwem kreśli każdą scenę i wiersz każdy. Nie możemy pójść za nim, przechodziłoby to i rozmiary pisma i cel tego artykułu, cel potrójny; chcieliśmy bowiem zachęcić publiczność do poznania arcydzieła, nakładców do uczynienia go dostępnem, a scenie krakowskiej podziękować, że je przypominała, że je pierwsza wprowadziła na deski teatralne, i że z niem zaznajomiła przynajmniej część publiczności polskiej.

Przedstawienie takiego genialnego fragmentu, jak Konfederaci barscy, dla każdej sceny byłoby chlubą, a przedstawienie z powodzeniem jest najlepszym świadectwem bogactwa jej sił artystycznych. Mało jest zaprawdę teatrów, któreby godnie odpowiedzieć mogły potrzebie obsadzenia takich ról jak Hrabiny, Jenerała, Wojewody, Pułaskiego, Ojca Marka, Choisego, Doktora, ról, z których każda zdaje się wymagać pierwszorzędnego artysty. W Krakowie tylko Choisego brakowało, przedstawiał go amator, a jenerała odegrać musiał młody, początkujący prawie artysta, który jednakże potrafił nie być rażącym. Za to ojciec Marek, Hrabina, Pułaski, Wojewoda, Doktor znaleźli przedstawicieli, godnie oddających każdy odcień swej roli.

Pragnęlibyśmy oddać im wszystkim hołd należny szczegółowym gry ich rozbiorem, nie pozwala nam jednak na to wzgląd, że większa część czytelników naszych nie widziała Konfederatów na scenie, i większa część także dopiero z naszego pisma zapoznaje się nieco bliżej z treścią tego dramatu. Nie mogąc tego uczynić, wspomniemy przynajmniej o artystce, która jest ozdobą i zaszczytem sceny krakowskiej, artystce jednej z najpier-

wszyc i najznakomitszych obecnie na scenie polskiej w ogóle, która stworzeniem roli hrabiny, w każdym odcieniu zgodnie z myślą poety, złożyła jeden więcej dowód wyższego talentu i głębokiego artystycznego poczucia. Należy się jej to tem więcej, że poświęciwszy stale swoją pracę i talent teatrowi krakowskiemu, nie szukając oklasków i wieńców w gościnnych występach na innych sce-

nach, mniej pewno znaną jest ogółowi w dalszych od Krakowa stronach, niżby na to zasługiwała. Mówimy tu o pani Antoninie Hoffmann, której portretem w roli Hrabiny, zdjętym z fotografii na miejscu wykonanej, ozdobiliśmy niniejszy artykuł.

WŁ. SABOWSKI.

## BIANKA MALIGIERI.

POWIASTKA HISTORYCZNA NIEMIECKIEGO

LUDWIKI MÜHLBACH.

(DOKOŃCZENIE)

W tej właśnie chwili weszła do ogrodu biała niewiasta, w długiej czarnej sukni, z głową osłoniętą czarnym czepek, który spięty pod brodą nadawał jej pozór zakonnicy. Jej duże czarne oczy miały bardzo posępny wyraz, i głęboki smutek malował się w jej szlachetnych rysach; a przecież, gdy zwróciła spojrzenie na Ludwika, ukazał się łagodny uśmiech na jej wąskich ustach.

— „Jakże wam się powodzi, mój biedny pacyencie?“ — spytała, podając mu swoją szczupłą, wychudzoną rękę.

Ludwik przycisnął ją czule do ust. — „O!“ — zawołał — „już nie jestem chory, a wam zawdzięczam, że wyzdrowiałem.“

Lidia wstrzęsła powoli głową. — „Ozdrowia nas tylko śmierć“ — rzekła. — „Kto żyje, ten chory, i tylko śmierć przynosi nam zbawienie.“

Sędziwy pleban zbliżył się do niej z czułym wejrzeniem i położył zlekka dłoń na jej ramieniu. — „Nie bądź tak smutną, Lidio“ — błagał ją zcicha. — „Wiesz przecie, że twój smutek i mnie zaraz ogarnia.“

Wstrzęsła się na te słowa i chwyciła ręką za czoło. — „To prawda“ — mruknęła — „bądźmy weseli, śmiejmy się; gdybym tylko śmiać się mogła!“ — dodała posępnie. — „Niegdyś mogłam, ale teraz już nie potrafię. To ztąd pochodzi, że serce moje tak poważne, a gdy serce się nie śmieje, to i usta nie mogą.“

— „Spójrzycie na mnie“ — rzekł Ludwik błagająco — „a musicie się ucieszyć, bo wiecie, że wam wszystko zawdzięczam. Przecież musi was uszczęśliwiać to przekonanie, że jest na ziemi człowiek, który winien wam życie swoje i szczęście. O, ja tak ubogi jestem w słowa; ale Bianka, gdyby tu była, jakżeżby wam dziękowała!“

— „Czy Bianka jest siostrą waszą?“ — spytała Lidia.

— „Siostrą po sercu, nie po krwi. Bianka, to cała moja rodzina; nie mam ojca, ani matki, mam ją tylko.“

— „Ani ojca, ani matki!“ — westchnęła Lidia. — „Biedna sierota!“

Patrzyła długo i z politowaniem w twarz jego, i oczy jej napełniły się łzami. Potem zaszła nagle zmiana w całej jej istocie. Dreszcz przebiegła jej członki, oczy rozwarły się szeroko i nieruchomie patrzyły przed siebie.

— „Sierota!“ — krzyknęła z okropnym jękiem. — „I moje dziecko jest sierotą. Gdzież ono? Kto mi ukradł dziecko moje?“ — wołała krzycząc dalej. — „Spało tak słodko... O Boże, położyłam je pod owem drzewem. Gdzie moje dziecko? Nie ma go, nie ma, ukradziono mi je!“

I krzycząc przeraźliwie padła w okropnych drganiach na ziemię. Jej piersi oddychały gwałtownie, potem zamknęły się oczy, i zdawało się, że już żyć przestała.

Starzec nachylił się do niej i podniósł zlekka jej głowę.

— „Teraz kurcz już przeminął, a gdy oczy otworzy, nie wie nic o tem, co się z nią działo.“

Ludwik ukląkł także przy niej i przypatrywał się jej z największym spólcuciem.

— „Powiedźcie mi,“ — zapytał spiesznie — „czy miała ona kiedy dziecko?“

— „Miała syna“ — odpowiedział pleban, wyjmując jakąś flaszeczkę z kieszeni, z której spuścił potem kilka kropel na skroń Lidii. — „Gdy wówczas“ — mówił starzec dalej — „przed dwudziestu laty mąż ją opuścił, uciekł z domu i zabrała z sobą to dziecko. Znużona długą wędrówką, spoczywała w lesie; położyła dziecko, które spokojnie spało, pod drzewem, a sama zapuściła się w las dla poszukania jakich owoców. Ale idąc coraz głębiej zabląkała się w gęstych zaroślach, a gdy wreszcie po długim błakaniu się powróciła strwożona, dziecka już nie było.“

— „To się stało niedaleko Padwy?“ — spytał Ludwik bez tchu prawie.

A gdy pleban to potwierdził, pochwyił młodzian z radośnym okrzykiem Lidia, wracającą już do przytomności, w swoje objęcia i okrywał jej usta pocałunkami.

— „Matko! moja matko!“ — wołał — „ocknij się, byś mogła zobaczyć twego syna; wstań powitać twoje dziecię! O, nie spoglądaj na mnie tak niemo, nie wstrząsaj głową z powątpiewaniem. Ja mówię prawdę, jestem twoim dzieckiem!“

Lidia podniosła się z wolna, i ująwszy Ludwika za obie ręce patrzyła z wyrazem największej czułości w jego oczy.

— „Ja wiem dobrze“ — szeptała — „o, ja wiem, że to tylko złudzenie, ale ono tak słodkie. To są jego oczy... O, nie ruszaj się, dozwól mi ucałować te oczy, ja tak lubiłam je całować! To jego usta, tak one się uśmiechały do mnie. Ale teraz już nigdy się nie uśmiechną“...

— „Ja przecież czynię to“ — zawołał Ludwik czule — „uśmiecham się do ciebie, moja matko.“

— „Matko?“ — spytała przełęczniona. — „Kto tu nazywa mnie matką?“



— „Ja!“ — zawołał głośno — „ja, twój syn. Pod owym drzewem w lesie w pobliżu Padwy, gdzie mnie położyłaś, znalazła mnie matka Bianki, która właśnie tamtędy przejeżdżała. Nie widząc nikogo przy dziecku, sądziła, że jakaś nieszczęśliwa kobieta tam je podłożyła; zabrała mnie więc ze sobą i kazała wychowywać jak własnego syna.“

— „Czy ja śnię? Czy to znów obłąkanie?“ — pytała, przyciskając obie ręce do skroni.

Ludwik wyjął z kieszeni pugilares, i wydobywszy z tajnej kryjówki utwierdzony na łańcuszku medalion, podał go Lidii.

— „Popatrz na to“ — rzekł. — „Z tym medalionem znalazła mnie matka Bianki, a ja nosiłem go zawsze jako jedyną pamiątkę po moich rodzicach.“

Lidia rzuciła okiem na medalion, i okrzyk najwyższej radości wydarł się z jej ust, a twarz rozjaśniła się jakby od promieni słońca.

— „To moje!“ — krzyknęła radośnie. — „Zawiesiłam to memu dziecku na szyję. O mój Boże, jeżeli to sen tylko, to pozwól, bym się nigdy z niego nie przebudzała!“

— „To nie sen, ty żyjesz!“ — wołał Ludwik, obejmując ją czule. — Twój syn jest przy tobie, przy tobie, moja matko.“

— „O, powtórz to jeszcze raz“ — szeptała, przypatrując mu się uszczęśliwiona. — „Nazwij mnie jeszcze raz matką. Tak długo tęskniłam za tem, by usłyszeć to słodkie imię.“

— „Matko, moja matko“ — powtórzył z tklivością.

— „Mój syn!“ — zawołała z radośnem uniesieniem. — „Znalazłam moje dziecię. To więc było, co mnie tak dziwnem przecuciem ciągnęło do ciebie, co mi dodawało sił do pielęgnowania ciebie. Matka poznała sercem swoje oplakiwane dziecię.“

— „A ja nie jestem już sierotą“ — zawołał Ludwik. I pospieszył do plebana, który ze złożonemi rękoma przypatrywał się obojgu z wyrazem pobożnego wzruszenia. — „Mój drogi ojcie!“ — zawołał, ściskając go serdecznie — „Wam zawdzięczam, że moja matka żyje.“

Starzec przycisnął go silnie do serca. — „A ja, mój synu“ — rzekł — „zawdzięczam tobie najpiękniejszą chwilę w mojem życiu.“

Lidia osunęła się znużona i bezwładna na ławkę. Ale jej oczy, błyszczące jak gwiazdy, były ciągle utkwione w twarz syna; nakoniec wyciągnęła ku niemu ręce z wyrazem niewysłowionego uszczęśliwienia.

— „Synu mój“ — zawołała — „pójdź uściskać twoją matkę!“

## V.

Od chwili otrzymania owej wiadomości okropnej nie opuszczała Bianka swoich komnat, i nawet Doża musiał poprzestawać na tem, że rzadko kiedy dozwalała mu wstępu do siebie. Chciała być sama, całkiem sama ze swoją żalobą, i nikt prócz jej przyjaciółki, Róży, nie miał widzieć jej łez, słyszeć jej bolesnych westchnień.

Napróżno usiłowała Róża ją pocieszać, zając innemi rzeczami. Bianka odpychała wszystko, i nie odpowiadała na nic, jeżeli Róża nie rozmawiała z nią o przeszłości, o Ludwiku.

I dziś też rozmawiały one długo o tych pięknych dniach, które minęły już bezpowrotnie. I coraz więcej bledły lica Bianki, coraz posepniejszym stawał się jej wzrok.

Róża patrzyła na nią z wyrazem najtkliwszego współczucia. — „Bianko“ — przemówiła — „miej litość nad sobą i nademną, szanuj się dla mnie, bo jeżeli tak dalej pójdzie, zabijesz się niezawodnie.“

— „Mogłażbyś pragnąć tego, bym dłużej jeszcze znosiła to życie?“ — spytała zcicha — „życie bez niego?“

— „Ależ byłaś przecie z nim rozłączona, nie widywałaś go nigdy.“

— „Nie“ — szepnęła wstrząsając głową — „nie byłam z nim rozłączona. On żył w mojem sercu, w mojej duszy, mimo wszelkiego oddalenia byłam zawsze przy nim. Wietrzyk, który chłodził twarz moją, może wiał ztamtąd, gdzie on żył, może i on nim oddychał. Gdym siedziała wieczorem przy oknie i myślała o nim patrząc na gwiazdy, mogłam roić sobie, że i on w tej chwili patrzy na nie, i że oczy nasze, nie mogąc się widzieć tutaj, spotkają się tam na górze. Wtedy byłam uszczęśliwiona, widziałam go przed sobą, marzyłam, że jestem przy nim.“

„To myśl, że on żyje jeszcze“ — rzekła Róża.

— „Gdybym mogła tak myśleć, byłabym szczęśliwa; ale ja wiem przecie i czuję, że on umarł. O, to okropnie, Różo, wiedzieć o tem i chodzić jeszcze po ziemi. Chciałam przecie znosić wszystko bez szemrania, byle on żył tylko. Ale mieć to przekonanie, że wszystko, com cierpiała, było daremne, że wszystko, co cierpię, na nic się nie przyda, to okropna męka, to...“

W tej chwili rozwarły się drzwi gwałtownie, i młody człowiek wpadłszy z otwartemi ramiony, zawołał z radośnem uniesieniem:

— „Bianko, moja Bianko!“

Ona skrzyknęła głośno. Przez chwilę wpatrywała się w niego najprzód z przerażeniem, potem z błyskającą nadzieją, a w końcu poskoczyła ku niemu, ich ramiona splotły się w gorącym uścisku, i spoczywali tak długo serce przy sercu, upojeni roskoszą powitania. Co potem mówili ze sobą, jak ona mu się skarżyła z swego żalu za nim, jak patrzyli na siebie z zachwyceniem i miłością, tego nie wiedzieli sami. Raj szczęścia otworzył im po raz ostatni złote swe podwoje, i upojeni szczęściem używali tej błogiej chwili, nie wiedząc o tem, że to ostatnia w ich życiu.

Róża dopiero przebudziła ich z tego snu rajskiego. Gdy Ludwik opowiadał Biance o cudownem zrządzeniu losu, które dozwoliło mu znaleźć swoją matkę, gdy Bianka

cała zasłuchana chwytiała z największą ciekawością każdy jego wyraz, Róża tymczasem czuwała przy drzwiach z wytężonym słuchem, i jakaś dręcząca niespokojność i trwoga malowała się na jej twarzy. Naraz zdało jej się, że posłyszala jakiś szelest; pocichu więc odchyliła nieco drzwi, ale czempredzej zamknęła je napowrót, a potem przebiegłszy cichym krokiem po kobiercu zbliżyła się do Bianki, która w słodkiem zapomnieniu o sobie nie wiedziała nic i nie myślała o niczem innem, tylko o tem, że Ludwik jest przy niej.

— „Bianko“ — szepnęła jej Róża do ucha — „żołnierze stoją na korytarzu, drzwi obsadzone.“

Bianka skrzyknęła i zerwała się przerażona. — „Czy sądzisz“ — szepnęła — „że Doża wie o przybyciu Ludwika?“

Róża kiwnęła głową. — „Wiadomo Ci przecie, że on wie o wszystkim, co się dzieje w pałacu.“

— „Mój Boże, mój Boże!“ — mruknęła Bianka. — „On zginął!“

Ludwik przypatrywał się jej z uśmiechem. — „Co Ci jest, Bianko? Czemuś tak naraz posmutniała?“

— „Nic to, nic!“ — rzekła skwapliwie. — „Ale widzisz, Ludwiku, mój mąż nie zna Ciebie, a on zazdrośny, mógłby się rozgniewać, gdyby Cię zastał u mnie...“

— „Co mówisz, Bianko?“ — spytał Ludwik zdziwiony. — „Lękaś się Twego męża? Powiedz mu przecie, kto jestem, jeżeli przyjdzie.“

— „O nie, lepiej, żebyś się ukrył.“

— „Ja miałbym się ukrywać?“ — rzekł gniewnie. — „Nie, ty chyba żartujesz.“

Róża podeszła znowu pocichu do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Ale wnet przyskoczyła znów do Bianki, jak spłoszona lwica. — „Słyszałam kroki“ — mówiła bez tchu; — „ktoś rozmawiał tam z żołnierzami.“

— „To Doża“ — rzekła Bianka przerażona. I z wyrazem największej niespokojności rzuciła się przed Ludwikiem na kolana ze złożonemi rękoma. — „Ludwiku, jeżeli mnie kiedykolwiek kochałeś, posłuchaj mnie! Oddal się, idź za Różą, uczyn to dla twej matki. Miej litość, oddal się!“

— „Ale cóż to znaczy?“ — spytał Ludwik przerażony. — „Co?“

— „Nie pytajcie teraz“ — przerwała mu Róża — „powiem Wam wszystko. Pójdźcie za mną, tu idzie o Wasze i o Bianki życie.“

I pociągnąwszy go z gwałtownym pospiechem ku małym drzwiom, znajdującym się w rogu komnaty, wypchnęła przez nie opierającego się, poszła za nim i zamknęła drzwi za sobą.

Zaledwie się to stało, rozwarły się wielkie drzwi wchodowe, i Doża wszedł do komnaty.

Bianka wprzód jeszcze podniosła się szybko z kolan i padła bezwładnie na krzesło. Ze złożonemi rękami,

z głową pochyloną na piersi, siedziała teraz jak nieżywa, modląc się w duszy z trwogi i przerażenia.

Doża zatrzymał się chwilę przy drzwiach, i oczy jego obiegły badawczo komnatę z wyrazem tygrysa, śledzącego za swą zdobyczą. Potem przeszedł powoli przez pokój i stanął przed swoją małżonką, która wzdrygnawszy się na widok jego, jeszcze bardziej straciła przytomność.

— „Gdzie Ludwik?“ — spytał z zimną spokojnością.

Bianka zadrzała, ale nie odpowiedziała nic.

Doża powtórzył pytanie, i dopiero teraz odpowiedziała cichym, zaledwie dosłyszczanym głosem: — „Nie wiem.“

— „Nie wiesz?“ — zawołał Contarini z oburzeniem.

— „Nie wiesz, a przed pięciu minutami był jeszcze u Ciebie.“

— „Tak jest“ — odpowiedziała trwożnie — „był tu, ale zaraz odszedł znowu.“

Doża zaśmiał się szyderczo. — „Czyż pani nie wiesz“ — zapytał — „że mam wszędzie szpiegów, i że w pałacu Doży nic się nie dzieje, coby się przedemną utaić mogło? Powiadam Ci, że Ludwik jest tu. Wszystkie bramy pałacu są pozamykane, a zewnątrz jest on obsadzony wojskiem. Wszelkie usiłowanie w celu ucieczki przepłaciłby signor Ludwik życiem.“

— „Wszchemocny Boże! — mruknęła zcicha do siebie — „on zginął.“

Contarini przypatrywał się jej z wyrazem złośliwego zadowolenia. — „I cóż tedy, signoro?“ — zapytał. — „Powstań przecież, spojrzij na mnie z owym lodowatym uśmiechem, jaki zawsze miałaś dla mnie; powtórz mi przecież: nie kocham ciebie, i tylko dla spełnienia jego życzeń zostałam twoją żoną.“

— „O, Tyś okrutny!“ — westchnęła Bianka.

— „A Ty byłaś lepszą?“ — zapytał szyderczo. — „Ileż to razy błagałam Cię, byś wyrzekła to słówko do mnie: kocham Cię; ale napróżno. Miałaś dla mnie tylko zimne spojrzenie i odpowiedź: nie mogę tego powiedzieć, gdyż byłoby to kłamstwo.“

— „Ale teraz powiem to, z pewnością“ — zawołała, wznosząc do niego ręce złożone. — „Przysięgnij mi, że Ludwikowi nie wyrządzisz nic złego, a wyrzeknę to słowo.“

Doża zaśmiał się głośno. — „Teraz chcesz powiedzieć? Ale widzisz, serce ludzkie jest dziwne, teraz ja nie chcę już słyszeć tego. Chcę tylko jego, tylko Ludwika. Tu go nie ma, może znajduje go tam.“

Wskazał ręką na małe drzwi boczne i postąpił spiesznie ku nim. Ale jeczce prędzej wyprzedziła go Bianka i zatrzymała chwyciwszy za rękę.

— „Jego nie ma tam, z pewnością nie ma! To moja sypialnia, Signor.“

Doża spojrział na nią wzrokiem przesywającym.

— „Znasz przecie ustawę wenecką?“ — zapytał. — „Kara śmierci jest za to, jeżeli mężczyzna poważy się wejść do

sypialni małżonki Doży. Chciałbym tedy wiedzieć, czy Ludwik jest tam.“

Znowu postąpił kilka kroków naprzód, ale Bianka zaskoczyła mu drogę i pod drzwiami padła przed nim na kolana.

— „Nie.“ — zawołała — „nie, Ty tam nie pójdziesz! O, posłuchaj mnie tylko, signor. Nieraz prosiłeś mnie o jedno spojrzenie, o jedno uściśnienie ręki: daj mi Twą rękę, uściśnię ją. Nieraz pragnąłeś, bym powiedziała, że Cię kocham: teraz powiem to i będę zawsze powtarzać, jeżeli Ludwikowi nie wyrządzisz nic złego.“

— „Zapóżno“ — rzekł Doża surowo. — „Ludwik jest tam, a ja chcę się zemścić.“

— „O, miej litość!“ — błagała. — „Tyś sroższy, niż dzikie zwierzę. Lwa można zmiękczyć łzami; Ty widzisz moje łzy, moje cierpienie, i nic wzruszyć Cię nie zdoła.“

— „A ja czyż nie płakałem także?“ — spytał Doża ze złością. — „Czy nie błagałem Cię po całych dniach i tygodniach, a zawsze napróżno?“



— „O“ — zawołała wznosząc błagalnie ręce do niego — „to było co innego. Chciałeś, bym wymieniła jego nazwisko, ale ja nie mogłam tego uczynić, bo wiedziałam, że chcesz go zamordować. Ale Ty, signor, możesz wysłuchać moję prośbę. Cóż on zawinił? Całą zbrodnią jego jest to, że go



kochałam, że nie mogłam nigdy zapomnąć o nim. Przerzekam Ci, nie widzieć go więcej; będę się nawet starała, nie myśleć już więcej o nim, ale dozwól mu odejść bezpiecznie.“

— „Naprawdę błagasz!“ — zawołał Doża. — „Ustąp się!“

— „Nie!“ — krzyknęła, i zerwawszy się stanęła przed drzwiami z rozkrzyżowanymi rękoma. — „Wprzód zabij mnie!“

Doża ryknął z wściekłości i porwał Biankę gwałtownie za rękę, ażeby ją odciągnąć ode drzwi.

Trwoga i przerażenie udzieliły Biance olbrzymich sił; mocowała się z nim nie chcąc ustąpić. Ale nagle wydała krzyk rozpaczny: drzwi za nią otworzyły się, i stanął w nich Ludwik.

— „Mnie szukacie, książę?“ — rzekł spokojnie. — „Oto jestem.“

— „Umieram, ach, umieram!“ — jęła Bianka i potoczyła się na krzesło.

Doża nie mówiąc ani słowa przeszedł przez pokój i otworzył drzwi wchodowe. — „Straż!“ — zawołał rozkazującym głosem.

Natychmiast weszło do komnaty czterech żołnierzy pod dowództwem porucznika.

— „Uwięzić tego zdrajcę“ — rozkazał Doża, wskazując na Ludwika. — „Zastałem go w sypialni mej małżonki. Za to zasłużył na śmierć. Wyprowadzić go.“

Okropny jęk wydarł się z ust Bianki. Zerwała się, przyskoczyła do Ludwika i opłótła ręce swe około jego szyi.

— „O Ludwiku, bracie mój!“

On odpierał ją zlekka. — „Cicho, Bianco“ — szeptał — uspokój się. Wiem o wszystkim. Róża powiedziała mi wszystko. Nie płacz, bądź silną i wzniosłą, jak zawsze.“

— „O, mój drogi“ — jęczała. — „On zamorduje Ciebie!“

— „Precz z nim!“ — rozkazał Doża.

— „Bądź zdrowa, Bianco“ — rzekł Ludwik, i odsuwawszy ją zlekka od siebie postąpił ku straży, która się doń zbliżała. Poczem z podniesioną dumnie głową wyszedł z komnaty otoczony żołnierzami.

Doża zwrócił się do Bianki i ukłonił z szyderym uśmiechem.

— „Signora“ — rzekł — „potrzebujecie spokoju, by wypocząć. Odechodzę więc.“

Ona nie rzekła ani słowa. Patrzyła za nim, jak przechodził przez pokój, jak drzwi za nim się zamknęły, i siedziała ciągle jeszcze nieruchomie, jakby odurzona okropnym ciosem, który ją dotknął.

Wtem szepnął ktoś koło niej: — „Nie trać odwagi; musimy pomyśleć o środkach, żeby go ocalić.“

Bianka drgnęła i obróciła się. Przed nią stała Róża, jedyna jej przyjaciółka i pocieszycielka.

— „O tak“ — zawołała Bianka, oddechając głęboko — „ja muszę go ocalić. Sama zginę, a jego ocalę!“

## VI.

Dwa dni upłynęły od tego czasu, dwa dni męki i zawiadzionych nadziei dla Bianki. Odważyła się ona na wszystko, by Ludwika uratować. Udało jej się przekupić strażę, przygotować przebranie dla niego i dla siebie, utworować drogę ucieczki. Na małym kanale, przy moście dei sospiri, stała w pogotowiu gondola, i Róża, przebrana za gondoliera, oczekiwała w niej uciekających. Dozorca więzienia przyrzekł wypuścić ich małą furtką żelazną nad kanałem, zaprowadziwszy wprzód Biankę samą do celi Ludwika, ażeby go uwolniła. Wszystko obmyśliła ona i obrachowała jak najlepiej; o jednej tylko rzeczy zapomniała, o szpiegach swojego męża, i o to jedno rozbił się cały jej plan. Bez przeszkody dostała się aż do więzienia Ludwika, ale gdy chciała z nim wyjść, zastała przed drzwiami Dożę, który pochwyił ją gwałtownie za rękę, gdy tymczasem żołnierze stanęli przed drzwiami i zastąpili drogę Ludwikowi. Na ten widok padła Bianka bez zmysłów, i Doża zaniósł ją sam na rękach do jej komnat. Ztamtąd powrócił zaraz do swego gabinetu, palając niepomowaną żądzą zemsty, z stałym postanowieniem ukarania tej niesłychanej zbrodni i zgładzenia Bianki razem z jej kochankiem. Wolno mu było uczynić to, wielka rada trzech dała mu pełnomocnictwo na to. Udzielanie nagród i łask nie było w mocy Doży, ale karać i mścić się za występki dozwalała mu chętnie rzeczpospolita.

Mógł przeto zemścić się i chciał tego. Komnatę Bianki obstawiono strażą. Była ona więźniem, i tylko jej przyjaciółce, Róży, dozwolono z łaski pozostać przy niej. Jeszcze tej nocy miało się wszystko rozstrzygnąć, i gdy słońce zejdzie nad dumną Wenecją, miało już zginąć dwoje winowajców, których jedyną zbrodnią było to, że się kochali, i tylko Laguny miały wiedzieć, gdzie zostali pogrzebani.

Wszystko było już przygotowane i zarządzone; chwila rozstrzygnięcia nadeszła. Doża poruszył trzykrotnie srebrnym dzwonkiem; za trzecim uderzeniem otwarły się tajemne drzwi i wszedł jego zakapturzony sługa z czarną maską.

— „Przygotowałeś truciznę?“ — spytał Doża.

— „Przygotowałem“ — odpowiedziała maska.

— „Czy dobra i pewna?“

— „Jeden gran wystarczy na zabicie dwojga ludzi, a ja mam dwa grany.“

— „Dobrze“ — rzekł Doża zadrzawszy nieco. — „Rozpuść ją w kielichu i zanieś podziemnym krużgankiem do pokoju signory. Potem połóż tę kartkę na kielichu.“

— „Stanie się podług Waszego rozkazu, signor“ — rzekł zamaskowany, biorąc papier, który mu podał Doża, i chciał się oddalić.

— „Jeszcze nie skończyłem“ — rzekł Doża. — „Słu-

chaj dalej: Gdy trucizna będzie już w pokoju signory, zaprowadzisz do niej Ludwika. Ma pozostać u niej, dopokąd ona nie umrze, a dopiero potem nastąpi stracenie tego zdrajcy na Piazzecie. Teraz wiesz już wszystko; oddał się.“

Maska znikła, i Doża pozostał znowu sam. Tryumfował w duchu, że dzieło zemsty jest już dokonane, że zdrada będzie ukarana. Chwalił sam siebie, że tak zmyślnie i zręcznie ukartował swoją zemstę, że zgotował im męczarnię do ostatniej chwili ich życia. Ludwik miał być świadkiem jej zgonu; Bianka miała go zobaczyć jeszcze raz, ale z tem okropnem przekonaniem, że ona jest przyczyną jego śmierci, że od niej pójdzie wprost na haniebne stracenie. O, wszystko to było bardzo pięknie, bardzo zmyślnie ułożone, a przecież nie czuł on się szczęśliwym, przecież dręczyły go jakieś straszne mary i zimna dreszcz przebiegała jego członki.

„Nie będę mógł nigdy zapomnąć o niej“ — mruzczał z cicha do siebie. — „Ja mszczę się na niej, a ona jeszcze srożej zemści się na mnie, bo obraz jej nie zatrze się nigdy w mojem sercu; będę ją kochać przeklinając jej pamięć. Będę sam, zupełnie sam; będę...“

Naraz ocknął się przełknięty z swego posępnego dumania; u drzwi jego dał się słyszeć głośny szmer i krzyżący głos kobiety.

Cóż to jest? Kto się poważył przerywać tę ciszę?

Drzwi rozwarły się gwałtownie i wpadła jakaś osłonięta kobieta, ścigana przez żołnierzy, którzy stali u drzwi na straży. Usiłowali wyciągnąć ją napowrót, ale odepchnęła ich z nadludzką prawie siłą.

— „Puście mnie!“ — krzychała rozpaczliwie. — „Nie zatrzymujcie mnie, bo tu idzie o życie mojego dziecka.“

— „Cóż to? Co to znaczy?“ — pytał Doża zwrócony do żołnierzy.

— „Przebaccie, signor“ — odrzekł jeden z nich. — „Ta kobieta wdarła się do pałacu utrzymując, żeście ją wezwali. Wzbranialiśmy jej jednak przystępu, boście rozkazali nikogo nie wpuszczać. Ale ona, jak widzicie księżę, weszła tu przemocą.“

— „I nie odejdę ztąd“ — krzychała niewiasta — „jeżeli syn mój nie będzie ułaskawiony! O panie, nie odpędzaj mnie; racz mnie przynajmniej wysłuchać! Każ im odejść; chcę przemówić do Twego serca, chcę na klęczkach błagać o łaskę dla mego syna. Zmiłuj się, panie, wysłuchaj mnie!“

W jej błaganiu było coś tak rozczulającego, że Doża nie mógł się mu oprzeć. Skinął na żołnierzy, ażeby wyszli, i sam zamknął drzwica nimi.

— „Teraz posłuchaj mnie, księżę“ — zawołała Lidia, padając przed Dożą na kolana. — „Uwolnij mego syna, mego Ludwika! Cóż on zawinił? — on, który jest samą cnotą i zacnością.“

— „On popełnił zbrodnię, za którą musi zginąć. Nie prosz daremnie, mój wyrok nieodmienny.“

— „Nie, nie!“ — jęczała. — „Ty się zmiłujesz, Ty będziesz mieć litość, wysłuchaj mnie. Przez dwadzieścia lat płakałam za moim synem; było to jedyne me dziecko i zostało mi porwane. O, ty nie wiesz, co to znaczy, przez dwadzieścia lat mieć tylko jedno życzenie, jedną myśl, nic innego nie słyszeć i nie wiedzieć, tylko to jedno: Gdzie moje dziecko, nie widzę mojego dziecięcia! A teraz, gdy je znalazła, gdy mam znowu syna, czyż mógłbyś być tak okrutnym, by mi go znowu odebrać? To niepodobna, to być nie może!“

— „Dość tego!“ — zawołał Doża surowo. — „W tej chwili, gdy mówisz do mnie, on już umiera. To był zdrajca, i będzie ukarany podług prawa.“

Lidia pośwała się z dzikiem wejrzeniem. — „Nie czyni tego!“ — krzyknęła. — „Ja Cię zamorduję, jeżeli nie odwołasz Twojego rozkazu.“ — I podnosząc rękę ze sztyletem rzuciła się na Dożę. Już błyszczące ostrze dotykało jego szyi, nim zdołał się ocknąć z zadziwienia i przestachu. Dopiero teraz, w stanowczej chwili, pochwycił jej ramię i chciał wyrwać jej sztylet z ręki. Ale ona trzymając go z rozpaczliwą siłą mocowała się z nim, jak wąż, gdy się z lwem potyka.

W tem wydarł się okropny krzyk z piersi Doży.

Przy mocowaniu się spadła zasłona z twarzy Lidii, i Doża ujrzał jej oblicze.

— „Lidia!“ — krzyknął przerażony — „Lidia!“

Ona wpatrzyła się w niego osłupiałym wzrokiem, stojąc przez chwilę nieruchomie i bez tchu prawie.

— „Józefie“ — mruknęła wreszcie. — „Tyż to jesteś? Ty, Doża Wenecyi?“

On nie miał odwagi spotkać się z jej spojrzeniem, i wdychając głęboko spuścił głowę na piersi.

Lidia zaś była jakby oczarowana. Słodkie sny, błogie wspomnienia przeszłości budziły się tłumnie w jej duszy, i patrząc na niego zapomniiała o wszystkim, widziała jego tylko.

— „O Józefie!“ — szeptała. — „Gdybyś był wiedział, jak mocno Cię kochałam, jak okropnie cierpiałam przez Ciebie, nie byłbyś zdołał opuścić mnie i zapomnąć o mnie.“

— „Przestań, Lidio“ — jęczał z cicha. — „Zabijasz mnie.“

Ona nie zważała na jego słowa. Patrzyła ciągle jeszcze na niego z wyrazem tkliwego smutku. — „Spojrzyj na mnie“ — błagała z cicha; — „pozwól mi widzieć Twe oblicze, za którym dwadzieścia lat tęskniłam.“

I odciągawszy jego rękę od twarzy patrzyła nań marzącym wzrokiem. Ale naraz zadrgnęła, rozwiały się mgły marzenia, i duch jej przejrzał znowu.

— „Ratuj go!“ — zawołała. — „To twój syn!“

— „Ludwik mój syn?“ — krzyknął przerażony.

— „Tak jest, jam Ci go urodziła.“

— „A ja“ — zajęczał Doża ponuro — „zabiłem go!“

— „Spiesz się!“ — zawołała. — „Jeszcze możesz zapobiedz, jesteś jego ojcem. Ratuj Twego syna!“

— „Spróbuj“ — rzekł spieszenie. — „Właśnie teraz wszedł on do pokoju Bianki. Może będzie czas jeszcze. Rada trzech jest właśnie zebrana. Pojdę do nich i będę błagać o łaskę.“

— „Ty sam możesz go ulaskawić, Ty, Doża Wenecyi, potężny książę.“

— „Mnie tylko karać wolno, prawo łaski przysłuża owej straszliwej trójce. Ale pójdę do nich, wyjawię im wszystko, będę błagać ich o łaskę, i muszą mnie wysłuchać. Pójdź ze mną, Lidio, będziesz potwierdzać moje słowa. Niech mnie oskarżą, potępią i zabiją, byle syn mój był wolny. Pójdź, Lidio, nie ma już ani minuty do stracenia.“

Po tych słowach pociągnął ją szybko za sobą, i przez świetne sale, przez pyszne komnaty pałacu spieszyła ta nieszczęśliwa para, z trwogą śmiertelną w sercu, z bladeścią śmiertelną na twarzy.

\* \* \*

Z sercem obumarłym z boleści siedziała Bianka w swojej komnacie. Przed nią na kolanach leżała Róża i patrzyła na nią ze złożonemi rękoma, ale widzieć jej nie mogła, bo oczy jej były zamroczone łzami. Bianka jednak nie płakała. Ona pokonała już życie, jej dusza wyswobodziła się już z ziemskich katuszy, a nawet zgon jej miał być jeszcze ostatniem dziełem miłości dla Ludwika. Ona czytała kartkę, leżącą na puharze, który wsunięto nagle przez ścianę jej komnaty. Kartka ta zawierała tylko te słowa:

„Jeżeli ta trucizna nie zostanie wypita w przeciągu „godziny, zginie nie tylko Ludwik, ale także jego matka, „którą przywiózł do Wenecyi. Chcecie ją ocalić, signoro, „to wypijcie.“

O, tak, ona chciała ją ocalić i postanowiła wypić truciznę. Właśnie pożegnała swą przyjaciółkę po raz ostatni, poleciła jej, aby po jej śmierci udała się do matki Ludwika i pielęgnowała ją jak córka; a potem jako ostatnie swe wyrażając życzenie, upraszała Różę, ażeby się oddaliła i nie była świadkiem jej zgonu. Chciała pozostać sama, z sobą tylko i z Bogiem. Uważała się już za oderwaną od świata i nie chciała, ażeby łzy przyjaciółki przypomniały jej jeszcze raz cierpienia żywota.

Podniosła więc lekko z kolan swoją przyjaciółkę, wycisnęła ostatni pocałunek na jej ustach, utkwiała jeszcze raz wzrok pełen tkliwości w jej twarz drgającą od bólu, i dała jej znak skinieniem głowy, ażeby odeszła.

Nie mówiły już więcej ani słowa. Róża odeszła

chwiejącym się krokiem ku drzwiom, i obiema rękami przyciskając usta, ażeby powstrzymać wybuch swego żalu, wypadła jak nieżywa z komnaty.

Bianka wysłała za nią jeszcze jedno spojrzenie na pożegnanie, a potem wzniosła powoli oczy ku niebu.

— „I to już przebyte“ — szepnęła zcicha. — „Teraz skończyłam już zupełnie z tym światem, i nie mam tu nic więcej do czynienia, jak tylko umrzeć, ażeby przejść do krainy ostatniej, wiecznej spokojności.“

I zbliżyła się powoli do stołu, na którym stał puhar z trucizną. Ale na widok jego wzdrygnęła się, i rękę już wyciągniętą usunęła napowrót.

„Tu jednak wahać się już nie można“ — pomyślała. — „I ta twoga musi być pokonana. Matce Ludwika grozi śmierć, jeżeli nie wypiję. Trzeba więc wypić.“

I powchyciła puhar. Ale w tej samej chwili powstała jakaś wrzawa na korytarzu. Słychać było stąpanie żołnierzy, głośnie komendę dowódcy, i drzwi się otworzyły. Na korytarzu stali podwójnym szeregiem żołnierze, a pośród nich Ludwik. Wysunęli go naprzód, wepchnęli do komnaty i zamknęli drzwi za nim.

Bianka przypatrywała się temu wszystkiemu zdumiona i bez tchu prawie. Zdawało jej się, że ją sen omamił, że to nie może być prawdą ani rzeczywistością. Ale gdy Ludwik z otwartemi ramiony pospieszył do niej, gdy z największą czułością wymówił jej imię, przekonała się, że czuwa, że żyje, i rzuciwszy się w jego objęcia, oparła głowę swoje jak bezwładne dziecko na jego ramieniu.

— „O jakże dobrym jest Bóg!“ — rzekła zcicha. — „Jak słodko będzie teraz umierać! Widzę Cię znowu i nie pytam się, dlaczego wyświadczone mi tę łaskę; przyjmuję ją i dziękuję Bogu za nią.“

— O, moja Bianco!“ — westchnął Ludwik przyciskając ją silnie do serca, jak gdyby chciał swoim objęciem uchronić ją od wszelkiego niebezpieczeństwa. — „Także to musimy widzieć się znowu?“

— „Ale zawsze widzimy się“ — rzekła łagodnie. — „Nie taj nic przedemną, Ludwiku; powiedz mi, co Ciebie czeka?“

— „Rusztowanie“ — odpowiedział spokojnie. — „Właśnie oznajmiono mi, że jak tylko opuszczę Twoją komnatę, poprowadzą mnie na śmierć.“

Bianka nie krzyknęła i nie płakała nawet. Na chwilę tylko przymknęła oczy, i zimna dreszcz przebiegła po niej; ale wnet pokonała i to ostatnie wzruszenie ziemskie.

— „Ja mam patrzeć, jak będziesz umierała“ — mówił dalej żałośnym głosem. — „Jeszcze tę ostatnią, okropną katuszę wymyślano dla mnie; mam widzieć Twoje męki śmiertelne, a dopiero potem pójść na stracenie.“

— „Nie Ludwiku“ — rzekła z anielskim uśmiechem — „nie będziesz tu widział żadnych mąk śmiertelnych; śmierć moja będzie lekka i słodka, bo Ty jesteś przy mnie, mój drogi, ukochany bracie.“

On potrząsł głową jakby z wyrazem gniewu, i zaprowadziwszy Biankę do sofy, usiadł z nią ręką w rękę, oko w oko.

— „Bianko“ — rzekł — „słusznie mówisz, że umierać będzie nam słodko, i tą razą przerachował się Doża. Chciał sprawić nam męczarnię, a zgotował ostatnią, najszczytniejszą rokosz. Wiele mam Ci powiedzieć, Bianko, ale życie za krótkie już na to, tam w niebie dopowiemy sobie resztę. Moja Bianko, stoimy już nad grobem, jeszcze kilka chwil, a oboje nas wieczność pochłonie. Mówmy więc szczerze i otwarcie. Ty mię kochasz, Bianko, ale nie jak siostra brata, lecz wznioślej i czulej.“

Ona nie spuściła oczu, lecz z wyrazem najtkliwszego uczucia patrzyła w szlachetną twarz jego.

— „O tak, Ludwiku“ — rzekła spokojnie — „kocham cię, teraz mogę to wyznać, kocham cię całą duszą. To uczucie było rokoszą i błogosławieństwem mego życia. Wszystko, co jest dobrego we mnie, zawdzięczam mojej miłości. Ona mnie kształciła i utwierdzała w dobrem, ona była mem życiem, mojem szczęściem, moją cnotą. Oddałam jej całe serce moje, i teraz obdarza mnie ona wieczną szczęśliwością.“

Gdy to mówiła, zsunął się Ludwik ze sofy, na której obok niej siedział, do jej nóg, i złożony ręce na jej kolanach patrzył w jej twarz wzrokiem promieniejącym radością i zachwyceniem.

— „Bianko!“ — szepnęła z cicha. — „Moja ty najdroższa, moja święta!“

— „Nie“ — rzekła wstrząsając zlekka głową — „świętą nie jestem. Ach, ziemskie życzenia obudzały się często w mem sercu; nie dość mi było, żem cię kochała, pragnęłam jeszcze być kochaną przez ciebie.“

— „A ja, niebaczny,“ — zawołał — „chodziłem po raj, a byłem ślepy. Największe szczęście uśmiechało się do mnie, a moja ślepotą nie dozwalała mi go widzieć. Ale posłuchaj, Bianko, i ja muszę ci wszystko wyznać. Jakaś niepojęta tęsknota parła mnie ztąd wówczas; sądziłem, że to żądza sławy. Bywałem często smutny, nie wiedząc dla czego, kiedy indziej znów doznawałem bez przyczyny radośnego wzruszenia. W walce spodziewałem się znaleźć spokój i zadowolenie, a ponieważ wzbroniono mi tego, ponieważ musiałem tu pozostać, pragnąłem przeto jeszcze goręcej oddalić się. Wreszcie spełniło się moje życzenie. Za twoją pomocą odjechałem, mogłem brać udział w walce, i czułem się wielce uszczęśliwionym, ale nie na długo.“

— „Nie na długo, mój Ludwiku?“ — spytała smutno.

On, nie odpowiadając na jej pytanie, mówił dalej: — „Rzuciłem się z całym zapałem młodości, z całą odwagą i mężstwem w wir boju i padłem ciężko raniony. Wtedy padając wymówiłem twe imię, wtedy widziałem przed sobą twe oczy, nim przytomność mnie opuściła.“

O tobie tylko myślałem na łożu boleści, o tobie tylko mówiłem. Żądza sławy, która niegdyś tak strasznie paliła me serce, milkła zupełnie, gdy pomyślałem o tobie, gdy nadobna twa postać stanęła przed oczyma mej duszy.“

— „O Ludwiku!“ — zawołała Bianka z uczuciem trwogi zmieszanej z radością. — „Zaklinam cię na przedwiecznego Boga, powiedz mi prawdę, tylko prawdę. Nie łudź mnie, aby mię pocieszyć tylko.“

Ludwik położył rękę na jej sercu i spojrzął jej z natchnieniem w oczy.

— „Na to szlachetne serce przysięgam ci, że mówię prawdę. Widziałem tylko ciebie i myślałem tylko o tobie, ale nie rozumiałem uczucia własnego serca i nazywałem moją tęsknotę miłością braterską. Dopiero gdy powróciłem do Wenecyi, gdy szedłem do ciebie i gdy serce biło mi z radości na samą myśl, że cię znów zobaczę, wtedy dopiero przyszedłem do świadomości samego siebie. Naraz wszystko mi się rozjaśniło, jak gdyby łuski spadły z moich oczu; naraz poznałem, że ta przemijająca tęsknota, ta próżna żądza sławy i walki była tylko miłością. Niewysłowiona rokosz napełniła moje serce, i uszczęśliwiony wyznałem sam przed sobą, że cię kocham. O tak, Bianko, ja ciebie kocham, ciebie jedynie!“

Ona powstała z wolna, jakby podniesiona niewidzialną siłą; jej oczy i ręce wzniosły się do nieba.

— „On mnie kocha!“ — rzekła tyle tylko. Ale całe jej uczucie, całe szczęście mieściło się w tych trzech wyrazach, chociaż zarazem także jej powątpiewanie i obawa.

Ludwik zrozumiał to wszystko, pociągnął ją w swe objęcia i przycisnął do serca.

— „Wierz temu najmocniej“ — mówił — „ja cię kocham więcej niż życie, niż wszystko na świecie. Tyś mojem szczęściem, mojem zbawieniem. O, Bianko, ja wiem wszystko, co cierpiała. Ty poświęciłaś się dla mnie, zakulała w więzy tego małżeństwa, znosiła wszystkie katusze bez skargi. Ty szlachetna niewiasto, twoja miłość uczyniła cię bohaterką.“

— „Teraz mogę umrzeć“ — szepnęła Bianka z uśmiechem szczęśliwości — „bo on mnie kocha. Życie nas rozłączyło, śmierć połączy napowrót. O, Ludwiku, jakże to słodko umierać!“

Ludwik nachylił się do niej i wycisnął długi pocałunek na jej ustach.

— „Tym pocałunkiem, Bianko, tym zadatkim najczystszej miłości witam cię jako oblubienicę mej duszy, jako moją małżonkę, chociaż na ziemi byłaś małżonką innego.“

— „Nie byłam nią nigdy“ — rzekła radośnie. — „Nigdy ramiona moje nie uściśnęły innego mężczyzny, nigdy inny mężczyzna nie całował ust moich.“

On przycisnął ją mocniej do serca, i w tej chwili zapomnieli oboje o życiu i o śmierci, bo dusze ich upojone szczęściem spotkały się w wzajemnym uścisku.

Nagle przerwał głęboką ciszę głośny dźwięk wielkiego zegara, który stał na kominku marmurowym.

— „Bywaj zdrów, mój jedyny!“ — rzekła Bianka z pośpiechem. — „Ja muszę już odejść!“

— „Odejść?“ — spytał. — „Dokąd?“

Ona wskazała mu puchar ruchem pełnym znaczenia. — „Na śmierć“ — rzekła spokojnie. — „Podaj mi rękę Ludwiku. Patrz na mnie, i gdy będę piła, niechaj słyszę z ust twoich te niebiańskie słowa: Bianco, kocham ciebie!“

I ująwszy puchar, chciała go ponieść do ust ale Ludwik wstrzymał jej rękę.

— „Nie pij Bianco! Poczekaj jeszcze; mój Boże, jeszcze jest może nadzieja ratunku.“

— „Nie“ — rzekła łagodnie — „dla nas nie ma już ratunku. I cieszy mnie to, że tak jest. Bo cóżbyśmy robili jeszcze na tym zimnym świecie, który nie rozumie wcale naszej miłości. Wzniesmy się do nieba, mój jedyny, do ojczyzny miłości. Życie nas rozdzieliło, niechaj śmierć nas połączy.“

I znowu sięgnęła ręką po puchar.

— „To podzielmy się!“ — zawołał Ludwik, wstrzymując powtórnie jej rękę. — „Podajmy sobie śmierć nawzajem i umrzemy razem.“



I nim zdołała przeszkodzić temu, wyrwał jej puchar z ręki i wychylił spiesznie do połowy.

Bianka odebrała mu go wtedy przemocą i wypróżniła do dna.

— „Bianko!“ — zawołał Ludwik czule — „pójdź teraz do mego serca, oprzyj się o mnie mocno, jak najmocniej, i tak całując się umrzemy.“

I połączyli się serdecznym uściskiem. Ale wnet przebiegło drzenie po całym ciele Bianki, nogi zachwiały się pod nią, i wysunąwszy się z jego ramion padła bezwładnie na sofę. Ludwik rzucił się jej do nóg z bolesnym wykrzykiem. Już twarz jej zaczynała się zmieniać, zimny pot występował dużymi kroplami na poblaskie czoło, i cienie śmierci przesuwały się po jej obliczu. Ale promień miłości rozjaśnił je znowu, i gdy spojrziała na Ludwika swemi dużemi, pełnemi uczucia oczyma, zajaśniała jej twarz nadziemską szczęśliwością, i anielskie zachwycenie malowało się w jej rysach. Niedola ziemską była już pokonana, i dusza jej widziała niebo, unosząc się ku niemu na skrzydłach miłości.

— „Czy słyszysz ten czarujący śpiew?“ — szeptała zcicha. — „Czy poznajesz go? Mnie się zdaje, że siedzimy znowu jak niegdyś w gondoli, i marząc słuchamy śpiewu gondolierów. Jak pięknie świeci słońce, jak miło fale kołyszą mnie do spoczynku, jak...“

Ostatni wyraz zamarł na jej ustach, oko zdrętwiało, a głowa opadła w tył bezwładnie.

— „Bianko!“ — wołał Ludwik przerażony. — „Nie umieraj jeszcze, zabierz mnie z sobą!“

Otworzyła jeszcze raz oczy; głos kochanka zatrzymał ją u podwoi śmierci.

— „On mnie kocha!“ — zawołała radośnym głosem, i padła nieżywa.

— „O tak, on cię kocha“ — rzekł Ludwik uroczystie. — „I Bogu niech będzie cześć, umiera razem z tobą!“

Pochylił głowę na jej kolana, jeszcze jedno westchnienie ostatnie, i cisza zaległa obszerną komnatę, z której właśnie uleciały dwie szczęśliwe dusze, by unieść się w niebo na skrzydłach miłości.

Cisza panowała w obszernej komnacie, gdzie dwa trupy uroczystą spokojnością świadczyły o wiecznej tajemnicy życia i śmierci.

Ale zewnątrz dał się słyszeć ruch wielki. Jakiś głos niewieści zawołał z rozpaczą: „Gdzie mój syn?“

W tej samej chwili rozwarły się drzwi z łoskotem, i bladzi, z śmiertelną trwogą i przerażeniem na twarzy, wpadli, najprzód Doża, a za nim Lidia.

— „Nie pij, Bianco!“ — zawołał Doża. — „Oboje jesteście ulaskawieni. Oboje —“

Głośny, przerażający krzyk przerwał mu, i jakby piorunem rażona padła Lidia na ziemię.

Serce matki pękło, bo oko macierzyńskie spostrzegło trupa syna.

Doża drgnął przerażony, i jęknąwszy boleśnie zakrył twarz rękoma.

Od tego dnia był Doża Contarini złamany i zamknięty w sobie. Wzrok jego zawsze był ponury, i nigdy uśmiech nie rozjaśnił jego twarzy. Mówił bardzo mało i żył samotnie i cicho w swoim pałacu.

Doznał on wielu nieszczęść, powiada Daru, dziejopisarz Wenecyi, i nigdy rzeczpospolita nie miała tak groźnego i ponurego Doży, jak hrabia Contarini; ale przytem wszystkiem był to mąż waleczny. I gdy Turcy po raz drugi oblęgali Kandyą, uprosił sobie u wielkiej rady pozwolenie, żeby mógł wyruszyć sam na czele floty dla pokonania nieprzyjaciela. Tajna rada trzech nie chciała zrazu zezwolić na to, utrzymując, że Doża Wenecyi nie powinien narażać się na niebezpieczeństwo, by zginął od kuli lub miecza. Nie chcieli więc pozwolić na to dla dobra rzeczpospolitej ale Contarini odpowiedział z gorzkim uśmiechem: „Mnie nie zabije żadna kula ani miecz, bo życie uzbroiło mnie puklerzem chroniącym od śmierci.

A w pancerzu cierpień przejdę bezpiecznie pośród kul nieprzyjacielskich.“ Ale pancerz ten musiał przecież mieć jakiś otwór, bo w wielkiej bitwie morskiej, którą flota wenecka stoczyła z Turkami pod Kandyą, i w której Doża sam dowodził, ugodziła go kula właśnie w chwili, gdy wstępował na trzymasztowy okręt turecki, który własną ręką zahaczył. Padł więc na pokład ciężko raniony; ale Turcy i tą razą zostali zwyciężeni, i Kandyą utrzymała się znowu przy Wenecyi. Flota powróciła w tryumfie do Wenecyi, ale na głównej fregacie powiewała czarna chorągiew, a na jej pokładzie spoczywały złożone na śmiertelnym całunie zwłoki Contariniego, Doży Wenecyi.

K O N I E C .

## JESIENNY OBRAZEK.

Płyną chmury na zachód. Cały świat okrywa  
Mgła jakaś poplamiona i nieprzenikliwa;  
W niej skośny promień słońca bez odblasku tonie,  
Niby słowo pociechy w łąz nabranem łonie;  
Lub gdy mroki przebiję, świeci a nie grzeje,  
Jak uśmiech z lic człowieka, co stracił nadzieję.

Cicho... wicher zawyje czasem żałośliwie,  
Zatrząśnie przerzedzonym ścierniskiem na niwie,  
Dźwięczną piersią uderzy o mur, co okala  
Park, szczytami lip starych widniejący zdala,  
Zagęszczony, tajemny, jakby głębia kniei:  
Tam po długiej, zagiętej niby wąż alei,  
Której ścieżkę zarosła gęstym dachem cienia  
Liście lip, suchotniczą lśniące już czerwienią,  
Pędząc, jak dziki rumak po stepu równinie,  
Strząsa ulewę liści i w przestrzeni ginie.

Któż to westchnął? Czyż wichru oddalone echo  
Wzdycha, jak duch pokutny za niebios pociechą?  
Nie, — to z piersi kobiecej ten dźwięk drżący wzłata:  
Tam na skrócie ulicy czernieje jej szata,  
Szata żałobna, długa, której miękkie zgięcia  
Zdradzają smukłość palmy i kształty dziecięcia;  
W jej włosach, utrefionych w niedbałe kędziory,  
Nie ma kwiatka, w źrenicy blask ostry i chory;  
Blask ten ponad jej twarzą cierpieniem zabita,  
Jak lampa po nad białą marmurową płytą,  
Strzegąca tajemniczych grobowca zacięni,  
Zda się mrok lic powiększać światłem swych promieni.

Obok niej idzie młodzian z pochyloną głową;  
Znać kamień smutku cięży ponad ich rozmową,

Bo usta jego milczą; rzęsa oczy kryje,  
Trudno zgadnąć, czy suche, czy łąza się w nich wije;  
Pierś tylko niespokojnem wznosząca się drzeniem  
Wskazuje, że się łączy z kobiety westchnieniem,  
Że jednaka w nich boleść, czy troska się chowa,  
I wołą dusz wymowę, niżeli ust słowa.  
Tak idą na tle zbladłej zieloności łąki,  
Jak dwa polne ku sobie pochylone dzwonki,  
Odarte z wiosennego blasku i przepychu,  
Mięszające swą rosę i swą woń pocichu.  
Już kończy się drzew smukłych szereg wyrównany;  
Przed nimi pól szerokich wędniejące wdzięki,  
Dalej góry tonące w mgłę gazowej, cienkiej,  
I — wstrzymujące oko — horyzontu ściany.  
Przestrzeń daleka!... cisza na niebie i ziemi.

Kobieta w dal oczyma patrząc głębokimi,  
Osunęła się cicho na pień mchem okryty,  
Młodzieniec bez szelestu legł u nóg kobiety.

O jak melancholijnie grała każda stróna  
W ich duszy, tą jesienną ciszą napojona!  
Kobieta wzięła rękę towarzysza w dłonie,  
Usta jej lekko drżały, jakby myśli siła  
Jakieś słowa na warg ich koralu kreśliła:—  
Tak drzy ziemia, gdy życie się budzi w jej łonie;  
A oko ludzkie dojrzeć ni zgadnąć nie zdoła,  
Czy to kwiatek chce wyrzeć, czy wulkan zapłonie,  
Czy krynica przesiąka na wierzch krzyształowa;  
Tak w tej kobiecie, jednak widać z blasku czoła  
I z rumieńca, że będą to miłości słowa:

„Słyszysz, jak słabną tętna w naturze, mój miły,  
Cała ziemia się zmienia w krzyże i mogiły,

Drzewa szepcą „memento mori“ smętnym chórem,  
Słońce blade zachodzi nad życia wieczorem,  
Tęsknica niezmierna skrzydła rozpostarła;  
A jednak każda trawka, jeszcze nie umarła,  
Czeka z dziwnym spokojem ciężkiej swej kolei,  
Jakby czuła w swem uchu słodki szept nadziei!  
Tak... bo ona odżyje — świetna, znowu młoda,  
Odżyje słońca ogień i ziemi uroda,  
Odżyje ciepły oddech wiatru w noc majową,  
Odkwitnie niebios błękit nad szczęśliwych głową,  
I będą patrzeć ludzie, jakby nie spostrzegli,  
Po ilu świeżych grobach do wiosny przebiegli.  
Tylko ci nie odżyją, co pod ziemią legli.

Och, ja nie chcę umierać! Ja się śmierci boję!  
Bóg by nie chciał zabijać jednym ciosem dwoje,  
A dusza moja z twoją powiązana ciasno,  
Ja ją czuję w mej piersi, jakby moją własną,  
Tchnę tobą i nawzajem czuję, jak w tej chwili  
Przez dłonie życie twoje z mem związać się sili.  
Przenikasz mnie, porywasz, chłoniesz w siebie całą,  
Serce moje potopem czułości wezbrało;  
Świat mi w oczach się zmienia i przetapia w ciebie;  
Żyję, a mrę z rozkoszy! Jak aniele w niebie,  
U nóg bożych, przed tobą wieczniebym klęczała!...  
Ach!.. ja ciebie tak kocham, jakbym stracić miała!..“

Umilkła... Jak dwa rózy listki, dwa rumieńce  
Na jej licu liliowem ostro się wypiekły,  
I oczy się wilgotną pomroką powlekły!..

„Prawda? — szeptała dalej — ludzie są, jak wieńce  
Na ołtarzu wieszane... cóż z tego, że kwiaty  
W nich powiędną... Bóg nowe daruje — bogaty,  
A z tych umarłych miłą ma sobie ofiarę!...  
Zresztą ludzie szczęśliwi!... Rozebrani z ciała  
Pójdą, gdzie nieustanna szczęśliwością chwała;  
Tam wszystkich swoich znajdą! inni przyjdą potem,  
I nad ziemi tej nędzą, pomiędzy gwiazd złotem,  
Żyć będą bez obawy śmierci w wiek daleki...  
Panie! jęknęła, rok mi daj tu... za te wieki!.. —“

Naraz zadrzała, wzrokiem towarzysza bada,  
Oko jego spotkane nawzajem ją pyta;  
Oboje dźwięk w powietrzu słyszą znany, słodki,  
Echo gór mu mdlejącym wtórem odpowiada;  
Czyż to krówek zbłąkanych dalekie klekotki,  
Czy nuta znanej pieśni po górach rozbita?

Nie wiedzą; lecz ich dusze tym dźwiękiem trącone,  
Skrzydłami wyobraźni lecą w jedną stronę:  
Wiosnę czują, zda im się, wiosnę powróconą:  
Podwójnem tętnem bije wrzące ziemi łono,  
Błyszcza im w myśli kwiatów tęczone ubiory;  
Obraz wciąż się rozszerza! wyobraźnię nęci:

Strzelają wonne pączki z pod nabranej kory,  
Lipa pachnie miodami, zboża dzwonią kłosem,  
Ciepły wietrzyk przynosi zapach sianozęci,  
Nad strugą, księżycowym ósrebrzoną szychem,  
Młyn się przez sen obraca, bryzga ciepłą falą,  
Jezioro odpoczywa w zadumanu cichem,  
W nim żaby gadatliwe kłócą się i żalą!..

Ocknęli się! I w górę spojrzeli za głosem,  
Piersi im urok jakiś przepelnia nieznany...  
I wraz zabrzmieli krzykiem: bociany! bociany!

Strojnym szeregiem niby wojska sferne szyki,  
Na południe zdążyły białe wędrowniki,  
Zdało się, że to biały obłok obwiedziony  
Czarnym rąbkim, od wiatru wschodniego pędzony,  
Szybuję po kłękie; aż gdy jasne oko  
Bystrzej się wypatrzyło w tę oddal wysoką,  
Dojrzało, jak za wodzem stada, rozciągnięte  
Łańcuchem przez etery ciągną ptaki święte,  
Ostatnim krzykiem drogą żegnające strzechę,  
A w nim wiosny wspomnienie i nowej pociechę  
Rzucające stroskanym duszom pozostałym,  
Co tęsknie patrzeć będą za tym hufcem białym...  
Coraz dalej i dalej! Już jakby gołębie,  
Już jak drobne turkawki, aż w polotnym biegu  
Zabłyły jeszcze oczom niby płatki śniegu,  
I cicho zatonęły w oddalenia głębie!..

Kobieta cała drżąca wyciągnęła ręce:  
„Znikły!.. szepnęła łzawo, ach lećmy za niemi,  
Chcę ssać mą chorą piersią oddech innej ziemi,  
Chcę widzieć wiosnę, słyszeć znów chóry ptaszęce;  
Lećmy, o mój kochanku, ja się boję zimy,  
Wrócimy z niemi!..“

Smutnie powtórzył;

„Wrócimy“...

WEADYSEAW ORDON.

## Klasztor XX. Dominikanów w Podkamieniu.

(Obacz rycinę na stronnicy 405).

W czasach, kiedy jeszcze Podolem władali książęta ruscy, w pierwszej połowie XIII. wieku, znajdujemy pierwszą wzmiankę o słynącym dzisiaj cudami klasztorze OO. Dominikanów w Podkamieniu. Zakon ten znany z swej gorliwości apostołskiej, wysłał swych misjonarzy i w te strony szczytowej Rusi, a ci upatrzwszy w pobliżu źródeł Ikwy, wśród gęstego lasu samotną, a wysoką skałą, przynęci uroczą okolicą cichego ustronia, wzniesli na niej drewniany kościółek Bogarodzicy i mieszkanie dla siebie. Ale pobożna ta fundacya nie długo cieszyła się pokojem, który zakonnicy w tym odludnym zakątku znaleźć się spodziewali. W kilka lat po zbudowaniu kościółka uderzyła bowiem Podole i Ruś Czerwoną nieznana jej dotąd plaga — pierwszy najazd Tatarów. W strasznym roku 1240 cała Ruś południowa została spustoszona przez dzikie hordy tych najezdników, którym nie zdołały się oprzeć nawet takie grody, jak Kijów. Wówczas spłonęła także i świątynia dominikańska, chociaż ukryta w cieniu borów, i dopiero w kilka lat później, kiedy wielki wylew Tatarstwa usunął się w stepy czarnomorskie i azowskie, zbudowano na jej zgliszczach skromną kapliczkę, w której odprawiali nabożeństwo pielgrzymujący i apostołujący w tych stronach zakonnicy św. Dominika. Bliskie sąsiedztwo Tatarów, częste ich najazdy i niestałość wszystkich w ogóle stosunków na Rusi, nie dozwoliły jednak przez całe dwa wieki osiedlić się stale i rozbudować szerzej Dominikanom w tem leśnym ustroniu. Dopiero kiedy Podole po połączeniu się Litwy z Polską przeszło w stałe Korony polskiej posiadanie, i rozległe, żyzne a pustkowie leżące ziemie podolskie wcielone zostały do dóbr stołowych królewskich, wystawił tenutaryusz tychże dóbr, Piotr Cebrowski, w miejsce drewnianej kapliczki kościół murowany z klasztorem, do którego w r.

1464 uroczyście konwent dominikański wprowadził. Od tego też czasu poczęto nazywać odnowiony klasztor „conventus Sublapidensis“, czyli po polsku klasztorem Podkamienieckim, i u stóp skały klasztornej, nazwanej górą św. Różańca, powstała osada Podkamień. W sto ośmdziesiąt lat później, w r. 1640, kiedy Podkamień przeszedł na własność Cetnerów, odbudował Alexander Cetner, chorąży podolski, wraz z żoną Anną Zamojską, kasztelaną lwowską, wspaniałej świątynię i klasztor podkamieniecki, opasał potężnym murem, umocnił basztami i opatrzył w działa. Przejściowy tak w twierdzę dom Boży, służył w następnych latach za schronienie okolicznej szlachcie w czasie napadów tatarskich, i kilkakrotnie mężnie pogańskim najezdnikom stawiał czoło. Ale kiedy w r. 1672 Turcy zajęli Kamieniec podolski, i czambuły ich srodze po całym województwie podolskiem grasowały, zniszczone zostało ze szczętem miasteczko Podkamień, tak że w jego miejscu zasiał się las bukowy. Dopiero po ustąpieniu Turków z Kamieńca w r. 1699 poczęło się odbudowywać miasteczko, i klasztor podkamieniecki, który przetrwał szczęśliwie te ciężkie lata łupieży pogańskiej, zasłynął cudami w całej Polsce. Licznie odtąd nawiedzany cudowny wizerunek Bogarodzicy podkamienieckiej, za staraniem starosty korytnickiego, Cetnera, i wojewody wołyńskiego, Michała Potockiego, został w r. 1727 uroczyście ukoronowany przez Stefana Rupniewskiego, biskupa łuckiego, a stolica apostołska licznymi wyposażyła go odpustami. Równocześnie utworzono przy klasztorze podkamienieckim nowicyat i konwikt dla młodzieży szlacheckiej. W r. 1772 zajęty został Podkamień kordonem Austrii, pod której rządem klasztor podkamieniecki dotąd się utrzymuje.

*E. T.*

---

## Trufle i ich poszukiwanie.

**P**owstanie, rozradzanie się i w ogóle cała przyroda trufel, tych najwykwintniejszych łakoci smakoszków, były do niedawna jeszcze zagadką dla badaczy przyrody. Dopiero w naszych czasach powiodło się przez pilne śledzenie i badania za pomocą mikroskopu dojść do jej rozwiązania. Dzisiaj już jest rzeczą dowiedzioną, że trufle powstają w taki sam sposób na korzeniach dębów, jak

galasówki na liściach tychże drzew, t. j. przez ukłucie pewnego rodzaju owadów.

W miesiącach lipcu i sierpniu, po miejscach słonecznych, rzadka dębami porośłych, latają małe muchy o niebieskawych skrzydłach a podługnym tułowiu, które nie unoszą się w górę pomiędzy gałęzie drzew, lecz uwijają się ciągle zcicha brzęcząc tuż nad ziemią. Przy-



patrując się uważnie tym muszkom, spostrzeżono, że one grzebią sobie nory w ziemi, w których ku końcowi lata znikają. Otóż te muszki wyszukują pod ziemią najdelikatniejszych korzeni dębów, które ryjkiem swoim nakłuwają i w utworzone tym sposobem szczelinki jaja niosą. Z szczelinek tych, jakoby z rurek, wycieka potem lipka materya, osadza się na nakłutym korzonku w kształcie kulki, tężeje i zamyka w sobie jaja owej muszki. Kulka ta jest właśnie smaczna trufla, która powoli

końcowych włóknach korzeni dębowych. Rozkroiwszy dokładnie przez sam środek świeżą, nieprzejrzałą jeszcze truflę, można przez mikroskop rozpoznać wyraźnie spoczywające w samym środku tejże drobnutkie jaja owadu. Próbowano świeżo z gruntu wydobytą truflę zagrzebać w wazoniku, napełnionym pulchną, piaszczystą ziemią, i doczekano się po pewnym czasie, że małe muszki kłuły się i wyleciały z ziemi, a odgrzebana trufla była podziurawiona jak gąbka i do połowy zjedzona.



Trufle i ich poszukiwanie.

w ziemi rośnie. Dopiero gdy narosła ta kulista, rozrosłszy się zupełnie, dojrzewać zaczyna, wykluwają się z jaj, i jak długo nie przebiją ścian swojego więzienia i nie odważą się wylecieć na światło i powietrze, żywią się wonnym mięsem młodej truflki.

To nam tłumaczy, dla czego pomimo wielokrotnych prób, jakie dotąd przedsiębrano, nie powiodło się rozmnożyć truflę w inspektach. Nie odsiewa się ona bowiem z nasienia, ani nie odradza się z korzenia, jak inne rośliny, lecz jest pasożytną poczwarką owadu, osadzoną na

Trufle rosną zwyczajnie ćwierć łokcia pod ziemią w gajach dębowych, w gruncie lekkim, piaszczystym, w który owad najłatwiej wświdrować się może. Obfitują w nie najbardziej okolice Francji, górnego Delfinatu, prowincji od Hard, Herault, Rude aż do Dordogne. Najsmaczniejsze i najbardziej poszukiwane są truflę z okolicy Perigord. Trufle burgundzkie mniej są cenione, gdyż nie mają takiego aromatu, jak prowansalskie. Powszechną jest także trufla biała w Piemontcie, a ciemna w lesie Hercyńskim, w Meklenburgu i w Czechach. W naszych,

okolicach, w lasach dębowych na Podolu, znajdują się także trufle, ale są rzadkie i nie dorównują pod żadnym względem francuzkim.

Handel trufkami stanowi znaczną rubrykę w dochodach wieśniaków prowansalskich, ale poszukiwanie ich jest dosyć mozolne. Człowiek oczywiście odgadnąć nie może, gdzie w gaju dębowym kryje się pod ziemią wonna trufka. Aby ją odszukać, używa więc tresowanych umyślnie w tym celu psów i świń. Pies tropi węchem trufle, podobnie jak zwierza, a trafiwszy na miejsce, gdzie ona się znajduje, staje i zaczyna grzebać ziemię łapami. Idący za nim krok w krok człowiek, opatrzony rydlem, rozkopuje w skazanem miejscu ziemię ostrożnie i wydobywa

kosztowny przysmaczek. Podobnie odbywa się poszukiwanie trufel za pomocą świń. Świnia ułatwia nawet szukającemu pracę, gdyż rozrywa sama ziemię, a zadaniem człowieka jest tylko odpędzić kijem łakome zwierzę właśnie w tej chwili, kiedy ma już pochwyć wygrzebaną trufkę. Aby tego niezbędnego pomocnika nie zniechęcić i wynagrodzić mu jako tako pozbawienie go wybornej łakoci, rzuca mu szukający kilka żółędzi na miejsce wydobytej już trufki w rozrytą ziemię, które oszukana świnia łakomie pożera i oddaje się dalej energicznym poszukiwaniom, aby obdarzyć swego właściciela nową trufką, a sobie zarobić kilka żółędzi.

E. T.

## DIARIUSZ PODRÓŻY DO WARSZAWY.

STARA SATYRA POLSKA.

(Artykuł udzielony redakcyi ze zbioru autografów dra St. Krz.....go.)

Wybrany posłem wyjechałem do Warszawy d. 27. praesentis <sup>1)</sup> (Maja), z żoną, córką i ks. Baką spowiednikiem, karetą poszóstną, otwartą, sukmem pąsowem wybitą, za którą zapłaciłem w Gdańsku tynfów 400. W kolasie jechała siostra żony mojej, dwie rezydentki i x. Dominikan, nasz kapelan. Za nami marszałek dworu, koniuchy i pokojowy, potem wóz saski kuchenny i dwie bryki z winem węgierskiem, na ostatek masztalerze i pacholiki prowadzący konie powodne. Ledwieśmy minęli stawek, konie uległy się kuca, rzuciły się w stronę i wyróciły nas. Szczęściem zatrzymano je zaraz; dziękowaliśmy więc Panu Bogu, że się tego razu bez szwanku obeszło. Żona moja jednak mocno tym przypadkiem została zmartwioną, rokując z tego niepomyślny w dalszej podróży sukces. Cieszyłem ją ile mogłem, i sam niepo mału poalterowany, żem, mimo przestrogi babki mojej, dzień poniedziałkowy obrał do drogi. Gdy smutne zajmowały nas myśli, nieoszacowany ks. Baka, mąż pełen jovialitates <sup>2)</sup>, wnet wszystkich swojemi żartami do śmiechu pobudził. Żona moja zapomniała o smutku, śmiała się razem z nami, a on z przypadku wywrotu następujące złożył wierszyki:

„Patrz, matuniu

„I córuniu,

„Co to zrobił czarny kuc:

„Oto konie w jeden mig

„Bryk, bryk, bryk,

„A my wszyscy puc, puc, puc.“

Podziękowawszy autorowi za piękne wiersze, ex promptu i ad casum <sup>3)</sup> skomponowane, zapisałem do pugilaresu, w intencji komunikowania panu wojewodzie. Zbliżała się godzina piąta, ks. Baka wziął się za brewiarz, a my do różańca. Około godziny ósmej przybyliśmy do austeryi, we wsi mojej dziedzicznej położonej, o mil cztery ode dworu odległej.

D. 28. zrana, po odprawionych pacierzach, kazałem obić szynkarza, za co mi nie doniósł, że chłopci biorą na stronie wódkę dla tego tylko, że tańsza. Zwołano wszystkich mężczyzn, nastąpiła ścisła inkwizycya, potem ściślejsza jeszcze exekucya. Że zaś to wiele czasu miało zająć, uprosiłem ks. Bakę i ks. kapelana, ażeby tymczasem udali się do chat i wyegzaminowali kobiety i dzieci z katechizmu i pacierza. Kiedy się jednych karze jako występnych, drugich obrokiem duchownym zasilić należy.

D. 29. rano ze świtem, kiedy już wszystko do wyjazdu było gotowo, przybiegł posłaniec z listem od komisarza. Z podziwieniem wyczytałem, że pan cześnik, który jak widać czatował tylko na mój wyjazd, skosił mi cały poletek żytni. Oprócz tego doniósł, że chłopci moi starościny wybrali trzech wójtów do króla jegomości z supliką na mnie, skarząc o przepęd pańszczyzny, o zdubeltowanie czynszów i zaćwiczenie dwóch gospodarzy. Ponieważ taka okoliczność zwłoki nie cierpi, odpisałem krótko do komisarza, dysponując: primo, pozwy cześnikowi eo instanti <sup>4)</sup> do grodu wydać; secundo, wioskę jego najbliższą mnie położoną znieść z gruntu; tertio, kiedy

<sup>1)</sup> bieżącego miesiąca. <sup>2)</sup> żartobliwości. <sup>3)</sup> bez przygotowania i do przygody. <sup>4)</sup> natychmiast.

cześnik na rugi <sup>1)</sup> przyjedzie do Wilna, przez mojego siostrzana pobudzić studentów, ażeby mu w skórę dali. Bo jeżeli ci bliźni twój co uczyni, oddaj mu w dwójnasób i jeszcze naddaj, — tak napisano. Co się zaś tycze chłopów, te chamy najwięcej mi krwi popsuły. Wiem, że będzie komisya, stracę drugie tyle, ile w czasie pierwszej sprawy. Posłałem więc naprzód jak najspieszniej mojego dworzana z listem do jaśnie wielmożnego... protektora mojego, ofiarując mu *anticipative* <sup>2)</sup> 200 czerw. złotych, ażeby mię protekcyą swoją jak dawniej zaszczycać raczył, a tymczasem blisko konsystującą chorągiew dziewiątkową lub pancerną dla uspokojenia chłopów wykomenderował.

D. 30. na drodze do Grodna, żona moja zakupiła całą króbkę od węgrzyna rozmaitych maści, essencyi, ziół i olejków dla swojej apteczki.

NB. Żeby nie zapomnieć, trzeba będzie w Warszawie kupić dla niej *Compendium Medicum* <sup>3)</sup> na Jasnej górze drukowane.

D. 31. stanęliśmy w Grodnie. Lubo właśnie w czasie przejazdu mego przypadła sprawa z kalwinami, nie mogłem jednak nad dzień jeden bawić. Oddawszy tylko wizyty panom sędziom, po krótkiej konferencji z ks. prokuratorem, zostawiłem do palestranta list następujący:

„Mości panie podstoli, mój kochany dobrodzieju i obrońco! Z przyczyny nagłego mojego odjazdu nie mogąc się osobiście z waszmość panem rozmówić, uwiadamiam „go, że wszystko, cośmy uradzili, wygzekwowałem. Dnia „jeszcze wczorajszego upiłem się z prokuratorem idąc do „poduszki; przyrzekł mi, że dwóch sędziów (sodalisów) „bierze na siebie. Temi nawet dniami, a conto sprawy „mojej, przyjęci zostali do zasług zgromadzenia, czego „oddawna tak gorąco pragnęli; w wigilią zaś oddania „sprawy do namowy przyszlą się im patenta, przy tej „okazyi wyciągnie ich ks. prokurator na nowy parol. „Pamiętaj tylko waszmość pan codziennie, równie jak oni, „bywać na primarii, a po mszy prowadzić ich na śniadanie do rektora. Podstarości człowiek *scrupulosus* <sup>4)</sup> „nie obojętnie jednak przyjął, kiedy deklarował wyjednać mu przywilej od króla jegomości na starostwo „w sąsiedztwie jego położone; ofiarowana zaś funkcyja „deputata na przyszłych sejmikach bardzo samej jejności „przypadła do smaku dziękowała mi po kilkakroć, upewniając, że mąż wszystko zrobi, czego żądam. Wiedząc „dobrze, że ona mężem rządzi, żeby ją lepiej jeszcze „zobowiązać, ponieważ ma upodobanie w pięknym gatunku „bydła, obiecałem jej z obory mojej brandeburskiego, „jakiego tylko sama sobie wybierze. Z pisarzem trzeba „się codziennie upić; *calculandis calculando* <sup>5)</sup>, nie „masz innego sposobu. Bierz waszmość pan na mój regestr

„u Judela wino, któremu na to szczególną wydałem „assynacyą. Polecam mnie łasce i obronie jego. Uniżony „sługa...“

Upewniony od przyjaciół, spokojny i wesół, zostałem na 25 mszy, żeby Bóg sędziów natchnął i oświecił, opuściłem Grodno.

NB. W liście do mojego adwokata był jeszcze następujący dopis: „Przypominam sobie, panie podstoli, zapytywałem mnie podsędek, dla czego w księdze ojca mego „komportowanej <sup>6)</sup> wielu kart nie staje? Odpowiedziałem, „że to jeszcze w czasie inkursyi Szwedzi wydarli. Waszmość pan zatem to samo powiadaj.“

D. 1. Czerwca ujechałem bez popasu mil sześć, spiesząc jak najprędzej do Różanego Stoku, dokąd żona moja z córką oddawna się ofiarowały. Około godziny piątej przybyliśmy na miejsce na sam nieszpór i kazanie. X. Szolucha mówiąc gorliwie lud do płaczu pobudzał. Łzy mi się poniewolnie dobywały, patrząc na tyle rozrzuconych, kiedy słowa kaznodziejskie tak zbawienne okazywały skutki. Właśnie wówczas naganiał ksiądz półsalopki z kapiszonami, które, jako wymyślone od kacerzy na prześladowanie kapturów zakonnych, sprawiedliwie potępiał; powstawał potem na rogówki, róż i bielidło, trzewiki z wysokimi korkami i gorsowanie się, naostatek wyklinał heretyków i wszystkich mających z nimi związki. Tu mi się okropno zrobiło, a przypomniawszy że w moim dworze znajduje się Fryc, prusak, i Johan, saksończyk, młynarz, oba lutry, postanowiłem zaraz ich oddalić i nigdy z niemcami nie mieć do czynienia. Za jednego niesprawiedliwego tysiąc czasem sprawiedliwych cierpi. Boże uchowaj nas od tego.

Po nieszpórach poszliśmy do domu umyślnie dla nas przygotowanego, gdzie x. x. Dominikanie *honorificentissime* <sup>7)</sup> nas przyjęli. Zaraz po wieczery udałem się do spoczynku. Żona moja z ks. kapelanem zamknęła się na rekolekcyą, a córka z ciotką i pannami z wieczora jeszcze odbyły ćwiczenia duchowne.

D. 2. Czerwca zdarzył mi się pielgrzym z Rzymu. Dostałem od niego pięć paciorków z indulgencjami <sup>8)</sup>, dzwonek loretański i wiele kosztownych rzeczy. W rozmowie z tym świętym człowiekiem prawdziwie pożytecznie zaspokoiliem moją ciekawość. Był w Rzymie, w Lorecie i za morzem w Palestynie; dziwne rzeczy opowiadał: w jednym kraju włoskim widział górę wyrzucającą ogień, i zapewniał, że to było okienko do piekła. Píše o tem ks. Porszakowski, i nasz Baka to samo powiada.

D. 3. Czerwca znalazłem przypadkiem rachunek sumienia mojej córki. Chociaż charakter babski niewyraźny, ile jednak mogłem wysyllabizować, zdaje mi się, że myśli

<sup>1)</sup> rozprawa sądowa. <sup>2)</sup> z góry. <sup>3)</sup> podręcznik lekarski. <sup>4)</sup> skrupulatny. <sup>5)</sup> rozważywszy wszystko. <sup>6)</sup> wniesionej do grodu. <sup>7)</sup> jak najwspanialej. <sup>8)</sup> odpustami.

jej względem porucznika z petyhoryi mogą być słusznie podejrżane. Sub secreto <sup>1)</sup> zatem, żeby matka nie wiedziała, moją własną ręką wyliczyłem różeg pięćdziesiąt, tłumacząc jej za każdą plagą słowa Baroniusza: „Momentaneum delectat, aeternum cruciat.“ <sup>2)</sup>

D. 4. Czerwca udałem się z całym dworem do spowiedzi. Równy z mojem przybyciem do kościoła przyprowadzono dwoje opętanych. Mężczyzna, mający około lat 50, wybladły, zmęczony, mrucał tylko; kobieta zaś, młoda i piękna, okrutnie dręczona była; najprzód wrzeszczała udając rozmaite głosy, i śmiała się i płakała naprzemian. Obecność księży wielkie na niej robiła wrażenie; dała się uspokoić tylko na zaklęcie jednego kaznodziei, na którego rozkaz różnemi gadała językami. Co mi się zaś najdziwniej wydało, że oprócz rozmaitych sentencji łacińskich, całą regułę z Alwara: Si dare praeteritum <sup>3)</sup> na pamięć recytowała, czego ja sam nigdy doskonale nauczyć się nie mogłem. Przystąpiono wkrótce do exorcyzmu. Tu aż strach wspomnieć, za każdym pokropieniem zdawało się, że ją warem oblano, krzyczała wówczas: gorąco! gorąco! gorąco! Po wielu kontrowersyach, utarczkach, zaklęciach przyszło do tego, że bies wypraszać się zaczął. Nie wiem, co się z nimi stało, przejęty bowiem bojaźnią i strachem wyszedłem z kościoła. Przymotny wszystkiemu x. Baka rzekł do mnie: „Radbym bardzo, „gdyby który z heretyków lub niedowiarków był teraz „obecnym, niechby się przypatrzył owym męczarniom, „owym dziwom i razem skutkom, czemu oni dotąd nie „wierzą.“

Po pięciodniowym pobycie w Różannym Stoku, podziękowawszy przeorowi za uprzejme przyjęcie, kontynuowaliśmy dalszą drogę. Żona moja przez kilka godzin ciągle zamysłona zwierzyła mi się, iż po ostatniej odbytej rekolekcji postanowiła cały swój wniosek obrócić na fundusz jakiego klasztoru. Nie mogłem tak pobożnej intencji przeciw się, ale nie mając od niej zapewnionych jeszcze zapisów, byłem nieco w kłopotcie i radziłem odłożyć tę materią nadal. X. Baka, przytomny naszej rozmowie, z góry się przeciw temu protestował, dowodząc, że nigdy pobożnych intencji odkładać nie należy; potem podług swojego zwyczaju wierszami nas napominał:

„Mój stolniku,  
„Lecz grzeszniku,  
„Klasztorowi zawsze daj;  
„Pomnij przecie,  
„W tamtym świecie  
„By nie było: aj! aj! aj!  
„Zważcie sobie,  
„Gdy nie w grobie,

„Póki zdrowa  
„Jeszcze głowa:  
„Gdy wraz dacie księżom chleb,  
„Taki piekłu będzie sęk,  
„Że już diabeł choćby pęk,  
„Figle jego wezmą w łeb.  
„Wszak widzicie,  
„Jakie życie  
„Wiodą grzeszni cały wiek:  
„Znoszą kary  
„I ofiary,  
„Jakby nie miał umrzeć człek.  
„Lecą w piekło takich pułki,  
„Bies ich chwyta jak gomulki.  
„Owo, owo,  
„Białogłowo,  
„Chcesz uniknąć wiecznych mąk, —  
„Użyć trzeba  
„Darów nieba,  
„To jest oddaj nam do rąk.“

Przyrzekliśmy oboje x. Bace, powróciwszy do domu, zamiar nasz do skutku doprowadzić.

D. 6, 7, 8, i 9. ciągle byliśmy w drodze, nic w niej na uwagę moję nie zasługiwało. O mil dwie od Warszawy zapytał mnie ks. Baka o instrukcyi danej z powiatu i prosił o przeczytanie laudum <sup>4)</sup>, co też natychmiast uczyniłem.

Laudum. „My, urzędnicy, obywatele powiatu... na „sejmik za uniwersałem jego królewskiej mości zgromadzeni, unanimitate <sup>5)</sup> j. w... stolnika i starostę na „posła wybrawszy, instrukcją następną do wypełnienia „poleciwszy, salva totalitate <sup>6)</sup> praw kardynałnych „rzeczypospolitej, a znając jego talenta, zelum pro „bono reipublicae <sup>7)</sup>, resztę, co się tylko będzie „ściągać do dobra kraju i w szczególności naszego powiatu, „zdaniu i znajomej nam biegłości jego w sprawach status <sup>8)</sup> „oddajemy, poruczając to wszystko caetera activitatis.“ <sup>9)</sup>

Instrukcyja bardzo krótka. „Primo, na podatki „nie pozwalać; secundo, góry Olkuskie odkopać; tertio, sumy neapolitańskie uzyskać; quarto, prosić „przez pośrednictwo stanów o kanonizowanie ks. Sachny, „znajome bowiem exorcyzmy i dziwne sprawy żywota jego „okazują niewątpliwie wielki w nim stopień świątobliwości.“

Ja z mojej strony wynotowałem, o co się mam na sejmie domawiać. Pro primo, wnieść projekt, iżby odtąd starostowie dożywotni rządili się tak jak i dziedzice, z wolnością narzucania pańszczyzny, dróg i opłaty kiedy im się podoba: ostygnie bowiem ochota w stanie rycerskim służenia rzeczypospolitej, kiedy się chłopci pra-

<sup>1)</sup> w ajemnicy. <sup>2)</sup> chwila rokoszy, wieki cierpienia. <sup>3)</sup> reguła z gramatyki łacińskiej o słowie dać w czasie przeszłym. <sup>4)</sup> uchwała. <sup>5)</sup> jednomyślnie. <sup>6)</sup> z zabezpieczeniem całości. <sup>7)</sup> gorliwość o dobro rzeczypospolitej. <sup>8)</sup> stanu. <sup>9)</sup> dalszej czynności.

wować i protekcją zyskiwać będą; pro secundo, beatyfikacją <sup>1)</sup> dla trzynastu promotorów wyjednać; pro tertio, w mieście Wilnie ulice Trocką i Żmudzka znieść i skopać dla wyszukiwania kości pomęczonych Franciszkanów, i pro quarto, rekomendować zasłużonych urzędników do uzyskania przywilejów na starostwa. Z liczby tych naprzód dla jegomości pana podstarościego grodzkiego, któremu w rekompensę <sup>2)</sup> jego w sprawie mojej protekcji, wyjeżdżając jeszcze z Grodna deklarowałem. Skromność mi wprawdzie wymieniać nie dozwala, jako pokrewieństwem i przyjaźnią połączonych osób, sprawiedliwość jednak nakazuje oddać winny hołd zasługom i cnotom wielmożnych panów podwojewódzkiego i prezydenta, prawdziwie godnych za życia beatyfikacji. Będę więc obudwóch rekomendował do orderów i przywilejów. Wszakże dobra narodowe nazywa panis bene merentium <sup>3)</sup>, a któż od nich godniej zasłużył na to?

Po przeczytaniu tego wszystkiego uczynił mi uwagę x. Baka, ażeby ex proprio pio zelo <sup>4)</sup> przydał jeszcze kilka artykułów, to jest: primo, liberum exercitium, czyli wolność wyznania, znieść raz na zawsze; secundo, konstytucje 1635 i 1676 w tem, co się tyczy dóbr duchownych, a szczególnie juri caduci <sup>5)</sup>, skasować, a odtąd nie tylko testamentami, ale i zapisami, chociażby nieprzyznanemi, dozwolić fundacye czynić; tertio, dawną władzę konsystorzowi przywrócić; quarto, do rejestru arianismu <sup>6)</sup> wszystkich różnowierców pociągać; zbory, kirchy, meczety, szkoły reperować zabronić, a broń Boże nowe stawiać; quinto, przygotować stany do wprowadzenia świętej inkwizycji.

Około godziny siódmej stanąłem w Warszawie, niedaleko Zygmunta, w domu dla mnie przygotowanym.

D. 10. rano oddałem wizytę prymasowi i panom senatorom, składającym senatus consultum <sup>7)</sup>. Właśnie dnia tego kasztelan krakowski wielką i wspaniałą dał ucztę, na której senatorowie świeccy i duchowni, jako też cały stan rycerski, znajdowali się. In continuatione <sup>8)</sup> obiadu pan kasztelan wniósł, ażeby wypić zdrowie prymasa. Przyniesiono kielich kształtnie zrobiony, niepospolitej wielkości, z napisem po jednej stronie: Exivit sonus eorum <sup>9)</sup>, na drugiej: Et rumor factus est <sup>10)</sup>. Szmer, jaki po wypitej powstał, przekonał mię, że prawdę na kielichu napisano. Nastąpił drugi vivat: prymas wniósł zdrowie gospodarza; podano drugi kielich, dwa razy większy, z napisem: Variis linguis loque-

bantur <sup>11)</sup>. Obeszła szczęśliwie kolej. Spełniający zaczął coś mówić, nie dokończył i usiadł. Pan wojewoda wileński wprowadził nibyto materyą status o wojnie Inflanckiej; dla niewyraźnej już mowy jego nie mogliśmy zrozumieć, czego chciał, skończył bowiem na arianach. Sam pan kasztelan prawił coś o wtargnieniu Szwedów, sejmie tureckim, o królowej Bonie, potem Wenecją do Anglii przyłączył, słowem wszystko było variis linguis. Chciał jeszcze mówić pan kasztelan, ale go obok siedzący niechcąc nosem potracił, a ztąd już się zanosilo na kłótnię, gdy ogłoszona trzecia kolej uspokoiła umysły. Na niskim a grubym postumencie, karłowaty lecz półczwartej butelki w sobie mieszczący kielich, pontificaliter <sup>12)</sup> na stole ulokowany i trzykroć pozdrowiony, śmiertelny na sobie nosił napis: Ibant qui poterant, qui non poterant jacebant <sup>13)</sup> Cudo to Nalibockiej huty, z rąk do rąk podawane, doszło z kolei do mnie. Dla honoru powiatu i własnej przecie renomy musiałem wzięwszy w obie ręce wychylić do dna. Co się potem ze mną stało, nie pamiętam, nawet czyje pili zdrowie zapomniałem; to tylko sobie przypomnieć mogę, że jedni siedzieli u stołu, drudzy trzymając się ściany pomału przechadzali się, w ostatku, po najczulszych aż do rozrzewnienia oświadczeniach, komplementach i pożegnaniach, w zgodzie i jedności braterskiej, kto mógł, wyszedł, kto nie mógł, na miejscu zasnął. Co do mnie, za pomocą dwóch hajduków dostałem się do stancyi.

D. 11. o godzinie dziesiątej w wieczór, ocknąwszy się przypomniałem, że dnia dzisiejszego u pana wojewody wileńskiego byłem pijany ditto, jak wszystkie trzy stany rzeczypospolitej.

D. 12. chorowałem na głowę dzień cały; pod wieczór było mi lepiej.

D. 13. sanus mente. <sup>14)</sup> udałem się na sessyą sejmową. Pan marszałek zagał sejm, donosząc, że poseł wenecki, mając ważne sprawy do traktowania, czeka już oddawna na zebranie się stanów; radził zatem, żeby posła jak najprędzej odprawić. Nie nastąpiła na to jednomyślna zgoda; szły ciągle głosy, a każdy inne wprowadzał materye. Pan Słonimski, na mocy pierwszego punktu instrukcyi swojej i ex proprio pio zelo, żądał najprzód zacząć od kanonizacyi i beatyfikacyi. Pan Oszmiański wniósł, żeby do processum juris <sup>15)</sup> nowe dyllacye dodać. Inni, z powodu niedostatku w skarbie, radzili jak najprędzej góry Olkuskie odkopać; nakoniec obaj posłowie Troccy, propria tylko autoritate <sup>16)</sup>, seryo domawiali się o skasowanie raz na zawsze cła od wina

<sup>1)</sup> zaliczenie w poczet błogosławionych, <sup>2)</sup> nagrodę. <sup>3)</sup> chleb dobrze zasłużonych. <sup>4)</sup> z własnej pobożnej żarliwości. <sup>5)</sup> prawa przypadłości. <sup>6)</sup> rzędu niedowiarków. <sup>7)</sup> radę senatu. <sup>8)</sup> w dalszym ciągu. <sup>9)</sup> ozwał się głos ich. <sup>10)</sup> i powstała wrzawa. <sup>11)</sup> mówili różnemi językami. <sup>12)</sup> uroczyście. <sup>13)</sup> szli, którzy mogli, a którzy nie mogli, leżeli. <sup>14)</sup> zdrowy na umyśle. <sup>15)</sup> spraw spornych. <sup>16)</sup> z własnego popędu.

przychodzącego z zagranicy. Gdy tak rozróżnione były zdania, jeden z posłów koronnych bardzo wymownie dowodził, że czynność sejmku powinna się zacząć od odkalkulowania <sup>1)</sup> pana [podskarbiego. Jako przyjaciel i związkowy nie mogłem znieść, iżby tak cnotliwego pana pociągano do obrachunku, krzyknąłem więc z całej siły: veto! <sup>2)</sup> Rozruch zrobił się wielki, ja w nogi na Pragę. Si finis bonus laudabile totum. <sup>3)</sup>

## Kronika literacka i artystyczna.

L w ó w, w październiku 1872.

(Ostatki roku 1872. — Teatr. — Nicco z zakulisowych stosunków teatralnych. — Opera i Towarzystwo muzyczne. — Nowy pomór w publicystyce naszej. — Świeże publikacje: „Henryk Brodaty“; „Badania o jestestwach organicznych“; „Pozytywizm i jego wyznawcy w dzisiejszej Francji“. — Wydawnictwo „Dziejów Schlossera“. — Kalendarze na r. 1873.)

Stoimy już na schyłku roku bolesnej pamiętki, u progu drugiego wieku babilońskich naszych losów, godzi się więc nam przypomnąć sobie raz jeszcze zadania i obowiązki, do jakich poczuło się serce polskie na wspomnienie przedwiekowego nieszczęścia. Godzi się sprawozdawcy pisma polskiego raz jeszcze zakolatać do uczuć czytelników w interesie tej sprawy, która obecnie zamknęła w sobie wszystkie nadzieje nasze i klucz do lepszej przyszłości. Jest to sprawa oświaty w ogóle, a oświaty ludu przedewszystkiem. Oficjalne środki mniej więcej zapewniają już krajowi oświatę w ogólniejszym jej znaczeniu: mamy dwie wszechnice, dwie akademie techniczne, dość znaczną a ciągle wzrastającą ilość szkół średnich, w miastach też, nie powiem podostatkiem, ale w mierze odpowiadającej kardynalnej potrzebie posiadamy szkoły elementarne; tylko stan szkół wioskowych w kraju przedstawia się jeszcze w barwach przypominających raczej czasy pierwotne społeczeństw, nie zaś wiek ekonomii politycznej i filozofii moralnej. Nie znam dokładnie stosunku liczebnego szkół ludowych do gmin podkarpackiej dzielnicy Polski, lecz to pewna, że są okolice, w których na kilka gmin jedna zaledwie przypada szkółka, szkółka źle dotowana, źle utrzymywana, źle prowadzona. Bez wątplenia, zadaniem przedewszystkiem władz krajowych być powinno dzwignięcie oświaty ludowej środkami publicznymi; skoro jednak los nasz już taki, że władze owe najmniej właśnie posiadają poczucia istotnej potrzeby kraju, tedy naturalnym rzeczą porządkiem każda jednostka obywatelska po czuciu takiej potrzeby ile możności swej zadość czynić powinna. Nie zapominajmy więc o skarbonek oświaty ludowej, w których wypisujemy sobie świadectwo obywatelstwa polskiego w chwili, kiedy Nemezis dziejowa obchodzi wiekowe egzekwie naszego bytu politycznego. A wszakże z tych skarbonek groszowych zrodzić ma się dzieło, co nam da przyszłość! Im bliżej znajdujemy się kresu tego pamiętkowego roku, tem serdeczniej pamiętajmy o obowiązku swoim w obec przyszłości, owszem, niech bodaj pod koniec roku otworzą

się hojniejsze dla oświaty dłonie, wynagradzając opieszałość dotychczasową. Czytelnicy „Strzechy“, nie mogący znieść się w tej mierze z delegatem, dla ich okolicy ustanowionym z ramienia centralnego komitetu oświaty, mogą użyć pośrednictwa naszej redakcyi w składaniu datków na oświatę; służymy najchętniej.

Dokonałiśmy „szczęśliwie“ zgromadzeń przedwyborczych i aż dwóch terminów wyborczych, zaczem ożywiony chwilowo umysł powrócił do spokojnego koryta naszej pseudo-opinii. I znów mówimy wyłącznie prawie o teatrze, jeśli w ogóle rzeczy brukowe i panująca cholera nie pochłoną całego dyalogu naszego. Sezon zimowy, jakby uznając za niestosowną dla siebie porę ciepłą i pogodną, jaką mamy właśnie, wyczekuje jeszcze, zapewne śniegu i ołowianego kolorytu atmosfery. Oprócz teatru, nie mamy dokąd schronić się przed uczuciem zimy: ani koncertów, ani odczytów nie mieliśmy dotychczas.

Czy teatr odpowiada stanowisku swemu, ześrodkowującemu obecnie cały interes miejscowej opinii i zajęcie się publiczności? Na to pytanie odpowiadać można długo, bardzo długo, lecz w każdym razie nie bezwzględnie zatwierdzająco. Prowizoryczność zarządu sceny, brak dyrekcyi artystycznej, nie pozwalają rozwinąć się i ostatecznie zorganizować artystycznym siłom, tak dostatnio tu nagromadzonym. Przy całej staranności pojedynczych artystów przedstawienia sztuk poważniejszego rodzaju nie zadowolniają, gdyż w całości takich reprezentacyi przebija się brak umiejętnego a jednolitego kierownictwa, zwłaszcza w przeprowadzeniu ensambłów i w urządzeniu sceny. Kiedyż więc nareszcie przyjdzie do skutku ukonstytuowanie się towarzystwa scenicznego, po którym dopiero spodziewaćby się można jakiegoś ustalenia stosunków w zarządzie i artystycznym kierownictwie sceny? Od publiczności, subskrybującej akcyę tego Towarzystwa, bez wątpienia najwięcej zależy rozwiązanie tego pytania; mimo to jednak, zdaniem naszym, istniejący dotychczas zarząd prowizoryczny powinien co rychlej pomyśleć o dyrektorze artystycznym, bez którego scena dobrą być nie może, choćby posiadała licznych i znakomitych aktorów.

Przedstawienia benefisowe urozmaicać poczęły repertuar ostatnich tygodni. Żeby tylko więcej studyów, prób i staranności w ogóle! Potrzebę energicznej dyrekcyi uczuwają wszyscy, artyści zaś więcej może niż publiczność, wiedzą bowiem, że najlepsza gra ich zginąć musi w lichej całości przedstawień.

<sup>1)</sup> odebrania rachunku. <sup>2)</sup> nie pozwalam. <sup>3)</sup> gdy koniec dobry, wszystko chwalebne.

Poczucie tej potrzeby dało nawet poniekąd pobudkę artystom sceny tutejszej do solidarniejszego pożycia między sobą, by wzajemnem wyrozumieniem się i pouczaniem zastąpić ów łącznik, jakim między jednostkami artystycznymi na scenie jest poważna dyrekcya. Co tydzień zbiera się też obecnie grono artystów, literatów i miłośników sceny na pogadanki, których to zebrań rezultatem będzie przedewszystkiem założenie Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów, a prawdopodobnie i pismka, poświęconego wyłącznie interesom sceny. Nie potrzebujemy zapewne dowodzić, ile korzyści z zebrań podobnych wypłynąć może dla artystów zarówno jak dla sztuki, którą reprezentują. Uznanie serdeczne należy się tym, których inicjatywie i uprzejmości zawdzięczamy sposobność do tych zebrań.

W tych dniach przedstawioną będzie „Balladyna“ Słowackiego z nową wystawą i muzyką kompozytorki Henryka Jareckiego. Opowiadano nam, że muzyka jest prześlicznie zastosowaną do czarodziejskiego tła tego utworu i że młody kompozytor nowy złożył nią dowód niepospolitego talentu swego i pracy. — W połowie listopada zobaczymy na scenie Szekspirowskiego „Króla Lira“, jako przedstawienie benefisowe p. Konarskiego, który odegra rolę błazna królewskiego. Tytułową rolę odegra p. Ładnowski; wszystkie zaś główne role obsadzone są doborowemi siłami. — Pan Baranowski wybrał na benefis podobno „Otella“, w którym odegra rolę Jaga.

Nim znów na miesiąc pożegnamy teatr, życząc mu jakiejś przecie głowy, któraby umiejętnie zużytkować umiała znakomite siły jego jak i zapal publiczności dla Melpomeny — kilka słów pośmiertnego wspomnienia poświęcimy młodzieńcowi, który zgasł przedwczesnie, na usługach tejże Melpomeny nabawiwszy się owej strasznej choroby, co dziesiątkuje współczesną nam generacją: suchot. Juliusz Cezar, przed kilkoma tygodniami zmarły tu w 25 roku życia, nie był ani znakomitym talentem, ani się już cieszył reputacją artysty, a jednak głęboki żal nasz towarzyszył mu do grobu, gdyż znaleźmy go jako młodzieńca szlachetnie pojmującego sztukę i jej zadanie, który nie zrażony tysiącami przeciwnościami do ostatka wytrwał w zawodzie, któremu, oprócz najczystszej zamiłowania, niczem sprostać nie mógł. Z nierównowagi takiej wypływające zawsze przetężenie umysłowe i fizyczne rzuciło zaród śmiertelnej choroby, i ofiara serca gorącego spełniła się...

Pokazuje się, że opera łatwiej obywać się może bez dyrekcji artystycznej niż dramat i komedia. Reprezentacje takowej zadowolniają zupełnie publiczność i krytykę, w czem oczywiście główna zasługa panów solistów i kapelmistrzów, zwłaszcza ostatnich, którzy poniekąd zastępują dyrekcją artystyczną. Siły też opery lwowskiej ciągle wzrastają, a w ostatnich dniach zaangażowano znów dwóch cenniejszych solistów, pp. Stanisława Grzywińskiego i Zakrzewskiego. Siły te podolać są zdolne najtrudniejszym utworom, zapewne więc wkrótce usłyszymy na scenie Mayerbeera, Rossiniego itp.

Dla miłośników muzyki podajemy wiadomość, że naukę śpiewu solowego w Towarzystwie naszym muzycznym objęła z dniem 1 listopada primadonna opery, pani Teodozja Jakowicka, jak i tę drugą, że zwyczajne w sezonie zimowym wieczorki muzyczne, w liczbie osmnastu, rozpoczną się dnia 15 listopada i odbywać się będą co srody.

Z pola publicystyki niestety! dwa nekrologi nasuwa nam pod pióro ten miesiąc. „Świt“ i „Promyk“ uznały za stosowne nie doświadczać już czwartego kwartału — apatyi i niechęci powszechnej do literatury, a to tem bardziej, że doświadczenia tego rodzaju są zbyt kosztowne, jak na kieszeń redaktorów. Tak „Świt“ jak i „Promyk“ dobrze spełnili swoje zadanie i ustępują z pola z honorem.

Dziejów Szlossera, przez księgiarnię Polską wydawanych, pojawiły się już dwa zeszyty. Tłumaczenie, dokonane przez p. Włodzimierza Górskiego, o ile z dwu tych zeszytów wnosić można, wiernie i gładkim językiem. Druk czytelny, o co w popularnym wydaniu takim głównie iść powinno. Przypominamy szanownym czytelnikom, że wydawnictwo Szlossera czysty zysk przeznaczyło na rzecz oświaty ludowej.

Mamy przed sobą kilka świeżych publikacji, tym razem poważnego rodzaju, z prawdziwą więc przyjemnością dzielimy się wiadomością o nich z czytelnikami. Zaczynamy od książki, która z nowości najmilej nas ujęła samą już treścią okładki swojej; tytuł jej bowiem: „Henryk Brodaty. Ustęp z dziejów epoki piastowskiej. Napisał Stanisław Smolka.“ Jestto monografia sławnego księcia szląskiego, który w dziejach Polski taką ważną odegrał rolę, a zarazem wyczerpujące studjum historyczne szczupłego wprawdzie ale niemniej ciekawego okresu tychże dziejów. Smutny to okres — bo zawierający wypadki, które były następstwem fatalnej zasady testamentu Bolesława Krzywoustego: zasady podziału państwa monarszej między książąt krwi, czyli okres dzielnic książęcych. Słusznie powiada autor, że w wypadkach owych już się spostrzedz dają zarody całego dalszego rozwoju, który w końcu doprowadził do katastrofy w wieku XVIII; pierwiastek rozkładu, pod koniec XI. stulecia zaszczerpiony organizmowi państwowemu, wniknął powoli i w społeczny i moralny organizm narodu, a fatalny owoc wydał po 7 wiekach. W ten to sposób zapatrując się na ową epokę, szuka w niej autor klucza do rozwiązania mało dotąd zbadanych stosunków późniejszych, jakie się rozwinęły w dziejowym życiu Polski. Sumiennosc w badaniu źródeł i umiejętne ich zużytkowanie, tudzież jasność poglądów odznaczają w ogóle pracę p. Stanisława Smolki, a zalety te tem zaszczytniej świadczą o talencie i studiach autora, iż dzieło, o którym mowa, jest pierwszym plonem jego usiłowań na polu historyczno-filozoficznym.

W Krakowie u Wincentego Kirchmayera wyszła książka p. t. „Badania o jestestwach organicznych na kuli ziemskiej, przez Józefa Sapalskiego. Z 18 drzeworytami w tekście i 5 tablicami litografowanemi.“ Książka ta daje z siebie bogaty przedmiot do krytyki naukowej. Stroną swą literacką zaleca się jak najlepiej czytelnikowi, szukającemu w książce czegoś więcej nad gładkie słowa. — Jako odbitka z „Przeglądu Polskiego“ wyszła też w Krakowie książka p. t. „Pozytywizm i jego wyznawcy w dzisiejszej Francji. Napisał dr. Teofil Ziemia.“ Jestto pogląd i krytyka tak zwanego „pozytywizmu“, w znaczeniu jego jako szkoły filozoficznej przez Augusta Comte'a zainaugurowanej we Francji, a dziś tam reprezentowanej mianowicie w osobie p. Littré, najmłodszego członka akademii paryskiej, którego powołanie do grona akademików dało powód biskupowi orleańskiemu, księdzu Dupanloup, do

zrezygnowania z tytułu akademika. Autor słusznie odróżnia pozytywistyczny kierunek wymienionej szkoły od pokrewnego mu kierunku takich myślicieli, jak Stuart Mill, Bukie, Spencer Draper i t. d., zastrzega też sobie na przyszłość ogłoszenie osobnej rozprawy o tak zwanym pozytywizmie angielskim, w duchu właśnie wymienionych wyżej myślicieli. Rzecz p. Ziemy jest bardzo na czasie, i posiada wszelkie warunki po temu, ażeby zainteresować myślącego czytelnika.

Kalendarze na rok 1873 już się pojawiają na pulkach księgarskich. Pierwszym, który wpadł nam w oczy, był „Kalendarz Narodowy“, wydany przez drukarnię Dobrzańskiego i Gromana we Lwowie. Dla czego „Narodowy“? na to po przejrzeniu go nie umiemy wcale odpowiedzieć, gdyż nie tylko nie tak specyficznie narodowego, lecz nie nawet specyficznie dobrego i użytecznego nie znaleźliśmy w tym kalendarzu, oprócz wykazu jarmarków i tabelki stemplowej. Może inne, choć „nienarodowe“, powiedzą nam więcej o narodzie i kraju, któremu służyć mają.

B. K.

#### Wenecya w październiku 1872.

(Pobyty w stolicy Dożów. — Włóczęga polska i jakie o niej mają zdanie w świecie. — Moskale, turyści, ich zetknięcie się z Polakami i zachowanie za granicą w ogóle. — Upadające i powstające czasopisma. — „Stefan Batory“ Matejki w Wiedniu. — Głuche wieści o krakowskim Towarzystwie sztuk pięknych.)

Rok temu pisałem do „Strzechy“ z Wenecyi, szczególny traf zrządził, że właśnie w tym samym miesiącu znajduję się tu znowu w powrocie z Meranu i że muszę list jeszcze raz ze stolicy Dożów nieboszczyków wyprawić... Jestem nawet w niemałym kłopotcie, o czym wam z odległego świata doniosę, coby was obchodzić i zająć mogło.. Jestem chory, smutny, bo w te ulewy październikowe angielski spleen człowieka napada. Deszcz przesładuje wszędzie, spokojna Brenta okrutnie wylała, z innych stron Włoch donoszą także o powodziach, które szkód wiele zrządziły. Wczoraj (22) mieliśmy ogromną burzę z piorunami lipcowymi i błyskawicami sierpniowymi, dziś jest niby pogoda.

Nim się na cokolwiek bądź zbiorę, pozwólcie mi mój list zacząć od tłumaczenia w sprawie osobistej, że wcale dla przyjemności wałęsania się nie jeżdżę, że moja wędrowka tegoroczna była nakazaną kuracją i że radbym co najrychlej wrócić choć pod pożyczaną strzechę, tak mi widok naszych włóczęgów i własne tułactwo obrzydło. Nie ma kątki w Europie, gdzieby się nie spotykało nie przymusowych emigrantów, dla których trzeba mieć litość a często poszanowanie, ale dobrowolnych wędrowców, bez zajęcia, bez celu, bez myśli, wożących z sobą znużenie i próżniactwo grzeszne, wystawujące nas na pośmiewisko całego świata.

Grzech to nasz stary, a uparty. W XVII. wieku już mówiący o Polsce wspominają go jako cechę obyczaju polskiego, w XVIII. staje się on zgorszeniem moralności, przypisują mu nie bez przyczyny wpływ najszkodliwszy na charakter społeczeństwa naszego. Należy przeczytać, co o tem piszą Szulc, Kausch, Vautrin, Essen w swych raportach i wielu innych. W czasie czteroletniego sejmku podawał ktoś projekt zakazania

podróży szczególnie kobietom, dopóki by dzieci nie wychowały. Podróże dla nauki, dla zdrowia, nawet dla pewnej ciekawości postrzegania i widzenia świata, możnaby przebaczyć, ale całe inne był i jest cel i charakter włóczęg polskich, którym za pozór służy to choroba, to wychowanie, to jakiś pretext zmyślony, rodzi je próżnowanie i próżność, a rodzi się z nich próżnia, gorzej jeszcze, bo wstępną do własnego kraju, nieświadomość warunków życia w domu i nieudolność do spełniania obowiązków. Widzimy całe takie rodziny od gospody do gospody ciągnące do wód niemieckich, czeskich, nad Ren, do południowej Francyi, na stacye klimatyczne do Meran i Pizy, do Włoch, nie wiem już zresztą dokąd. Ani Anglików ani Amerykanów, których jest też podostatkiem na gościńcach, nie ma tyle, co nas i Moskali. Z tymi ostatnimi rozminąć się nie można... Im się to nie dziwuję, bo z kraju tak rządzonego jak Rosya, gdzie życia, mienia i swobody nigdy nikt nie jest pewien, ucieczka bardzo naturalna. Oni też obowiązków żadnych nie mają, bo rząd podejmuje się za nich wszystkiego i nic im nie zostawia do czynienia oprócz ślepego posłuszeństwa. Rosyanin za granicą a w domu, to są dwa tak różne, tak do siebie niepodobne zjawiska, iż ich z sobą ani porównać, ani zbliżyć nie można. Tu on stara się być europejskim człowiekiem i dowodzi całem postępowaniem, że go niegodziwie, potwarczo za barbarzyńcę okrzyczano. Nic słodsze, nic miłsze, nie lepiej wychowanego nad niego, dopóki się nie spotka z Polakiem. Zetknięcie się to natychmiast wywołuje zmianę barwy, humoru i usposobienia. Widocznie Moskal znajduje występem z naszej strony że my do tej pory śmiemy jeszcze żyć i nazywać się tem imieniem. Fakt jest historyczny, że w roku przeszłym w Karlsbadzie na „Alte Wiese“, chodząc z Polakiem od dawna służącym w Rosyi, jeden znakomity urzędnik odezwał się do niego, zapominając się znać, kogo miał przed sobą: Ja nie pojmuje, dla czego cesarz nie kazał wszystkich Polaków w pień wyrznąć, toby raz przynajmniej koniec był z nimi! Ten przynajmniej z całą otwartością prostego czleka wyspowiadał się z tego, co inni pocichu sobie myślą. Gdyby kto był w stanie odmalować wejrzenia, jakie na nas rzucają, wstępną, z jakim się zbliżają, gdy są przymuszeni, obawę wręście rozmowy i stosunku!!

Podróźni Moskale są to po większej części odstawni, urlopowani, odpoczywający wysoocy urzędnicy, z których każdy niemal miał jakiś udział w przesładowaniu i stał się chętnym jego narzędziem. Dotąd średnia klasa nie włóczy się jeszcze z wyjątkiem przyjemnych nihilistów i socyalistów, którzy swe teorie postępowe eksportują do Szwajcaryi i Anglii. Moskal w hotelach jest dotąd bardzo miłym gościem, my dawnośmy nim być przestali. Placą jeszcze drogo i chętnie, dla fantazyi kupują niepotrzebnych i nieładnych rzeczy wiele. Turystowstwo stało się taką modą wieku, iż całe miasta, osady, okolice, zakłady przeznaczone są na wypotrzebowywanie tej choroby. Są rzemiosła niemal na turystów tylko obrachowywane, są miasta, których połowa ludności jest ruchomą. Z temi ofiarami nikt sobie nie czyni najmniejszej ceremonii, drze się je jak tylko można, a że odarci rzadko powracają, nie dba się o to, iż krzyżeć mogą. Ale dość tych żalów i uwag napróżnych. Dowiaduję się w drodze, że Świt wychodzić przestał, a razem



spotykam się tu z drugim numerem Pochodni. Pocziwemu, dobrej woli, dobremu i zajmującemu pismu, jakim był Świt, należy się serdeczny wyraz współczucia i żalu, że się walką podjętą mężnie życia trwałego nie dobił. Nigdy więc Galicya czytać się nie nauczy, lub piszący nie zgodną, co dla niej pisać należy, ażeby raczyła czytać? Na miłość Bożą, dostarczcie panowie danych statystycznych, jakich pism i książek rozchodzi się najwięcej w prowincyi waszej? Należałoby uwzględnić to i karmić wedle smaku. Jest że to prawdą, że to, co u was czyta, woli po niemiecku czytać lub po francuzku, i do książki polskiej ma wstręt, aby się w niej czasem z patryotycznym czem nie spotkać?... Świt pocziwy zakryły obłoki... zapalono więc w Krakowie Pochodnię. Świt miał, jak się zdaje, cel wybitniej literacki i artystyczny; Pochodnia zajmuje się kwestyami bieżącymi, społecznymi, ze śmiałością, która w nas obudza prawie trwogę o jej losy... Dwa ustępy szczególnie drugiego numeru, sięgające bez ogródki in medias res, wskazują drogi i cel obrany. Jeślibyśmy co chcieli przypomnieć redakcyi Pochodni, to to jedno: iż kwestye społeczne właściwiej występują w pismach codziennych, gdzie popierane i nieustannie rozbiegane, roztrząsane, przypominane być mogą, w pismach zaś wychodzących w pewnych dłuższych ustępach lepiej byłoby traktować naukowo przedmioty i rozszerzać zasadnicze pojęcia nie narażając się na polemikę, której warunki takiej publikacyi prowadzić skutecznie nie pozwalają. Artykuł o wyborze Dr. Dietla daje bardzo ciekawy obraz stanu rzeczy w Krakowie, a poniekąd w Galicyi. Instytucyi tu nie ma co obwiniać, ale ludzi; najidealniejsze prawa nie przerobią dziś i nie dźwigną z upadku; dopóki wychowanie nowe nie wytworzy innego pokolenia, innych pierwiastków i żywiołów, ani konstytucye ani rezolucye nie zmienią charakteru panów A..X..Z.. itd., którzy rezolucyą zwichnąć a konstytucyą sparaliżować potrafią i wszystko zgnieść i zniszczyć, czego dotkną. Są pokolenia moralnie zatracone...

Ludzi czynu i sumienia dać może przyszłość. O ile smutne myśli rodzi wszystko, co przynosi nam wieść z kraju wielkich słów i wielkiej wrzawy, o tyle wyjątkowo rokoszą nas napawa wszystkich rosnąca sława jedyne go genialnego człowieka, jakiego wydała Galicya, Matejki. Zgadniają się wszyscy na admiracyą dla Batorego, do którego w Wiedniu trudno się docisnąć. Blednie przy nim bezmyślny Makart ze swemi przyzmatami barw cudownie rozklapniętych na płótnie, i sami Wiedeńczycy przyznają, iż ich bohatera do naszego twórcy porównać nawet nie można... Miejsce Matejki od dziś dnia jest

już zdobyte obok Rubensów, Veronezyuszów, Tycjanów i najpierwszych mistrzów pędzla natchnionego, myślącego, odtwarzającego rzeczywistość w promieniach ideału... Syczy niemiecka krytyka upokorzona tem, a zmuszoną jest jednak oprócz Matejki, przyznać nawet Rodakowskiemu na wystawie paryzkiej znakomite wirtuozowstwo pędzla...

Wspomniałem tu Matejkę w Wenecyi, bo mi go Veronezyusze i Palmy i Tycjany tutejsze przypominają; jest im pokrewny. Zebrane razem: sejm rozbiorowy, kazanie Skargi, unia lubelska i Batory chyba by w takim pałacu, jak tu gmach po Dożach osierociał, mogły wisieć godnie na ścianach od marmuru i złota. Wystawcie sobie salę przyozdobioną niemi, a obok urozmaiconą Stańczykiem, Sędziwojem, historyowanym obrazem dzieci, ucieczką Jana Kazimierza, Kochanowskim z Urszulą... To już dosyć na to, ażeby pamięć artysty podać potomności.

Ze smutkiem obok wiadomości o powrocie i uznaniu Matejki, donoszą mi, ależ chyba plotkę z Krakowa o zachwianym byciu towarzystwa sztuk pięknych. Wiemy od dawna, że się na zarząd jego uskarżano, że je przetworzyć było potrzeba i uczynić czynniej użytecznym, odpowiadającym lepiej, skuteczniej wymaganiom artystów naszych i ogółu. Lecz czyż dla tego ma sama instytucya przepadać, że ją niedołęztwo, próżność i zarozumiałość ludzi jakiejś kliki zepsuła i zwichnęła, czy dla tego ma się stwarzać rzecz nową, zamiast poprawić radykalnie istniejącą?... Słyszymy tu o zakładającym się stowarzyszeniu nowem, o walce, jakie ono wywołać musi, boć dwa na Kraków za wiele! Pocieszamy się tem tylko, iż sobie ludzie plotą baje i czernią ten nieszczęśliwy Kraków. Współzawodnictwo dwóch tam, gdzie jedno ledwie żyje, groziłoby obojgu, a szkodziło krajowi. Wszędzie więc ludzie będą stać na pierwszym planie zamiast sprawy, i sprawa padać ofiarą ludzi? nie, to być nie może. Zreformuje się zapewne stowarzyszenie istniejące, wejdą doń żywioły czynniejsze, świeże, i sztuka nie straci gospody, której tak bardzo potrzebuje.

Po drodze mieliśmy przyjemność spotkać się z jednym z najznakomitszych młodych malarzy, krakowianinem, Kotsisem, który wracał z artystycznej pielgrzymki po Tyrolu. Miłą zapewne zwiastować wam będę wiadomość, iż gotuje na wystawę wiedeńską pracę, która nie ustąpi jego poprzedzającym i wyżej jeszcze tego młodego Knausa naszego postawi. Inni także monachijscy wychowañcy nasi gorliwie pracują, aby w Wiedniu wystąpić świetnie.

J. I. KRASZEWSKI.

#### ZE ŚWIATA.

(Partya pikietta o — duszę). W r. 183\*. przybył margrabia Br. jako sekretarz ambasady francuzkiej do Petersburga, i w krótkim czasie zjednał sobie w tamtejszych kołach arystokratycznych sławę nie tylko bardzo miłego kawalera, ale oraz niezrównanego mistrza w pikiecie. Moskiewska namiętność do gry znana jest powszechnie; ubiegano się więc formalnie o to, by zręcznemu Francuzowi dawać wygrywać znaczne sumy, i szczęście jego weszło wkrótce w przysłowie.

O tym samym czasie mówiono w Petersburgu bardzo wiele o jakiejś brudnej sprawie, dotyczącej stosunku poddańczego, w której odgrywali główne role hrabia K., kadet w 1. pułku gwardyi, namiętny gracz, członek klubu angielskiego, i pewien młody knpiec, posiadający bajeczny majątek.

Ojciec hrabiego K., który przepędził całe życie w dobrach swoich nad Uralem, posiadał pomiędzy duszami swemi także stryja rzeczzonego kupca, który zjednaawszy sobie miłość pana zebrał przy pomocy jego ogromny majątek. Po jego

śmierci przeszedł ten majątek na jego bratanka, który przez szczęśliwe spekulacje powiększył go tak dalece, że dziś należy do najbogatszych ludzi na całej kuli ziemskiej.

Ale mimo to nie mógł on nazwać się szczęśliwym; nie posiadał tego, co jest najdroższym skarbem człowieka, wolności, bo dusza jego była własnością innego. Pokochał całym sercem młodą i piękną dziewczę, i miłość ta przywodziła go do rozpacz, bo rodzice kochanki nie pozwalali na ich połączenie, dopokąd przyszy zięć nie zetrze z swego czoła piętna poddaństwa.

Hrabia K. jednak był nieubłagany, chociaż ofiarowano mu ogromną sumę na okupienie wolności. W Moskwie (a pewno nigdzie więcej) uważano to do niedawna jeszcze za zaszczyt, mieć w poddaństwie milionerów, i odrzucano miliony dawane na okup, aby natomiast pobierać co roku od proszących kilka rubli obroku (haraczu poddaństwa).

Jak już wspomnieliśmy, mówiono wtedy wiele o tej niezszczęsnej sprawie, ubolewano nad biednym, młodym Krezusem, i ganiono upor hrabiego K., który swej dumie poświęcał szczęście dwojga ludzi.

Margrabia Br., który nieraz już grywał z hrabią pikietą, dowiedział się także o smutnym położeniu biednego Konstantego (tak się nazywał ów młody kupiec). Wieczorem tego dnia, w którym opowiadano mu tę smutną historią, zeszedł się z hrabią w kasynie. Po wieczery nastąpiła jak zwykle gra. Br. zaprosił hrabiego do pikietą, a ten przyjął chętnie zaproszenie. Z początku ważyło się szczęście na obie strony; ale ponieważ Francuz przewyższał o wiele Moskala biegłością w grze, przegrał zapalony hrabia po jakimś czasie bajeczne sumy; wszystkie jego pieniądze i kosztowności znajdowały się już w rękę przeciwnika. Walka jednak trwała ciągle jeszcze, a w końcu zaproponował hrabia dalszą grę na słowo. Wtedy margrabia wskazał z zimną krwią na leżący przed sobą stos pieniędzy i klejnotów i rzekł spokojnym głosem:

— „Pan hrabia posiada małą wioskę nad brzegiem Wolgi. Jak mi opowiadano, znajduje się tam tylko kilka nędznych chat, a mieszkańcy ich są ubogimi gwoździarzami; ale mniejsza o to! Zachciało mi się koniecznie zostać właścicielem dóbr w Moskwie, grajmy więc o tę wieś!“

Hrabia K. zawahał się widocznie; ale namiętność, podniecona nadzieją odegrania się, była tak silna, że oprzeć się jej nie zdołał.

Tą razą grano istotnie o biedną duszę, bo Konstanty, poddany hrabiego, należał do tej wsi. Skończono partya, i wieś nad Wolgą stała się własnością Francuza. W kilka dni potem otrzymał Konstanty uwolnienie od poddaństwa, a margrabia Br., ażeby uniknąć dziękczyniń młodego kupca, opuścił Petersburg tego samego dnia jeszcze.

Dziesięć lat upłynęło od tego czasu. Margrabia Br. stracił tymczasem przez rozmaite nieszczęścia cały swój majątek, a w roku 1848 postradał nawet ostatnie źródło pomocy, swoją posadę dyplomatyczną, i żył w największym niedostatku. Aż oto pewnego dnia doręcza mu kurjer kosztowny portfeil z milionem rubli srebrnych. Do tego dołączona była kartka z temi słowy:

„Wybawcy z jarzma poddaństwa ofiaruje z wdzięcznością była dusza moskiewska.“

(Dzieło mistrzowskie Hogartha). Wiadomo powszechnie, że sławny malarz angielski, Hogarth, posiadał rzadki humor i dowcip; świadczą o tem nie tylko obrazy jego, ale także liczne zdarzenia z jego życia. Pewnego razu wezwał go jakiś niezmiernie bogaty ale skąpy lord, ażeby przedsiónek jego nowego pałacu ozdobił obrazem historycznym; podobne amatorstwa były podówczas w modzie u arystokracji. Hogarth przystał chętnie na to, a skąpy lord zapytał go, ileby też żądał za obraz, przedstawiający pochód Izraelitów, ściganych przez Faraona i jego wojsko, przez Czerwone morze. Artysta zmierzył oczyma wielkość przedsiönka i zażądał 100 gwinei.

Bogaty sknera schwycił się za głowę i zawołał; „Czy oszalałeś, panie Hogarcie? Dam ci dwadzieścia gwinei, bo lubię wspierać sztukę; ale to zaprawdę więcej, niż warta twoja bazgranina.“

Hogarth połknął zgrzytając tę gorzką pigułkę, pomyślał chwilę, a potem rzekł: „Ponieważ jestem w wielkich kłopotach pieniężnych, przyjmuję tę robotę, ale pod warunkiem, że honorarium będzie mi wypłacone z góry.“ — Skąpy lord zaśmiał się w duchu, że zrobił tak korzystny interes, i wypłacił należytość w oberzniętych dukatach holenderskich. Ale i to lotrowstwo zdawało się nie razić hulaszczego artysty, gdyż nie oglądając wcale osławionych monet, wsunął je do kieszeni i prosił o klucz od przedsiönka, by mógł nazajutrz jak najwcześniej rozpocząć swoją pracę.

Zaledwie zeszło słońce nazajutrz, pojawił się Hogarth z olbrzymim pędzlem w rękę i w towarzystwie rubasznego Irlandczyka, który niósł ogromną konewkę, pełną czerwonej farby. Nim jeszcze lord podniósł się z puchowego łoża, była już cała ściana przedsiönka pomalowana na czerwono. Hogarth spojrział z zadowoleniem na swoje dzieło, a potem przywołał pała domu.

— „Już gotowe!“ — rzekł do wchodzącego.

— „Co gotowe?“ — spytał kutwa zdziwiony,

— „No, obraz, który miałem wymalować...“

Teraz dopiero wpadła lordowi w oczy czerwona ściana. Zdumiony, otworzył najprzód gębę, a potem zapytał z wahaniem: „Cóż to przedstawia?“

— „Czerwone morze, Milordzie!“ — odrzekł Hogarth z poważnym zadowoleniem.

— „Czerwone... morze?“ — wybąknął stary Nabob, gdyż zaczynał już wietrzyć coś złego. — „Ale gdzież Faraon? gdzie jego wojownicy?“

— „Ci wszyscy potonęli.“

— „A gdzież, do pioruna, są Izraelici?“

— „Ci“ — odparł artysta z grzecznym ukłonem — „ci przeszli szczęśliwie na drugą stronę.“

(Do historii papierowych pieniędzy). I pieniądze papierowe mają swoją historią, równie ciekawą, jak dumne z brzęku swego dukaty i napoleondory, a nawet starszą niż ich, bo tak starą prawie, jak papier. Zaledwie bowiem Arabowie wynaleźli papier z lnu, któremu z wdzięczności za długoletnie usługi jego zastępcy, papyrusa, nadano tę samą nazwę, i zaledwie uzyskano materiał, przydatny do uwiecznienia myśli i przenoszenia ich z miejsca na miejsce: już wnet i chciwość ludzka zaczęła przemyślać nad tem, by wycią-

gnąć jak największą korzyść z tego wynalazku; próżnej pisarnicy nie znano wprawdzie jeszcze, ale zato budziła się żądza zysku, chęć robienia pieniędzy, chociażby nawet z papieru lub podobnego mu materiału roślinnego. Najstarszy dokument, pisany na papierze z lnu, jaki posiadamy jeszcze, datuje się z roku 1270, a we 24 lat potem wiedziano już doskonale, jaki wpływ wywierają pieniądze papierowe na wartość szlache-tnych metalów.

Zaszczyt tego szybkiego postępu nie należy się Europie; nauczycielką jej była wtedy jeszcze Azja, i tam to, w kolebce rodu ludzkiego i cywilizacji, a zatem także przemysłu i intrygi, przyszła na świat pierwsza obligacja długu państwowego, i to w kraju, który słynął u nas najwięcej z dumy, próżności i zbytku, mianowicie w Persyi. Na tronie perskim zasiadał podówczas potomek wielkiego Dżengis-Chana, imieniem Key Kathu. Zdobył sławnego przodka i bogactwa, które odziedziczył po nim, były dla niego tylko środkiem i niejako upoważnieniem do prowadzenia życia marnotrawnego. A gdy monarcha trwoniał czas i pieniądze na próżniactwie, myśleli jego ministrowie również tylko o zabawach, a najkosztowniej-sze z nich były naturalnie najmilsze. Śród takich okoliczności nie mogło być w tem nic dziwnego, gdy w niewyczerpanym na pozór skarbcu wypróżniał się jeden worek po drugim, i gdy nakoniec pewnego pięknego poranku oznajmił skarbnik nie troszczącemu się o nic Chanowi tę smutną nowinę, że ostatnia złotówka została już wydana. Gdzież znaleźć nowe środki do utrzymania dworu królewskiego, i to na dawnej stopie świetności? Key Kathu nie kłopotał się tem wcale, on nie wiedział przecież, z kąd się dawniej brały pieniądze i gdzie się podziały; a od czegoż zresztą byli jego urzędnicy, jeżeliby się nie postarali o nowe pieniądze? I oni też postarali się.

Przy wydziale dochodów skarbowych piastował urząd naczelnika przebiegły człowiek, imieniem Ezzudhin Muzuffer, który nie napróżno żył w ojczyźnie jedwabników, bo nauczył się od nich tajemnicy przedzenia jedwabiu. Ten kazał sporządzić podłużne banknoty, na których pismem chińskim wyręsował mohametańskie wyznanie wiary: „Jeden jest tylko Bóg, a Mohamet jest jego prorokiem“, i umieścił u spodu jeszcze dwa wyrazy: „Irandszi“ i „Boutszi“, prawdopodobnie imiona dwóch dygnitarzy, którzy mieli służyć za poręczycieli. We środku na każdym banknocie znajdowało się koło, a w niem wymieniona była wartość i dzień, którego banknot przeszedł z rąk królewskich do ludu.

Chociaż te banknoty nie były robione z papieru, który wówczas może nie był jeszcze w używaniu w Persyi, lecz z wysuszonych liści morwowych, nie zmienia to przecież wcale ani ich charakteru jako pieniędzy papierowych, ani też ich wartości jako banknotów. Po dokonaniu tego dzieła przedłożył je Muzuffer swemu władcy, i doznał tej przyjemności, że jego banknoty nie tylko łaskawie zostały przyjęte, ale zarazem ogłoszono ustawę, że odtąd te pomalowane liście morwowe mają jako pieniądze służyć wyłącznie do wypłaty, i że przeto wszystkie znajdujące się w kraju metale szlachetne powinny być w kasach królewskich wymieniane na te asygnaty. A ponieważ rządy despotyczne nie znają żadnych względów, przeto

ogłoszono dalej, że ktokolwiek poważyłby się puszczać w obieg inne jeszcze pieniądze, natychmiast śmiercią ukarany będzie.

Tak więc jednym skinieniem despoty zostały od razu zaprowadzone banknoty liściowe, owe przekazy na zbankrotowany skarb państwa; ale cóż tu mówić wiele o słuszności lub niesłuszności takiego rozporządzenia! Potrzebie królewskiej należało koniecznie zaradzić, i poddani musieli słuchać; a czyż mogło być nawet inaczej? Chińczycy, u których na kilka lat przedtem chciano zrobić to samo, oparli się jednomyślnie zaprowadzeniu pieniędzy papierowych, którym wola despotyczna chciała nadać wartość złota, i o ten opór ludu rozbiła się nawet potęga despoty. Ale Persowie byli zanadto bojaźliwi, by stawić czoło ustawie, grożącej karą śmierci, i wszyscy przeto zanieśli swoje złoto, perły i klejnoty do skarbu królewskiego, by otrzymać za to suchy liść morwowy. Cały kraj ograniczał się mniej więcej na handlu zamiennym, złoto i srebro znikło prawie zupełnie. Marco Polo, sławny turysta wenecki, który w owym czasie zwiedzał także Persyę w towarzystwie swego ojca, opowiada, że nie widział złota w całym kraju, co więcej, musiał nawet swoją własną gotówkę ukrywać, by nie narazić życia swego na niebezpieczeństwo.

Przez trzy dni odgrywał Muzuffer swoją niecną sztukę i Key Kathu spożywał przez trzy dni złote owoce swego rozporządzenia; ale czwartego dnia nastąpił już tragiczny koniec tej gry hazardowej. Lud perski, chociaż przygnieciony jarzmem niewoli, zbierał przez trzy dni tyle materiałów palnych, że nastąpił straszliwy wybuch. Ezzudhin Muzuffer, dowcipny wynalazca banknotów morwowych, padł ofiarą wściekłości ludu. Opowiadają, że rozjuszone tłumy, potargawszy raz więzy niewolniczego posłuszeństwa, rzuciły się nań i rozdarły go na sztuki. Sam nawet Key Kathu, który asygnatami swemi wywołał burzę, podobną tej, która nieszczęśliwego Ludwika XVI. pozbawiła korony i życia, nie wyszedł bezkarnie z tej sprawy. Ostatnie to rozporządzenie, wskazujące aż nadto wyraźnie, jak mało obchodziło go dobro ludu, jak haniebnie obdzierał kraj, ażeby tylko dogadzać dalej swemu marnotrawstwu, pozbawiło go wszelkiego szacunku u ludu; i gdy wnuk jego Bajda Chan, korzystając z tych zaburzeń, obalił go z tronu, nie podniosło się ani jedno ramię perskie w obronie dawnego władcy, i Key Kathu postradał nie tylko królestwo, ale nawet życie przez mały listek morwowy.

(Livingstone odszukany). Od czterech lat nie wiedziano nic zgoła o sławnym podróżniku angielskim, Livingstone; domyślano się tylko, że udał się dalej na zachód od jeziora Tanganyka, dokąd po raz ostatni w r. 1868 posłano mu zasoby żywności i lekarstw z Zanzibaru.

Z końcem r. 1870 polecił James Gordon Bennet, właściciel nowojorskiego dziennika „Herald“, jednemu z swoich korespondentów, młodemu Amerykaninowi imieniem Stanley, który brał już udział w wyprawie abysyńskiej, był obecnym przy otwarciu kanału suezkiego i odbywał kilka mniejszych i większych podróży w Azji i Afryce, ażeby puścił się w ślad za Livingstone i zbierał wszelkie wiadomości, mogące posłużyć do jego odszukania. Stanley spełnił zadanie swoje z wielką odwagą i energią. Stoczywszy nie jedną walkę i przebywszy rozmaite niebezpieczeństwa, dotarł wreszcie po 400

milowym pochodzie z dość znacznym oddziałem swoim do Udżidzi, jednej z największych osad nad jeziorem Tanganyka, gdzie spodziewał się na pewno dowiedzieć czegoś o Livingstone. Oddział Stanleya wszedł do wsi z jak największym hałasem. Odgłos bębnow, dźwięk rogów i salwy karabinowe wywabily mieszkańców z chat. Witano uprzejmie cudzoziemców, na których czele powiewał sztandar amerykański. Niebawem pojawiło się także grono Arabów, a pośród nich jakiś sędziwy mąż, ubrany całkiem inaczej. Stanleya uderzyła zaraz ta postać widocznie europejska, w czapce marynarskiej i kaftanie welnianym; nie wątpił on prawie, że to Livingstone, i idąc wprost ku niemu uklonił się i rzekł: „Doktor Livingstone, jeżeli się nie mylę.“ — „Tak jest“ — odrzekł zagadniony kłaniając się nawzajem — „tak się nazywam.“

Dr. Livingstone puścił się w marcu r. 1866 w głąb Afryki w towarzystwie dwudziestu ośmiu ludzi. Ale zaledwie uszedł kilkanaście mil, opuścili go jego ludzie z obawy przed nieprzyjawnymi krajowcami, i ci powróciwszy do domu rozsiadli dla pokrycia swojego tchórzostwa fałszywą wieść, że Livingstone został napadnięty i zamordowany. On tymczasem, nie tracąc odwagi, puścił się dalej, badając głównie bieg rzeki Chambezi, zwanej w dalszym biegu Lualaba, i powziął przekonanie, że ta rzeka jest źródłem Nilu. Ciekawe są szczegóły, które podaje Livingstone o źródłach tej rzeki.

„Przekonałem się — powiada — że okolica, w której Nil bierze swój początek, tworzy rozległą wyżynę między 10 i 12 stopniem południowej szerokości, a około 4 do 5 tysięcy stóp nad powierzchnią morza. Na różnych jej punktach wznoszą się góry, a chociaż na pozór nie są one bardzo wysokie, dochodzą przecież niektóre nawet 6 lub 7 tysięcy stóp. Wyżyna źródłowa rozciąga się na 700 mil angielskich od zachodu na wschód, a źródła, które z niej wypływają, są prawie niezliczone, to jest, potrzebaby poświęcić większą część życia ludzkiego na to, ażeby je policzyć.“

Dr. Livingstone chce zbadać jeszcze północne wybrzeża jeziora Tanganyka i pozostałe jeszcze 180 mil rzeki Lualaby, i sądzi, że będzie potrzebował jeszcze na to dwóch lat.

W listach do angielskiego konzula w Zanzibarze, dra Kirka, użala się Livingstone, że przeznaczone dla niego zapasy powierzył niewolnikom; ci bowiem uraczyli się niemi sami, a jego osadzili na lodzie.

Livingstone jest z urodzenia Szkotem, i był pierwotnie misjonarzem.

(Tajna policja). Ojczyzną tego szkaradnego instytutu jest Francja, a ojcem jej można nazwać śmiało terrorystycznego kardynała Richelieu, mentora Ludwika XIII., który był tylko lalką w ręku swojego doradcy. Dopiero w r. 1667 był Ludwik XIV. o tyle bezwstydnym, że uświęcił tajną policję aktem uroczystym. I można sobie wyobrazić, jakie to przy ówczesnym służalczym duchu we Francji obfite musiały mieć środki ta nowa instytucja do przytłumiania wszelkiej wolności osobistej i politycznej. Najhaniebniejszym jednak i z prawdziwie szatańską przebiegłością obmyślanym środkiem było tajemne pismo policyjne, które Ave-Lallement słusznie nazywa „pismem piekielnem.“ Do największej doskonałości doprowadził to pismo hrabia Vergennes, minister spraw zewnętrznych za

Ludwika XVI. od r. 1774. Jego ajenci za granicą używali tego pisma, by na kartach polecających, udzielanych jadącym do Paryża cudzoziemcom, przedstawiać za pomocą pewnych, na pozór całkiem niewinnych znaków, ich charakter i wszelkie stosunki prywatne, tak że każdy „polecouy“ przez nich, nie domyślając się wcale tego, wiozł ze sobą najdokładniejsze opisanie swojej osoby. Takimi znakami były przedewszystkiem ozdoby kart polecających. Kolor ich zdradzał ojczyznę poleconego; tak n. p. oznaczał kolor niebieski Francją, czerwony Hiszpanią, złoty Anglią i t. d. Kształt obwódki nie był również obojętnym, gdyż forma okrągła, owalna, ośmio- i czworokrotniegiasta i t. d. odnosiła się do wieku; linie jej oznaczały wzrost, kwiat lub inny rysunek u górnej krawędzi dawał wyobrażenie o fizynomii (róża n. p. zdradzała piękne, głowa barania szpetne rysy twarzy); owinięta około obwódki wstęga wskazywała, że właściciel tej karty jest żonaty; guziczki przy wstędze oznaczały stosunki majątkowe; rozmaite inne ozdoby wskazywały cel podróży, kropki za imieniem religią lub kierunek polityczny. Nakoniec z umieszczonej pod imieniem linii można było poznać charakter, a z dołączonego jakby dla registry numeru wykształcenie poleconego.

Po niejakiem czasie jednak pokazało się, że to tajemne pismo zabiera wiele czasu. Nadto potrzebowano do jego używania rysownika, przezco tajemnica urzędowa łatwo mogła być zdradzona. To więc spowodowało ministra do zaprowadzenia tylko pisma szyfrowego, tak że karta polecająca wyglądała całkiem skromnie i pojedynczo.

Z głoski N. przy numerze registry można było sędzić o wzroście, kreska lub o za tem N oznaczały małżeński stan właściciela, sam numer wskazywał ojczyznę i wiek. Do oznaczenia charakteru, majątku, stanu, celu podróży i wykształcenia służyły umieszczone obok inne liczby. Linie pod nazwiskiem wskazywały wedle kształtu swego stopień uczciwości właściciela, kropki jak wyżej oznaczały religią itd. Pomijamy rozmaite inne jeszcze szczegóły, tyżące się tego haniebnego instytutu, a zwracamy uwagę na to, że wszystkie te wyrafinowane sztuczki, jakich później za Napoleonów używali Fouché i Pietri, nie zdołały zbutwiałego ich tronu uchronić od upadku, a nawet same stały się przyczyną ich zguby.

(Walka kogutów w Japonii). Od najdawniejszych czasów korzystano z wrodzonej kogutom zapalczywości, by zaprawiać je do staczania walki ze sobą. Rozrywka ta dostała się prawdopodobnie z Indyi do Grecyi; Rzymianie nie znali tego rodzaju walk zwierzęcych, natomiast przyczynano kuropaty do walki z przepiórkami. Dziś jest walka kogutów najulubieńszą zabawą u Malajow, ponieważ nastęrcza im sposobność do zaspokojenia ich nienasyconej żądzy gry. Dla tego też nie są te walki tylko rozrywką u nich, lecz uważane bywają za ważne sprawy publiczne. Poważni mężowie, kupcy, właściciele okrętów, plantatorowie, Hiszpanie, Chińczycy i inni cudzoziemcy spieszą do aren dla przypatrzenia się walce kogutów, jak u nas do teatru lub na koncerta. Dobrze przyuczone koguty płacone bywają po 500 do 1000 dolarów, i często stawiają ich stronnicy bardzo znaczne sumy w zakład. Walka kogutów jest na wszelki sposób zajmującym widowiskiem, chociaż podobne dręczenie zwierząt musi oburzać uczucie

ludzkości. Podobnie jak Malaje, są także Japonowie wielkimi miłośnikami takich walk. Wszędzie, nawet po najuboższych wsiach, znajduje się tak zwane „plazza de gallos“, rodzaj amfiteatru do odbywania walk kogucich, a często urządza im także najniższe warstwy ludności na miejscach publicznych takie improwizowane walki. Wychowanie kogutów odbywa się z największą starannością, i w każdej prawie wsi znajdują się tacy hodownicy, którzy wyłącznie tem się zajmują. Koguty są zwykle duże, silne i mają wysokie nogi. Do walki uzbrajają je w ostre, zagięte nieco haczyki, które przywiązują im do ostróg. Na plac boju przynoszą je właściciele na rękę, drażnią aż do wściekłości, a potem puszcza na siebie. Pojedyncza walka kończy się zwykle bardzo prędko i niewiele przeto nastęcza widoku, ale za to obudzają zakłady bardzo namiętny udział w całym zgromadzeniu. Machlerzami zakładowymi są częstokroć obdarci żebracy z najniższej klasy ludu. Ci odbierają stawki, składają je na przygotowanym stole, i po skończonej walce doręczają wygrywającym za małą opłatą, odznaczając się przytem nadzwyczajną zręcznością i sumiennością.

(Nagroda dla przykładowych małżonków.) Sir Filip Somerville, który żył za panowania Edwarda III. w Anglii (1350), zapisał testamentem hrabiemu Lancaster dobra Whihmour pod warunkiem, ażeby każdego czasu, z wyjątkiem postów, był gotów oharować wędzoną szynkę takiej parze małżeńskiej, któraby złożyła przed nim przysięgę, że żyjąc ze sobą rok cały nie żałowała nigdy zawarcia związku małżeńskiego, i że będąc w wolnym stanie uczyniłaby bez wahania ten sam wybór. Przysięga ta miała być składana wobec świadków w następującej formie: „Ja N. N. zaślubiłem (łam) tę niewiastę (tego mężczyznę) przed rokiem, i od tego czasu nie objawiłem (łam) nigdy życzenia ani we śnie ani na jawie, że wolałbym (wolałabym) inną (innego), i gdybym jeszcze był(a) wolnego stanu, a ona (on) również, wybrał(a)bym ją (jego) za żonę (męża) z pomiędzy wszystkich kobiet (mężczyzn) na świecie, bez względu na to, czy był(a)by piękną (ym) czy brzydką(im), bogatą(ym) czy ubogą(im), dobrą(ym) czy złą(ym), tak mi dopomóż Panie Boże i wszyscy Jego Święci!“ — Kronika nie podaje, ile szynek rozdał hrabia Lancaster, a my dodajemy nawiasem, że i dziś taka nagroda nie wielu znalazłaby konkurentów.

◀(Brakujący guzik.) Sławny filozof królewiecki, Kant, miał rozmaite dziwne przyzwyczajenia, które zachowywał ściśle aż do końca życia. Tak n. p. czy pogoda czy słońce, odbywał zawsze przechadzkę swoją tą ulicą, którą teraz na cześć jego nazywają „Promenadą filozofa“, a gdy zrana szedł na wykłady do akademii, był widok jego — jak powiada Heine — dla mieszczan królewieckich hasłem do nakręcania zegarów. O nim też opowiadają między innymi następującą zabawną anegdotę:

Przez kilka kursów uczęszczał na wykłady jego jakiś Litwin, którego jasną kapotę zdobiły trzy czarne guziki rogowe. Uczeń ten siedział zawsze w pierwszej ławce, i gdy filozof rozpoczynał wykład, spoczywał wzrok jego zawsze na średnim guziku; jemu to dowodził on z świętym zapalem, quod erat demonstrandum, i rzadko kiedy odwracało

się oko jego od niego. Pocziwego Litwina zaczęło niepokoić to uporczywe wpatrywanie się profesora w jego guzik, a ponieważ nie mógł odgadnąć właściwej przyczyny tego, wpadł na błędny domysł, że guzik ten gniewa profesora, i odpru go. Nazajutrz przychodzi Kant do kolegium, rozpoczyna wykład, i po miłym zwyczaju pada wzrok jego na — próżne miejsce, na którym niegdyś świecił ów pamiętny guzik. Na ten widok oniemiał nagle filozof, zaczął gwałtownie szarpać swoje manszety, skrobał się w głowę, spoglądał zmieszany dokoła, próbował mówić dalej, zaciął się, i zaledwie z największym mozolem zdołał dokończyć wykładu. A gdy już słuchacze wychodzili z sali, wezwał skinieniem Litwina do siebie i wyznał mu, że brak guzika zakłóca jego rozumowanie loiczne. Student uważając to za żart, roześmiał się; ale filozof rozdrażniony zawołał gniewnie: „A cóżbyś pan powiedział na to, gdybyś szedł ulicą, a naraz zostało słońce usunięte z firmamentu? Stałabyś pewnie zdziwiony i z otwartą gębą!“ To przekonało Litwina, i nazajutrz był guzik znowu na swoim miejscu.▶

◀(Godzina obiadu.) W dawnych czasach lubiono zasiadać do obiadu w nocy, o czem między innymi świadczą niektóre ustępy biblii. Tak n. p. sławna uczta Baltazara, o której mówi Daniel, odbywała się w nocy; kaznodziej zaś Salamonis powiada: „Błogo krajowi, którego książęta jadają o właściwej porze.“ Któraż tedy pora jest właściwa? Zdania o tem są podzielone. W 14. wieku jadał król francuzcy obiad o 8. godzinie zrana; za czasów Filipa burgundzkiego mawiano: „Wstawaj o 5tej, jadaj obiad o 9tej, wieczerej o 5tej, kładź się spać o 9tej, a będziesz żył 99 lat.“ Za panowania Henryka IV. i Ludwika XIV. siadano do obiadu o godzinie 11stej, za Ludwika XV. o 2giej. Za czasów Henryka VIII. jadano śniadanie o 7, a obiad o 10 godzinie. Królowa Elżbieta siadała do obiadu o godzinie 11, a wieczerej jadła między 5. i 6. godziną wieczorem, o którym to czasie dzisiaj zaledwie rozpoczyna się obiad w Anglii. We Francji uważano dotąd zwykle godzinę 6. za porę obiadową; ale zwyczaj ten nie bywa bardzo ściśle zachowywany, i większe domy piszą zwykle na kartach zapraszających: un quart d'heure de grace pour les dames. Pewien dowcipniś zrobił niedawno uwagę, że Francuzi przez ciągle odwleknięcie godziny obiadowej doprowadzą do tego, iż będą jadać obiad dopiero nazajutrz. W Indyach wschodnich panuje zwyczaj zasiadania do stołu dopiero wpół godziny po zachodzie słońca. W Niemczech aż do rewolucji francuzkiej jadano prawie powszechnie obiad o godzinie 12stej, i dopiero później zaczęto przedłużać poranek dalszem odwlekaniem pory obiadowej. Z tego wszystkiego wynika, że nie ma właściwej pory obiadowej, i najtrafniejszem zdaje się w tym względzie zdanie pewnego filozofa, który zapytany, kiedy najlepiej jadać obiad, odpowiedział: „Dla bogaczy wtedy, gdy mają apetyt, a dla ubogich, gdy mają co jeść.“▶

(Febra dyamentowa.) Podług doniesień z San Francisco (w Kalifornii) wybuchła tam w najnowszych czasach febra dyamentowa, podobnie jak przed laty febra złota, która także najmocniej się srożyła w Kalifornii... Z wiosną r. b. zawiązało się tam towarzystwo górnicze, które pracuje w pobliżu ujścia rzeki Colorado i wydobyło już znaczną ilość dya-

mentów w wartości 100,000 dolarów, które złożono w banku kalifornijskim. Oprócz dyamentów znaleziono na obszarach tego towarzystwa także rubiny, szafiry i szmaragdy znacznej wartości, tylko szmaragdy mają być cokolwiek blade. Ostatniemi zaś czasy zawiązało się drugie towarzystwo z kapitałem wynoszącym 10 milionów funtów szterlingów, a zaraz potem trzecie dla szukania dyamentów, i gorączka ta ma się wzmacniać coraz bardziej.

(Przezorny samobójca). Komiczny aktor Kopp w Paryżu odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru. Kopp taki był przewidujący, że na stoliku nocnym obok łóżka położył brzytwę otwartą, ażeby w razie, gdyby strzał nie spowodował śmierci natychmiastowej, dokończyć dzieła za pomocą poderznięcia sobie gardła. Żeby zaś śmierć jego nie stała się przyczyną klęski dla innych, zdjął ze stolika nocnego lichtarz ze świecą i postawił go w kącie pokoju, głównie w tej myśli, że w szamotaniu konania mógłby przewrócić stolik, a świeca spadłszy na dywan zaścielający pokój, mogłaby się stać powodem pożaru. Kopp pozostawił przeszło sto tysięcy franków majątku, którym rozporządził na cele dobroczynne, oraz bardzo piękną kolekcją obrazów. W liście, w którym była spisana ostatnia wola artysty, prosił on, ażeby te obrazy rozebrali pomiędzy siebie jego koledzy, tak, ażeby każdy mógł mieć po nim pamiątkę. Najcharakterystyczniejszy jest przypisek do tego testamentu: „Upraszam tych, którzy mi winni są pieniądze, a jest ich bardzo wielu, ażeby pieniądze oddali ubogim.“

(Francuzkie koszta wojenne). Wydane co dopiero dzieło p. n. „*Annaire de l'Economie politique et de la Statistique pour les années 1871 — 1872*“, zawiera obok wydanych przez urząd ustaw i dekretów, zestawienie strat wszelkiego rodzaju, poniesionych przez ostatnią wojnę. Straty w pieniądzech obrachowano tutaj lekko na 10 miliardów, a mianowicie 3 miliardy właściwych kosztów wojennych, 2 miliardy w stratach poniesionych w pojedynczych departamentach tak w skutek rekwizycji jak i spustoszeń, i 5 miliardów kontrybucji wojennej. Do tych 10 miliardów, pochłoniętych przez wojnę, dodać należy stratę w ludziach, wynoszącą tak w zabitych jak i zmarłych skutkiem ran przeszło 89,000 osób, i również tyle zmarłych w Niemczech i we Francji wskutek niedostatku, zimna i różnych chorób.

Gdybyśmy straty w ludziach chcieli zamienić na pieniądze, w takim razie musielibyśmy na szali wartości każdego człowieka położyć sumę, jaką wypotrzebował na swe wychowanie, wykształcenie, aż do chwili, gdy stanął na polu walki, lub też musielibyśmy obrachować, co by tenże był sprodukował za pomocą swej pracy. Licząc tylko głowę po 10,000 franków, otrzymalibyśmy blisko 2 miliardy. Do tego doliczyć należy straty krajowe. Wojna ostatnia przyprowadziła Francją o stratę

1689 gmin, 1,447,446 hektarów ziemi i 1,597,228 mieszkańców. Podczas gdy Francja dawniej posiadała 37,548 gmin, 54,305,141 hektarów i 38,067,064 mieszkańców, ma dziś tylko 35,859 gmin, 52,857,675 hektarów i 36,469,836 mieszkańców.

(Nowożytny Leander.) W sierpniu r. b. usiłował pewien Anglik, imieniem Johnston, dorównać swemu nieśmiertelnemu ziomkowi, Byronowi, w sztuce pływania. Lord Byron przepłynął jak wiadomo Helenspont, a Johnston chciał przepłynąć cieśninę kaletańską między Dowrem i Kaletem. O godzinie 10. minucie 40. z rana wskoczył ów nowożytny Leander w obecności licznej zgromadzenia ciekawych z pokładu parostatku „Palmerston“ w morze. Pierwsze dwie mile przebył przy silnym prądzie i łagodnym wietrze wschodnio-północnym w 30 minutach. O godzinie 11. minucie 20. posilił się dwoma szklankami wina, a w dziesięć minut potem wypił znowu dwie szklanki wina i zakąsił sucharem. Ale już o godzinie 11. i minucie 45. musiał zaniechać swego zuchwałego przedsięwzięcia i powrócić na pokład „Palmerstona.“ Członki jego tak zdrętwiały od zimna, że nie był w stanie utrzymać w ręce filiżanki z herbatą, którą mu podano, owinąwszy go wprzód starannie flanelą. Na pokładzie też statku odbywał swój wjazd do Kaletu, gdzie wieść o jego przedsięwzięciu ściągnęła również wielki tłum ludu na wybrzeże. Ażeby cokolwiek zaspokoić ciekawość publiczności, wskoczył Johnston jeszcze raz z parostatku w wodę i popisywał się swoją sztuką pływania. W Anglii stawiano jak zwykle wielkie sumy w zakład za nim i przeciw niemu.

(Trucicielka.) Sądowi w Durham oddano niedawno kobietę, nazwiskiem Mary Ann-Cotton, której proces wzbudził nie tylko w Anglii lecz i w całej Europie żywy interes. Sąd w obecnym wypadku ma do czynienia z trucicielką, która rzemiosło swe na wielką prowadziła skalę i w niczem w tej mierze nie ustępuje osławionym swym koleżankom, zapisanym na kartach kryminalistyki włoskiej i francuzkiej. Oskarżona jest obecnie tylko o jedno morderstwo, popełnione na swym pasierbie. Sekretarz atoli państwa wydał już rozkaz do wygrzebania trzech ciał, podczas gdy dwa inne niedawno odkopane noszą w swych wnętrznościach widoczne ślady otrucia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wszystkie to jeszcze ofiary owej faryi. Trzy mające się dopiero odgrzebać ciała są: jej mąż zmarły przed rokiem, jej pasierba i własnego syna, obu zmarłych w marcu b. r. Oskarżona była po czterykroć zamężną. Pierwsi dwaj małżonkowie i ostatni już w grobie, trzeci tylko dotąd żyje. Dowiedzionem zostało, że uwięziona pod rozmaitemi pozorami starała się przyjść w posiadanie trucizny i że wszędzie, gdzie tylko przebywała, śmierć licznie zbierała ofiary między osobami, które zostawały z nią w jakiegokolwiek styczności. — Liczy ona dopiero lat trzydzieści.

## Kącik humorystyczny „Strzechy.“

### Jak i kiedy powstał czyściec moskiewski?

(Gawęda klasztorna.)

A no, panie, skoroście państwo nie słyszeli tej ciekawej historii, to ją wam wiernie opowiem, ani dodając ani ujmując rzeczywistości. Opowiedziałbym ją chętnie wierszem, bo i zasługuje na to, ale panie! oczy mi wasze zdają się mówić: uchowaj nas Boże od wierszy! dość z nas rymowania! — co? nie mówię prawdy? — Dobrze! odprawiam na ten raz muzę natrętną i prozą, panie, walę rzecz całą! Bo też zaprzeczyć się nie da, że i proza ma swoje wysokie powołanie, ma swoje wysokie zadanie, ma swoje, panie, cnoty i konsekwencye... ale to nie należy do rzeczy. Rzecz nie jest ani cnotliwa, ani konsekwentna, ale po prostu — moskiewska, nikolajowska.

W Warszawie laje Paszkiewicz, a słyszą go od Wisły po Dniepr; w Petersburgu Mikołaj laje sobie, panie, a słyszą go od Kamczatki po Wisłę, aj! źle mówię, po wybrzeża cichego Oceanu, bo nawet ci, którzyby go mogli nie słyszeć, sprawiają sobie na gwałt trąbki akustyczne, aby usłyszeć mogli łajanie jego imperatorskiej mości. W Paryżu, Londynie sam, panie, widziałem niedawno jeszcze trąbki takie, na honor! Słowem: strach wszędzie, Europa położyła uszy po sobie, aż tu — proszę sobie wyobrazić tę śmiałość: brata carskiego, Michała, panie, śmierć łap za łeb, i — no, i hejże ze świata z moskaliną, dokąd? nie wiem dalibóg, a jak się wnet pokaze, nie wiedział nikt wówczas, dokąd?

Panie! nie ma rady; umarł, więc pochowali, a że brat carski, więc się go wszędzie żałować było powinno, wydzwanianić, egzekwie odprawianić, pokłony bić na intencją jego światłości wiekuistej. Paszkiewicz był mistrzem tej ceremonii w Polsce, panie, nakazuje tedy, aby w całym kraju odprawianić żałobne nabożeństwo za... jakby to powiedzieć? duszę nie duszę — niech będzie za pośmiertne „coś“ carewicz Michała, którym to egzekwiom w całej paradyzie obecne być mają władze, korporacye i wszelka panie hołota oficjalna. Paszkiewicza nakaz w tym wypadku bodaj, panie, czy nie był poważniejszy od carskiego, powszechnie bowiem wiedziano, że Mikołaj brata swego nieboszczyka nie miał za boskie stworzenie, ale mniejsza o to. A był dziekanem podówczas w Lubelskiem, księżyna facet, chociaż nie Bernardyn; a chwata panie! żeby dziesięciu gwardyanów bernardyńskich nie miał na przekąskę — ten tedy odczytawszy rozkaz z Warszawy pomyślał sobie: ho! ho! zjesz diabła szelmo, jak ja ci te egzekwie odprawię. A no nic. Termin nadchodzi: bałam! bałam! dzwony walą od świtu,

panie, a walą, że się umarli kwapią z grobów, a kto żyw, do fary spieszy, gdzie też wnet cała starszyna moskiewska gromadzi się jak nakazano. Ej, coś już na wstępie do kościoła dziwią się Moskaliki niepomalu, że katafalku, ani odpowiedniego egzekwiom dekorum nie wystawił ksiądz dziekan, panie! aż tu wysuwa się tenże ksiądz w towarzystwie pół tuzina innych, ale w jakich szatach! Wszyscy, panie, jak jeden, w czerwonych ornatach wielkanocnych, mnich w mnicha niby rak ugotowany — cha cha cha! aż skamienieli na ten widok Moskaliska. Ba, widzę, że państwo truchlejecie już o los księdza dziekana, panie, więc do rzeczy powracam. A no cóż? — donos — wściekłość Paszkiewicza — kibitka — wzięli księżynę do stolicy, przed oblicze samegoż satrapy. Panie! jak go złajał, po swojemu! nie powtórzę, anibym polskim językiem podolał temu; dość, że księżyna nieborak zniósł cierpliwie całą burzę, aż gdy przyszła na niego kolej głosu: „Za pozwoleniem waszej ekscelencyi — powiada — czemże zasłużyłem na taki gniew waszej ekscelencyi? Żem, panie, nabożeństwo odprawił w czerwonym kolorze? A toż wiadomo przecie, że w czarnym odprawiamy tylko za dusze cierpiące w czyścju, którego jednak wyznanie waszej ekscelencyi nie zna — zna tylko piekło i niebo. Wolnoż mi było sądzić, że dusza brata jego imperatorskiej mości znajduje się w piekle? Tylko więc do nieba dostać się mogła ta wielka dusza, panie, a w takim razie kościół nakazuje uczcić ją, jako świętą, kolorem czerwonym“...

I cóż powiecie państwo? argumenta te tak przekonały Moskala, że z wykrzykiem: „A ty durak Paszkiewicz!“ panie, grzmotnął się raz i drugi po wyдутych policzkach, i nuż całować księżynę i przeproszać za alteracyą i łajanie. Jakoż nieomieszkując doniósł o wypadku Mikołajowi, który dowiedziawszy się, że kościół jego nie posiada takiej ze wszech miar pożytecznej instytucyi, jaką jest czyściec, panie, natychmiast zwołał synod, zgromił dosadnie, że dotychczas nie pomyślano o miejscu, gdzieby młodszy bracia carscy przebywać mogli swą światłość wiekuistą, i uroczyście, panie, za ukazem kreował ten nieoceniony przybytek dusz, niekwalifikujących się do koloru czerwonego...

A co, panie? potrząsasz głową na tę historiją? Jakem sodalis, prawdziwa, panie!

## JESZCZE RAZ DO LAURY.

O, ileż razy Lauro! w tej ustroni  
Z myślą o tobie, zdala ludzi, wrzasku,  
Błądziłem — sercu szukając harmonii!

O, ileż razy imię twoje w piasku  
Kreśliłem wtedy! wśród wodnych szafirów  
Rzeczulki twego szukałem obrazku!

Zefir wysuszył modrą toń — i żwirów  
Powierzchnię zmuskał, igrając swawolnie!  
O czemuż, patrząc na psoty zefirów,  
Twój Lauro! obraz widzę mimowolnie?...



— Josio, ucz się, ucz ślicznie po polskiemu, żebyś tak mówił jak mnie.

— E! kiedy nas inaczej uczą po polsku, nie tak jak wujcio mówi.

— Co to uczą? za co uczą inaczej? Posłuchaj ty wujciego swego, Josel, kiedy on zacznie mówić po polskiemu.

— Dobrze, jak wujcio zacznie, to posłucham.

### Astronomiczność głowy.

Że wnętrze głowy ludzkiej to strop firmamentu,  
Od początku dowiodę do końca:  
Niby w toniach lazurów wśród wrażeń odmetu  
Tkwia tam myśli gwiazdeczki i słońca.

Możesz znaleźć tam „Pannę“, „Orjona“ i „Lewka“,  
Gwiazdy bledsze i gwiazdy jaskrawsze —

O „Wenus“ już nie mówię; ta lazurów dziewczka  
Panującym planetą jest zawsze.

W każdej głowie też spotkasz i „Wagi“ i „Kwoczki“,  
Nie raz — przyznaj się! — myśli cię „wiozły“...  
Gdy całkiem samolubstwa ustąpią obłoczki,  
To i „Byki“ tam ujrzysz i „Kozły“.